



5047/82





25.

p. t.

## 116

NAKŁADEM KSIĘGARNI „OŚWIATA“ SP. Z OGR. ODP.  
WE LWOWIE

SKŁAD GŁÓWNY „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ” — WARSZAWA

588430 II

LP 150

WILHELMA RAORTA:

ŚMIESZNE HISTORJE, wyd. pierwsze, Lwów 1920.  
\_\_\_\_\_ wyd. drugie 1924 (wyczerp.).

WESOŁE IMPERTYNENCJE, wyd. „Szczutka“, Lwów -  
Warszawa 1921 (wycz.).

ZA CESARZA, wyd. pierwsze, Lwów 1922 (wyczerpane),  
\_\_\_\_\_ wyd. drugie, Lwów 1922 (wyczerpane).

KŁOPOTY PANA MICHAŁA, Lwów 1922 (wyczerpane).

MENAŻERJA, Bibl. utworów dramat., Lwów 1923.

GROCHEM O ŚCIANĘ, Lwów 1925 (na wyczerpaniu).

NA KARUZELU, wyd. pierwsze, Lwów 1928 (wyczerp.).  
\_\_\_\_\_ wyd. drugie, Lwów 1929 (na wyczerp.).

GOŁONO, STRZYŻONO, Lwów — Warszawa 1931.

k-87/5047  
08-05 509,-



P przedmowa do niniejszego filmu jest konieczna. Wprawdzie sam nigdy nie czytuję przedmów, ani wstępów, ale w tym wypadku zmuszony jestem prosić o łaskawe przeczytanie mojej, nieco przydługiej, przedmowy.

Zależy mi bowiem na tem, aby Czytelnik dowiedział się, że pisząc o Paryżu, nie podciągam pod to pojęcie Francji, ani Francuzów. Co innego bowiem jest Paryż i paryżanie, a zupełnie co innego jest Francja i Francuzi! Francję podziwiam. O Paryżu pomówimy nieco bardziej krytycznie.

Zaznaczam jednak, że będę obiektywny i nie pozwolę się unieść osobistym sympatjom, czy antypatjom. Nie będę także kłamał, ani koloryzował. To co zdążyłem przez kilka tygodni pobytu w Paryżu zaobserwować; co dostało się na emulsję moich wrażeń, utrwaliło się, zaciękało mnie, ubawiło, lub oburzyło — to wszystko postaram się zebrać w całość i w barwnej taśmie filmowej wyświetlić przed Wami.

Byłbym nieszczery, gdybym nie przyznał się, że w głębi duszy mam żal do tego miasta, skąd rok rocznie wychodzą publikacje, broszury i książki szkalujące Polskę. Zdaję sobie sprawę, że czynią to ludzie nieodpowiedzialni, lub pozyskani dla wrogiej propagandy, ale też odpowiednio oceniam szkody, jakie nam i naszemu dobremu imieniu przynoszą podobne publikacje.

Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie w oryginalne przytoczyć tylko kilka urywków z książek, broszur i gazet paryskich ostatnich czasów, z enuncjacjami o Polsce i Polakach:

Monsieur Jean Renaud, oficer francuski, pisze w swojej książce p. t.: „*L'Homme au loup*“, jak następuje:

„Polacy, to naród intrygantów, legendarnie przewrotnych i fałszywych. Każdy Polak, to rycerz przemysłu, czy niebieski ptak, podszywający się pod fałszywe tytuły i herby — chwalcący się fikcyjnymi majątkami, pałacami i dobrami ziemskimi. To naród nierobów i niedołęgów, o ptasich mózgach i charakterach mongolskich. Polacy umieją ojczyźnie ofiarować tylko piosenkę, bo do żadnych czynów nie są zdolni.

Oficerowie polscy upijają się do nieprzytomności i zsunawszy czapki na tył głowy, rozbijają się po pijanemu dorożkami, śpiewając wyuzdane piosenki.

Tłum warszawski, wstrętnie brudny, zżarty wódką, włóczy się po ulicach beczynnienie i leniwie, a w cyrku gryzie ziarnka słoneczników i pluje na dekolty i smokingi publiczności, siedzącej w łóżach.

Kobiety polskie, to istoty o pozorach dumy, gotowe sprzedać się, lub oddać lada komu. Dusze za-

trute histerją, kłamstwem i zdradą. Piękności warszawskie są to samice o jędrnych biustach i prowokujących ruchach; samice, których jedynym zajęciem jest podobać się, uwodzić i spacerować. Nie umieją ani pracować, ani oszczędzać. Harmonijne saskie figuryńki; awanturnice, rozpustne, głupie i kapryśne, których jedyną piosenką, piosenką nawskróś polską, śpiewaną przy akompanjamencie bałajki — jest piosenka o trójkacie małżeńskim: On, ona i ten trzeci... Pomimo przysięg, mimo ołtarzy zdradzają mężczyzn dla pieniędzy, albo dla rozpusty. Ta słowiańska dusza jest pociągająca, fałszywa, płytka, lśniąca, zuchwała, przesycona żądzą rozkoszy, mistycyzmu i kłamstwem. Szkodliwe zwierzęta, komedjantki, pozerki, poszukiwaczki przygód bez czci i sumienia, czarne dusze dyszące okrucieństwem, istoty, których jedynym imieniem jest ich pleć i kokieteryja. Nigdzie niema podlejszych i okrutniejszych kobiet! Kobiety polskie to hetery o zbrodnich instynktach rasy mongolskiej“.

Na innem miejscu mówi monsieur Renaud przez usta epizodycznego bohatera powieści *L'Homme au loup*, Ladisława Zubowa:

„Polska w ataku niesłychanego wandalizmu zniszczyła pomniki rosyjskie i przepyszny sobór prawosławny. Nasi warszawscy gubernatorowie mieli rację chłoszcząc Polaków batem, by wyleczyć mężczyzn ze spisków a kobiety z fałszu“\*).

Tyle tylko monsieur Renaud o Polsce, Polakach i kobietach polskich.

---

\*) Przekład Heleny Filochowskiej w „Świecie Kobiety“ — Lwów.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że książka *L'Homme au loup* ukazała się w krótkim czasie po pojawieniu się na rynku księgarskim innej książki p. t. „*Pologne, Pologne!*“, niejakiego monsieur D'Etchegoyena, która dosłownie odsadziła wszystkich mieszkańców Polski od czci, godności, wiary i miana ludzi cywilizowanych.

Jedźmy dalej:

Wychodzący w Paryżu tygodnik *Detective*, rozchodzący się w ilości około 300.000 egzemplarzy, a więc pismo ogromnie popularne i poczytne w najszerszych sferach Paryża i Francji, wydrukował niedawno artykuł p. t. *Marches de Femmes*, w którym autor twierdzi następująco:

„W Polsce znajduje się wielka ilość miast, w których wszystkie kobiety od 16 lat przeznaczone są do handlu żywym towarem. Traktuje się ten handel zupełnie otwarcie, wprost automatycznie.

Jak 18-letni chłopiec staje do wojska, tak 16-letnia dziewczyna polska wyjeżdża zagranicę, by wymienić kapitał swego ciała na brzęczącą monetę. Narzeczeni tych dziewcząt oczekują na swoje wybranki, które po paru latach powracają do Polski z pieniędzmi — z posagiem. Oto są przysze żony i matki polskie!“.

Takie potworne paszkwile wypisuje najbardziej popularny tygodnik paryski o stosunkach w państwie zaprzyjaźnionem i ściśle złączonem z Francją!

W czasie mego pobytu w Paryżu wpadły mi w rękę dzienniki, których redaktorowie, w chwilach wolnych od zajęć inseratowych, rozpisują również tak zwane ankiety, na temat stosunków w różnych krajach egzotycznych. Rzecz oczywista, że bez Polski szmok paryski obejść się nie może. Wysła się więc któregoś z repor-

terów do Polski i ten relacjonuje „na podstawie źródłowych badań na miejscu“ o wszystkim, co Francuza mogłoby z tego kraju zainteresować. Nie będę powtarzał tych bredni, nonsensów i kłamstw. Wierzyć się poprostu nie chce, że znachodzą się dziennikarze, którzy nie zważając na swoje szczytne posłannictwo, nie zadają sobie nawet tyle trudu, aby napisać rzecz choćby w setnej części zbliżoną do prawdy.

Nie usprawiedliwia to też żadną miarą redaktorów tych pism, którzy — może w najlepszej wierze — delegują do Polski ignorantów, nieuków i błazenków, pokrywających te swoje przymioty intelektualne, bufonadą i sadystyczną złośliwością w wyszukiwaniu śmieszności, oraz nieistniejących barbaryzmów czy kuriosów w Polsce.

Niedawno temu ukazał się w *Echo de Paris* artykuł pióra Paula Boursona o Polsce. Nawet ten wybitny publicysta, pomimo silenia się na obiektywność, nie może się wyzbyć tonu protekcyjnego w opisywaniu stosunków w Polsce i artykuł swój opracował w formie opisu egzotycznej eskapady podróżnika, wybierającego się np. do Kambodży.

W ankiecie *Petit Parisien* o Polsce pisze Louis Roubaud już mniej obiektywnie. W takim tonie napisałby Polak, gdyby z dużym uprzedzeniem wybrał się w podróż do kraju Baszkirów. Prasa paryska pisząc o Polsce, sili się na ton mentorski, wielkomocarstwowy i dobrodusznie łagodny; na ton, jaki przybiera ojciec wobec niesfornego i nieokrzesanego berbecia, którym z konieczności opiekować się trzeba, aby nie popełnił jakiegoś *faux pas*.

Nie mówię już o głęboko wkorzenionym wśród Francuzów wyobrażeniu, że co drugi złodziej, morderca, czy

bandyta jest koniecznie *bandit polonais*. Moskal, Czech, Serb, Węgier czy Słowak popełniający jakąś zbrodnię we Francji, otrzymuje natychmiast tytuł *bandit polonais*. Pojęcie o bandytyzmie polskim i bandytach polskich stało się we Francji poprostu synonimem. Bandyta — to Polak! Choćby się nazywał Griszka Siemionowicz, Istvan Fekete, Salomon Cymes, czy Ivo Joanowicz.

Robotnik polski jest w Paryżu używany do najcięższych robót. Roboty, których nie podjąłby się za żadną cenę robotnik francuski, a nawet robotnik włoski, chiński, czy murzyński, wykonują tu robotnicy polscy w towarzystwie Arabów. Robotnicy polscy i Arabowie są tu uważani za najmniej wartościowi i niewykwalifikowani materiał ludzki, używany do prac, których inni robotnicy wykonywać nie chcą.

Nie mówię tego o robotnikach rolnych z Polski, których pracę Francuzi cenia i odpowiednio eksploatują. Jakże jednak pogodzić dodatnią opinię, jaką Francuzi mają o polskich robotnikach rolnych, których zły los i bieda wygnały na poszukiwanie ciężkiego zarobku, jeśli w popularnym dzienniku paryskim *L'Ami du Peuple* można było w czasie największego przypływu robotników polskich do Francji, przeczytać artykuł zatytułowany „Wybierać i asymilować!“. Autor tego artykułu, powołując się na okólnik arcybiskupa Paryża, ks. kardynała Verdiera, który polecił księżom obcej narodowości we Francji, aby ograniczyli swą działalność do nauczania dzieci robotników, pisze:

„Należy systematycznie zdążyć do tego, aby z pośród obcokrajowców przebywających we Francji, wybierać element najzdrowszy i asymilować go stopniowo. Należy w tym celu zmobilizować wszyst-

kie siły, kościół, prasę, szkołę, aby doprowadzić do wytkniętego celu. Elementy zaś sprzeciwiające się temu programowi, należy wydalać z Francji“.

Jakże to ma zrozumieć społeczeństwo polskie, które dostarcza (a raczej dostarczało dotychczas, bo obecnie, wskutek bezrobocia, Francuzi wyrzucają bez pardonu wszystkich obcokrajowców) do Francji setek tysięcy robotników? Jak zrozumieć to francuskie hasło wynarodowiania ludności sprzymierzonego kraju?

Należałoby się zastanowić, skąd się biorą we Francji, a specjalnie w jej sercu, w Paryżu, te odruchy antypolskie? A że takie odruchy istnieją i zyskują nawet na intensywności, nie ulega najmniejszej kwestji. Nie biorę nawet powyżej przytoczonych enuncjacyj za podstawę do tych rozważań, gdyż są one tylko kroplą w morzu tego, co wypisują w Paryżu o nas, a ramy tej pracy nie są na to obliczone, aby mogły pomieścić ogromne płachty wydrukowanego materiału dowodowego.

Cel, jaki zamysłam osiągnąć, pisząc o Paryżu, jest całkiem inny! Chcę dać przekrój obecnego Paryża, jego życia, etyki, luksusu i nędzy, w możliwie lekkiej i dowcipnej formie pisarskiej, a daleki jestem od budzenia antagonizmów, lub wywlekania krzywd, w celach wzajemnego jątrzenia.

Wracając do odruchów antypolskich, istniejących bezsprzecznie wśród pewnej części wpływowego społeczeństwa francuskiego, należałoby się zastanowić, skąd się te odruchy biorą i jaka ich jest przyczyna.

Pomijając wrogą i precyzyjnie pracującą propagandę antypolską, uprawianą, wiadomo przez kogo i za czyje pieniądze, istnieje jeszcze w tym wypadku przyczyna wewnętrzna, mająca swe źródło w indywidualności i w nastawieniu psychicznem dużego odłamu społeczeń-

stwa francuskiego, patrzącego i reagującego pod specyficznym kątem patrzenia na wszystko, co nie jest francuskie i Francją.

Do takich przyczyn należy w pierwszym rzędzie indyferentyzm francuski wobec zagranicy, przeradzający się niekiedy w typową ignorancję. Wskutek tej ignorancji powstaje duża łatwość wpływania na opinię francuską, ogromnie łatwowierną i podatną do urobienia. Urobiona opinia francuska jest konserwatywna i z biegiem czasu staje się niewzruszalnym dogmatem. Nic więc dziwnego, że Francuz, polegając na tej, często już u źródeł zatrutej opinii, popełnia niesłychaną ilość głupstw, których prędzej, czy później żałuje.

Dalszą przyczyną jest drobnomieszczańskie nastawienie przeciętnego Francuza, który niechętnie zajmuje się sprawami *etrangerów* i chciałby się pozbyć wszelkich niemiłych kłopotów, z nimi związanych. Lubując się w spokoju i uciulanych frankach, gotów jest drobnomieszczanin francuski, w swoim materjalizmie na krótką metę, za ten swój spokój i bezpieczny schowek bankowy, zapłacić... z cudzej kieszeni.

Jeśli dodamy do tego typowe lekceważenie przez Francuzów wszystkiego, co nie jest ich najbliższem otoczeniem (poza Ameryką i jej dolarami), najbliższą rzeczywistością, co nie jest Paryżem, czy najbliższym departamentem, to zrozumiemy, dlaczego pisząc, lub mówiąc o Polsce, mają o niej takie wyobrażenie, jak np. o Laponji, czy o Nowej Zelandji.

Ignorancja francuska w dziedzinie historii i geografii jest ogólnie znana. Pardon! Proszę mnie źle nie zrozumieć! Mówię o najszerszych warstwach przeciętnych Francuzów, gdyż ci Francuzi, którzy umieją historję

i geografję, umiej ją nawet znacznie lepiej, niż mieszkańcy danego kraju.

O Polsce, jej życiu obecnem, przeszłości i przyszłości, piszą niestety coraz częściej ludzie, o których sami Francuzi, chcąc ich usprawiedliwić, powiadają z uśmiechem: *Un Français, c'est un monsieur, qui ne sait pas la géographie* (Francuz, to taki pan, który nie zna geografji).

Niejednokrotnie napotykamy też w powieściach francuskich fantastyczne wprost opisy Polski, która przedstawiona tam jest jako kraina białych niedźwiedzi, gdzie żyją czarnowłose Sonje i Lubki, porywane przez mężnych hrabiów polskich w papachach i rubaszkach. W wyobraźni przeciętnego pisarza francuskiego jest Polska ciągle jeszcze Rosją, z jej wódką, trojką, knutem, tundrami, tajgą i podbiegunowem zimnem.

Bezkrytyczny czytelnik francuski, słynny z pożerania książek i wszelakiej lektury masowo rzucanej na francuski rynek księgarski, ma też stosownie urobione pojęcie o Polsce i Polakach.

Nie należy też się dziwić, że gdy pewnemu Francuzowi (t. zw. inteligentowi) powiedziałem, że Polska liczy 30 miljonów mieszkańców — otworzył szeroko usta, a potem zapytał mnie, dlaczego Polacy tak chętnie i przy każdej sposobności kłamią?...

Nie dziwiłem się też, gdy pewna Francuzka zapytała mnie, czemu Warszawa nie zorganizuje wreszcie jakiejś masowej obławy na wilki, które to nieszczęsne miasto ciągle trapią, jak nie zdziwiłem się wcale, gdy student trzeciego roku medycyny na klinice prof. Legueu'a w Paryżu zapytał mnie, czy Lwów ma jakiegoś lekarza - dermatologa.

Dziwić się natomiast należy, jeśli tak popularny i znany pisarz francuski, jak Piotr Benoit w jednej ze

swoich ostatnich powieści p. t. *Aksela*, której treścią są przeżycia jeńca francuskiego w obozie jeńców w Prusach Wschodnich, pisze na stronie 116 następująco:

„Wyruszywszy na front 31 lipca 1914 r. jako dowódca dywizji (mowa tu o ojcu bohaterki, pruskim jenerale dywizji) przyczynił się swoją jasnowidzącą nieustraszoną bodaj najbardziej do wielkiej wygranej pod Tannenbergiem. Lecz 29 sierpnia tegoż roku padł w chwale zwycięstwa, ranny odłamkiem granatu, dokładnie w tem samem miejscu, gdzie przed pięciu wiekami (1410 *Grunwald* — przyp. autora), poległ Stefan von Mirrbach, wódz Krzyżaków i również obrońca ładu europejskiego przeciw wschodniej anarchji“.

A więc Francuz, p. Piotr Benoit pisząc o śmierci Stefana von Mirrbach, wodza Krzyżaków, mówi o nim, że był „również obrońcą ładu europejskiego przeciw wschodniej anarchji“.

Wiadomo przecież, że na czele „anarchji wschodniej“ dnia 15 lipca 1410 roku pod Grunwaldem i Tannenbergiem stał król polski Jagiełło i wiadomo nam, że obrońcą „ładu europejskiego“ był wielki mistrz krzyżacki Ulrich von Jungingen.

Przynajmniej teraz nam to wiadomo z powieści Piotra Benoit.

Pocóż mnożyć fakty? Że duży odłam inteligencji i pseudointeligencji francuskiej odnosi się do Polski, jak do kraju egzotycznego lub z nieprawdopodobnego zdarzenia, nie ulega żadnej wątpliwości.

Gdyby było inaczej, to czy byłyby do pomyślenia te rozliczne nietakty pośledniejszych autorów francuskich, wypisujących niesłychane brednie na temat Polski — zupełnie bezkarnie? Przecież ci panowie nie za-

dają sobie nawet tyle trudu, aby pisząc o Polsce, zbliżyć się choćby do tej fikcyjnej prawdy, wymaganej w ostatniorzędnych romansach brukowych! Uważając Polskę za kraj, leżący gdzieś za siódmą górą i rzeką, na pograniczu tundry syberyjskiej i krainy nieznanych bliżej stepów, uważają, że można dać upust swej fantazji i wypisywać niestworzone rzeczy, gdyż i tak nikt nie skontroluje ich prawdomówności.

A przecież, do diabła ciężkiego, mamy jakąś propagandę! Mamy ambasadę, konsulaty, „Towarzystwa Przyjaciół Polski“ i różne placówki, pracujące nad zbliżeniem francusko-polskiem! Gdzież ci ludzie się podziewiają, jeśli w sercu Francji, w Paryżu, ukazują się i masowo są kolportowane książki w rodzaju zbrodniczych paszkwili pana Renauda i D'Etchegoyena, czy czasopiśma w rodzaju *Detective*?...

Czytelnik francuski czytając enuncjacje pana Renauda o sprzedajnej kobiecie polskiej, o wiecznie zapitych Polakach, o niechlujach polskich i nierobach o zbrodniczych instynktach, nie wie o tem, że pan Renaud widocznie przebywał przez kilka dni w melinach złodziejskich w Warszawie i że przypuszczalnie nabrał po pysku od jakiejś dziewczicy lekkiego prowadzenia się i stąd jego oburzenie na „kobietę polską“.

*Detective* pisząc, że 16-letnie dziewczęta polskie są oficjalnie przeznaczone na handel do lupanarów zagranicznych, urabia nam odpowiednią opinię wśród milionowych rzesz czytelników tego pisma, którzy przecież nie mogą wiedzieć, że autor tego oszczerstwa godzącego w honor zaprzyjaźnionego i potężnego mocarstwa, jest zwyczajnym szubrawcem, który przypuszczalnie nawet nie wie, gdzie szukać Polski na mapie.

Cóż z tego, że referent idjotycznego konkursu pię-

kności, urządzanego dorocznie w Paryżu, pan de Waleffe, przypuszcza na łamach dziennika *Le Journal*, że powodem dla którego Polska nie wysyła swojej „Miss Polonji“ na konkursy piękności do Paryża, jest właśnie ów ohydny paszkwil, wydrukowany w *Detective*? Pan de Waleffe gorszy się nawet, że w Polsce potraktowano ów brukowiec poważnie. Może ma i rację, ale nie uwzględnił ów pan de Waleffe, że *Detective* jest obecnie najpoczytniejszym, popularnym tygodnikiem Paryża, w którym opinię wydaną o dziewczętach polskich, przeczytało kilka milionów ludzi, podczas gdy opinię p. Waleffe o tygodniku *Detective* przeczytało tylko pewne grono czytelników jego pisma.

Cóż z tego, że w odpowiedzi na książki w rodzaju *Pologne, Pologne!*, czy *L'Homme au loup*, ukaże się czasem książeczyna w rodzaju ostatniej publikacji Jerzego Oudarda, w której autor pisząc o Polsce, stawia Polkę na bardzo wysokim poziomie w porównaniu do kobiet innych narodowości?... Z bólem serca trzeba jednak stwierdzić, że książkę Oudarda, przeczyta kilkaset, czy kilka tysięcy ludzi, podczas gdy „*Pologne, Pologne!*“ i inne tego rodzaju wydawnictwa, kolportowano i sprzedawano w niesłychanej ilości egzemplarzy.

Cóż jedna, wypróbowana przyjaciółka Polski p. Róża Bailly znaczy wobec zatrzęsienia szmoków reporter-skich, urabiających nam skandaliczną opinię? Cóż skromny i cichy Paweł Cazin, subtelny i wnikliwy autor francuski, mówiący nawet po polsku, czy dziesiątki innych wypróbowanych przyjaciół Polski przeciwstawić może zwartej grupie poczytnych ignorantów, którzy wybrali sobie „egzotyczny“ teren Polski za tło do swoich grafo-mańskich wyczynów?...

Gdyby Polska nie była w opinii francuskiej uwa-

żana za kraj egzotyczny, to czyż odważyłby się tak popularny autor, jak Claude Farrere, na wygłoszenie odczytu w wielkich miastach Polski, w dosłownie temsamem brzmieniu jak — w Angorze?

A Dekobra?... Przecież ten grafoman i kabotyn w jednej osobie odczytywał na wieczorach autorskich, urządzanych przez siebie w Polsce, takie brednie i w tonie tak aroganckim, że w każdym innem społeczeństwie zostałby obrzucony zgnięłymi jajami...

Nietylko pisarze lekkiego i najlżejszego autoramentu przyzwyczaili się Polskę bagatelizować i uważać za teren swoich występów, nie wymagających żadnego przygotowania, wiedzy, czy opanowania materiału, będącego tematem ich prelekcji. Z Polską nie trzeba się liczyć!...

Niedawno temu miał w Krakowie archeolog światowej sławy Cabrol wykład o katakumbach i przemawiał do przedstawicieli świata naukowego i umysłowego tego miasta zupełnie jak do analfabetów, kładąc im łopatą do głów zwietrzałe wiadomości i otraskane komunały, znane przeciętnemu uczniowi ósmej klasy gimnazjalnej.

Jakże nazwać taką np. reklamę, która ukazała się w dziennikach warszawskich, z racji przyjazdu do Polski trupy aktorskiej p. Pierat z „Komedji Francuskiej“, na gościnne występy?... Czytaliśmy bowiem w zapowiedziach reklamowych, że trupa p. Pierat „od czasu swego ostatniego *tournee* przed trzema laty po — Egipcie i Turcji, objechała ostatnio większe miasta w północnej Afryce, ciesząc się wszędzie bezprzykładnym sukcesem“.

Więc naprzód sukcesy w Turcji i Egipcie i północnej Afryce i w konsekwencji — Polska, jako dalszy etap podróży orjentalno - artystycznej!

Czyż dziwić się, że opinia jaką nam urabia rozzu-  
chwalona naszą biernością, część prasy francuskiej i nie-  
odpowiedzialni ludzie pióra, przedostaje się do innych  
państw i tam wyduje swoje plony?...

A przecież niedawno, w czternastem wydaniu wiel-  
kiej encyklopedji angielskiej (The Encyclopaedia Brita-  
nica) słynnej na cały świat dla jej wszechstronnych in-  
formacyj, w dziale pt. (Rosja) „Wojna z Polską“, znaj-  
duje się ustęp, opisujący „Cud nad Wisłą“ i wspaniałe  
zwycięstwo wojsk polskich nad armją sowjecką, w ten  
sposób: „Francuzi posłali do Warszawy generała Wey-  
ganda, świetnego szefa sztabu Focha, z małą grupką  
oficerów. Weygand dowiedział się o luce w centrum sił  
bolszewickich i zaatakował ten punkt z garstką gawie-  
dzi, do której należeli kucharze, sekretarze i osobista  
służba jego własna, jak również innych misyj francu-  
skich w Warszawie. W ciągu nocy, mało co walcząc,  
czerwona armja zaczęła się cofać i wreszcie 18 marca  
1921 podpisano pokój w Rydze na warunkach pomyśl-  
nych dla Polski“.

Więc zwycięstwo nad armją sowjecką pod Radzy-  
minem w r. 1920 odnieśli kucharze, sekretarze i osobista  
służba generała Weyganda. Bez komentarzy!

Dlaczegożby Anglja nie miała się opierać na infor-  
macjach o Polsce z najbardziej autorytatywnego źródła,  
jakiem bezsprzecznie powinna być jej potężna sojusz-  
niczka, Francja?

Albo taki np. „wypad“ — już nie brukowej prasy,  
lecz poważnego literackiego pisma, jakim jest, tygodnik  
„*Nouvelles Litteraires*“...

Otóż w tygodniku tym (w numerze 490-tym, roku  
1932) znajdujemy obszerny artykuł, publicysty paryskie-  
go André Suaresa p. t. „Chopin“.

Przytaczam co w tej sprawie pisze tak popularne czasopismo polskie jak „Ilustrowany Kurjer Codzienny“:

„Artykuł ten umieszczony w setną rocznicę przybycia genialnego mistrza do Paryża, jest stekiem nonsensów, a pozatem wysokim nietaktem, popełnionym przez redakcję znanego w całym świecie organu literacko-artystycznego.

Autor artykułu nie zostawił na Szopenie suchej nitki. Odmówił mu wszystkiego, dziwiąc się popularności, tak „niezasłużenie“ przez Szopena zdobytej. „Marsz żałobny“ z Sonaty uważa za zręczne naśladownictwo marsza Beethovena. Liryzm Szopena nazywa p. André Suarès cikliwą, cukierkową czułościowością, drwi z tanecznej formy utworów mistrza, ośmiesza sentymentalizm walców, wykpiwa rycerskość, żołnierski rytm polonezów i mazurków, przywołujących na myśl autora widok „les tschapkas et les kourtkas“ (!) i obraz cały tego „nieszczęsnego bohaterstwa“ powstaniowego, odbijającego się w twórczości Szopena.

W artykule swoim André Suarès stara się udowodnić ni mniej ni więcej, tylko, że Szopen nie miał talentu. Z ignorancją człowieka niemuzycznego i nie znającego się na muzyce, opowiada p. Suarès rozmaite analogje, z których człowiek jako tako zorientowany w sprawach muzycznych, musi się uśmieć“.

Bez komentarzy!

Rzecz oczywista, że w szkodzeniu nam nie bierze udziału ani odpowiedzialne, ani wartościowe społeczeństwo francuskie. Mamy we Francji również gorących, wypróbowanych i wpływowych przyjaciół, a co najważniejsze — mamy za sobą nieubłaganą logikę francuskiej racji stanu, która rozumie, że losy Francji są ściśle z losami Polski związane.

Daleki jestem od tego, aby zagłębiać się w tajniki polityki. Nie znam się na tem! Nie przesadza to również, że ludzie, znający lepiej te tajniki, uznają moje przytoczone wywody za błahe i nic nieznaczące. Jeden dokument, opatrzone pieczęciami odpowiedzialnych mężów stanu, czy jedna broszura o Polsce któregoś z wielkich pisarzy francuskich, mają większe znaczenie, niż te wszystkie brednie nieobliczalnych pismaków. Przyznaję, że materiały, którym się posłużyłem, aby wykazać krzywdy, jakie nam wyrządzają nieodpowiedzialne jednostki we Francji, jest dorywczy, powierzchowny i zebrany tak, jak go fala dnia codziennego wynosi z kolportażem na ulicę. Niemniej są to dokumenty, które bolą i palą wstydem!

Jeśli więc na wstępie tej pracy wdałem się w nie-swoją rzecz i poruszyłem temat, niemający nic wspólnego z opisem Paryża „na wesoło” — to uczyniłem to dlatego, aby wykazać, że mając możność i uzasadnioną przyczynę do rewanzu, opisując światła i cienie Paryża, będę obiektywny i postaram się równomiernie rozłożyć te światłocienie.

A przecież nic nie stałoby mi na przeszkodzie, aby w tej pracy pofalszować historję, geografję, topografję, etnologję Francji i życie obyczajowe Francuzów — wżorem fałszerzy opinji polskiej we Francji.

Cóżby mi szkodziło zacząć opis Paryża od np. takiego zdania:

„Nad piękną rzeką Guadalquivir, w północnej części krainy Basków, gdzie leży miasteczko Paryż, słynne z tropikalnych upałów i żółtej febry, spotkałem piękną markizę Pompadour, której dziadek śp. Ludwik XIV przyłączył Sabaudję do niemieckiego departamentu *Seine-et-Oise*“?

Tak jednak nie napiszę! Pozostawiam tego rodzaju opisy różnym fachowcom francuskim, którzy nie będą nigdy w Polsce, lub przebywając przez kilka dni, przypuszczalnie w melinach złodziejskich i tajnych lupanarach warszawskich, opisują potem „na podstawie informacji źródłowych, zebranych na miejscu“ życie i obyczajowość Polski.

Przydługi ten wstęp pozwolę sobie zakończyć, nieco zarchaizowanem powiedzeniem wielkiego Honorjusza Balsaca z jego przedmowy do nieśmiertelnego dzieła *Contes drolatiques*:

„Nuże tedy patrzcie na to dzieło moje, jako patrzymy na posagi, które stwarzając artysta, jeśli głupcem koronnym nie jest, żadnemi liśćmi nie ozdobił, boć te statuy, jako i tę książkę nie dla klasztorów robiono.

Tedy nie przesadzajcie w waszych obmowach, a czytajcie raczej nocą niż we dnie; nie dawajcie tej mojej książki dziewicom, boby książka zgorzała“.

I jeszcze jedno:

„Nuż tedy radujcie się miłości moje, wesoło czytajcie wszystko, a w zdrowiu i niech was choroba ścisnie, jeśli po przeczytaniu odemnie odstąpicie“.

Te oto zaś słowa powiedział splendor Turenji i Francji, Rabelais ucieszny, przed którym czapkę nisko schylić trzeba, jako przed mistrzem wszelkiej sapiencji i krotochwili.

\*

\*

\*

Jadę do Francji. Do Paryża!

Czy możecie zrozumieć doniosłość tych słów?... Czy możecie wczuć się w sytuację człowieka, który w chwilach wolnych od zajęć, chodzi sobie codziennie spacerkiem na cmentarz, aby się przyzwyczaić do towarzystwa i miejsca, czekającego go po znížonej cenie, jako dowód uznania ze strony rodzinnego miasta — gdy nagle temu człowiekowi proponują wyjazd do stolicy świata, miasta uciech i rozkoszy, miasta wymarzonego w młodzińszych, gorączkowych snach — miasta, po którego uliczkach średniowiecznych jeździło się w orszaku potężnych opatów, Cinq-Marsa, D'Artagnana, Portosa i Aramis; gdzie ułatwiał się ucieczkę Janowi Valjean, cierpiało z garbuskiem z Notre-Dame, walczyło u boku Cyrana de Bergerac, asystowało przy robocie gilotyny, wracało z nadzieją z Elby, aby poprzez wieki przepięknych dziejów, zatęsknić za szerokim nurtem współczesnego życia paryskiego — za miastem-światłem: Paryżem?...

Powinniście się wczuć w tę sytuację — a znajdziecie w niej samych siebie. Ilu z was, wprzagniętych do ciężkiego kierunku szarego życia, z którego wybawienie wie dzie przez bramę cmentarną, nie uściskałoby z radości nawet własnej teściowej, gdyby spadła na was wiadomość, że możecie „naprawdę“ i kiedy tylko chcecie, wyjechać do Paryża?...

Nie wszyscy może pakowaliby swoje manatki z taką radością, jak ja. Nie znam bowiem uczuć połowicznych i dlatego nie przywiązuję się tylko do pewnych rzeczy, do ułamków, odprysków, czy nawet dużych fragmentów jakiejś zbiorowości. Jak kocham, to kocham —

wszystko! Cienie i światła, złe i dobre, wzniosłe i śmieszne, wesołe i smutne.

Tęskniłem też za Paryżem przez dziesiątki lat, jak za wymarzonem miastem. Za wszystkim, co składa się na jego świetlaną przeszłość, na jego zbiorowość, życie obecne, jego wyrafinowaną kulturę i idące z nią w parze, zepsucie...

Tęskniłem... Obecnie już mniej tęsknię i bardzo mi żal! Żal mi, że Paryż — tak jak wiele moich marzeń, wypielegnowanych tajemnie w doniczce serca i podlewanych gorącą, tętniącą krwią — zszarzał w zetknięciu się z nim z bliskości. A przecież to takie naturalne, takie ludzkie, że rzeczy, widziane zbliżka — — —

— Nie uprzedzajmy jednak wypadków! — jak powiedział rak, którego kuchta wrzuciła do wrzątku.

Na razie jesteśmy w przededniu wyjazdu i cieszymy się!

Paszport w porządku, wierzyciele obiecali zaczekać, przyjacielom moim zółć lekko pęka — mogę jechać!

Żal mi wprawdzie 40 złotych, które musiałem zapłacić w konsulacie francuskim za t. zw. „wizę“, ale czego to człowiek nie zrobi dla zaprzyjaźnionego i sojuszniczego państwa. Czterdzieści złotych nie odgrywa zresztą wielkiej roli dla tak bogatego państwa, jakim jest Francja, ale dla mnie był to dość bolesny cios. Czy to nie za dużo? — pytałem sam siebie. — A potem znowu: Za co właściwie płaci się tak wysoką opłatę? — A wreszcie: Co za cel ma Francja, aby utrudniać wyjazd ludziom, którzy jadą do Francji zostawić swoją gotówkę?...

Byłbym może i dalej tak medytował, schodząc po schodach konsulatu francuskiego, gdyby mi się nie było przypomniało znowu zdanie pewnego kanarka, któ-

rego właśnie kot ciągnął po dachu. Powiedział bowiem ów kanarek: Jak jechać, to jechać!

Jedno tylko co mi nie może wyjść z głowy, z racji haraczu wizowego, jest pewna, że tak powiem, niewspółmierność świadczeń „wizowych“, jaka istnieje między Francją a Polską.

Jeśli nawet Polska pobiera również 40 złotych, czyli 20 franków w złocie za „wizę“ od Francuza wyjeżdżającego do Polski, to jest to także pewnego rodzaju nietaktem sojuszniczym, ale, że w tym interesie wzajemnych świadczeń „wizowych“, Polska jest stroną wykiwaną, to nie ulega żadnej wątpliwości. Wystarczy bowiem przejrzeć statystykę Polaków wyjeżdżających corocznie do Francji i statystykę Francuzów przyjeżdżających do Polski. Nie przesadzę, jeśli powiem, że stosunek jest, jak 1:10.000, czyli że za „wizy“ idą z Polski do Francji grube dziesiątki tysięcy, a z Francji do Polski... sprowadzamy perfumy i wina.

I jeszcze mała bolączka „wizowa“! Ustalona opłata za „wizę“ pobytową we Francji wynosi 20 franków w złocie. Nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że 1 frank w złocie nie odpowiada parytetowi: 2 zł.

Nie mogę się w żadnym banku poinformować w tej sprawie, gdyż pytając o wartość złotych franków i wogóle o zagraniczną walutę, mógłbym na siebie ściągnąć uwagę władz podatkowych. Wiadomo: wywiad skarbowy nie śpi!

Jeśli mnie jednak intuicja nie myli, to 20 franków w złocie odpowiada mniej więcej, 36 złotym. Pozostaje więc otwarta kwestja: Dlaczego konsulaty francuskie w Polsce, pobierają za „wizę“ 40 złotych, zamiast 36 złotych?...

Pewnie, że niektórzy margrabiowie, czy wicehrabiowie z *Faubourg St-Germain*, gdyby w przystępie chwilowego pomieszanego zmysłów zdecydowali się na wyjazd do Polski, a w braku bezpłatnego paszportu dyplomatycznego, zmuszeni byli zapłacić za „wizę“ kilkanaście franków więcej, nie odgrywałoby to w ich budżetach większej roli, chociaż napewno spowodowałoby interpelację w parlamencie.

Z Polski do Francji wyjeżdżają jednak ludzie, niestety, nie o tak dźwięcznych tytułach, dla których kilka złotych, pobranych ponad ustaloną normę, jest często kwestją ich wyżywienia się w czasie podróży nad Sekwanę.

Powiecie może, nie bez pewnej racji, że dla kogo kilka złotych stanowi wogóle jakąś kwestję, ten niech siedzi kamykiem w domu i nie wybiera się do Paryża?... Hola, przepraszam!... Francuzi mają nam to właśnie za złe, że nie robimy kwestji z drobnych kwot i że dzięki temu nie znamy kardynalnej cnoty francuskiej, której na imię: oszczędność.

Wyczuwam już wasze zniecierpliwienie. Pewnie mnie chcecie zapytać, dlaczego tak długo kołuję, zamiast pojechać z wami do Paryża?... Już się robi!... Przeskoczmy sto i jeden przeszkód, które mi stały jeszcze w drodze przed wyjazdem, dajmy się obsłinić kilku znajomym w pocałunku pożegnalnym, machnijmy im chustką przez okno pociągu pospiesznego Bukareszt — Lwów — Berlin — i jedźmy!

\* \* \*

**M**yślicie, że już jesteśmy w Paryżu?... Figa!... Dobrze się ze mną musicie namęczyć przez 36 godzin, zanim znajdziecie się w Paryżu!

Gdyby nie to, że jestem z natury gołębiego serca, opisałbym wam dokładnie cały etap swojej podróży ze Lwowa aż do Bytomia, z najdrobniejszymi szczegółami. Opisałbym, jak to jechałem, jak śleść w beczce, w przedziale II-giej klasy (wóz bezpośredni Bukareszt — Berlin), z którego, aby dostać się do wozu restauracyjnego, trzeba było przepychać się przez dziesięć wagonów trzeciej klasy, w których ludzie, walizy, pakunki i kobiety tworzyły jedną malowniczą, choć poplątaną całość. Jak to z obdartymi guzikami i w wymaglowanej krawatce przedostałem się przed Tarnowem do wozu restauracyjnego i nie mogąc się z powrotem dostać przez tłumy ludzi, zalegających korytarze, musiałem przeczekać, aż pociąg zatrzyma się w Krakowie, aby przez całą długość peronu, przejść wreszcie do swego przedziału. Opisałbym wam swoich towarzyszy podróży, którym, gdyby nie wzgląd na moją osobę, byłbym życzył, aby się pociąg z nimi wykoleił; opisałbym wam, jak to w międzynarodowych wagonach pullmanowskich, przebiegających terytorjum polskie, są wszędzie napisy rumuńskie, włoskie, francuskie i niemieckie, a niema zupełnie polskich.

Zapytałbym was, dlaczego Rumun, Niemiec, czy Francuz, przez których państwa taki wóz przebiega i Włoch, przez którego państwo ów wóz nie przebiega, mają wiedzieć, że nie wolno się wychylać przez okno, a Polak, przez którego ziemie ten sam wóz przebiega, od Śniatyna do Bytomia, może o tem nie wiedzieć?...

Może nie wierzycie?... Proszę, mogę zacytować: *Nu va plecaci in afara! — E pericoloso sporgersi! — Ne pas se pencher en dehors! — Nicht hinauslehnen!*

A gdzie napis: „Wyglądaj, wyglądaj, ładnie będziesz wyglądał!“?...

Zapytałbym was, czy to ładnie, aby w wozie, którym się jedzie około 11 godzin przez Polskę, nie było w pewnym miejscu napisu: „Po użyciu pociągnąć za rączkę!“.

Skąd podróżujący Polak ma wiedzieć, że *Après l'emploi, tirez la poignée, Nach Benützung Handgriff ziehen*, czy nawet *Dupa intrebuintare, trageti de maner!*, ma oznaczać aby „z dziecinną radością pociągnąć za sznurerek“?... Nie jestem szowinistą, ale i nam chyba także należy wiedzieć, co wie Rumun, Francuz, Niemiec, czy Włoch za swoje pieniądze.

Opowiedziałbym wam jeszcze mnóstwo rzeczy nie należących do rzeczy, ale mam — jak już powiedziałem — gołębie serce i lituję się nad wami; a zresztą, mnie samemu już się spieszy do Paryża.

Korzystając z uprawnień powieściopisarskich i przywilejów blagierów podróżniczych, pozwolę sobie przeskoczyć granicę polską w Bytomiu i przenieść się na terytorjum niemieckie.

Zabawimy tam tylko w przejeździe, bo nie jestem przygotowany na wydatki w markach niemieckich.

Ot, tak — z okna pociągu... Chcecie?...

Biedactwa moje!... Alboż macie na to inną radę?...

Jazda!

Do Berlina jadę w czasie ciemnej nocy. Mam miejsce w sleepingu i towarzysza podróży, że niech go na-gła choroba ciśnie! Zdaje się, że z Królewskiej Huty, czy też z Tarnowskich Gór był ten jegomość. Naprzód opo-



wiedział mi dowcipy, a później zrzucił buciki. Wolałem już tysiąc razy bardziej jego dowcipy.

Poprosiłem go więc, aby dalej opowiadał dowcipy i wdział buciki. Kilka dowcipów mi opowiedział, ale bucików, szelma, nie włożył.

Ułożyliśmy się wreszcie w kojach, aby spać. Mój towarzysz podróży nie mógł jednak zasnąć i pół nocy straszył mnie widmem rewolucji, zbliżającej się ku Polsce. Prosiłem go by przestał, ale pieron się zapalił i gadał, zdaje się, do samego rana, bo zmęczony zasnąłem. Nie powiem, żebym dobrze spał, bo położyłem się brzuchem na portfelu. Nie wiadomo bowiem, czy zbliżająca się rewolucja niema zamiaru rozpocząć akcji od zabrania mi mego portfela.

Nad ranem stanęliśmy w Berlinie. Pożegnałem się ze swoim rewolucjonistą i dowcipnisiem, który czuł się tu w swoim żywiole. Pyskował po niemiecku lepiej, niż wszyscy bagażowi razem i widziałem, że czuje się jak ryba, którą z powrotem wrzucono do wody.

A Polakiem był szelma i nazywał się jakoś po polsku!

Na dworcu *Schlesischer Bahnhof* trzeba się przesiąść do t. zw. „FD-Zugu“, idącego wprost do Paryża, przez Essen, Aachen, Brukselę i Liège. A no, dobrze! Mamy przeszło piętnaście godzin czasu, więc możemy porozmawiać.

Wypiłem w restauracji dworcowej mieszaninę krochmalu, palonej kory i tłuczonej cegły, pod nazwą *Kaffee mit Obers*, napisałem do znajomych kilka tradycyjnych widokówek, z „serdecznem pozdrowieniem z Berlina, gdzie właśnie przebywam w gronie miłego towarzystwa tutejszej arystokracji“ i wróciłem do przedziału. W przedziale luksus, wzorowa czystość i odpowiednia tempera-

tura. Na sofach leżą podręczne rozkłady jazdy, obowiązujące na przestrzeni Berlin — Paryż, wydane bezpłatnie do użytku podróżujących przez *Deutsche Reichsbahnen*. Rozkład, zrozumiały nawet dla laika, oznacza każdą stację, na której FD się zatrzymuje, odjazd i przyjazd do następnej stacji. Podróżny od razu się orjentuje i nie musi nigdzie zasięgać informacji. Miękki, puszysty chodnik prowadzi wzdłuż wszystkich korytarzy, wprost do wozu restauracyjnego.

Jest miękko, ciepło, przytulnie i wygodnie. Na razie jadę sam w całym wozie. Widocznie koleje niemieckie mają teraz zbliżone dochody do polskich.

Jest wczesna godzina poranna. Mgła prawie namacalna, gęsta i zielonkawa zalega wszystko dokoła. Przez okna wozu nie widać na odległość ćwierci metra. W pociągu płoną lampy elektryczne i wszystkie sygnały na torze są oświetlone. Przybywamy na dworzec *Alexanderplatz*. Mgła wzmaga się i niby płatami gęstej waty wełnianej zalega wszystko. W ciemnej mazi niesamowitej pomroki dobijamy na dworzec *Zoologischer Garten*. Kotłując, hucząc i przelewając się w niewidzialnej pomroce, pędzą jedne za drugimi, nadziemne kolejki elektryczne. Syk, zgrzyty rels i przez sekundę błyszczące światła latarni w pędzących motorach, wskazują, że coś się rusza i żyje wśród skłębionych tumanów mgły.

Ładna perspektywa, pędzić 100 kilometrów na godzinę, przez taką mgłę! „Mój FD-Zug“ ma właśnie zamiłowanie do takiej szybkości, a choćby nie chciał, to już go pedantycznie, z niemiecką dokładnością ułożony rozkład jazdy zmusi do tych 100 kilometrów!

Gdybym choć znał maszynistę, to wytłumaczyłbym mu, że ja znowu tak bardzo się nie spieszę i że niema sensu w czasie takiej mgły pędzić na złamanie karku...

Niestety, nie znam go, a tu mgła poprostu narasta gąbczastymi warstwami jakiegoś potwornego dyfterytu atmosferycznego.

Dojeżdżamy do *Charlottenburga*, jakoś cało. Cud, jak Boga niemieckiego kocham! A może i nie cud, tylko że ja niepotrzebnie kupiłem sobie kilka dzienników niemieckich, które wypisują niestworzone rzeczy na temat tej katastrofalnej mgły. Np. w Berlinie zanotowano kilkakaset wypadków wjechania autobusów na auta i odwrotnie. Na Sprewie ustała żegluga zupełnie, a w Kana-le Kilońskim jeden stary holownik rozpruł brzuchy dwom młodym i porządnym okrętom. Pociągi przycho-dzą z opóźnieniem, a na stacji *Luckenwalde* „FD-Zug“ skandalicznie się wykoleił... Właśnie i akuratnie taki sam „FD-Zug“, jak mój... Są trupy i ranni... A niechże cię ja-sna cholera!... W sam raz dobrze się wybrałem w po-dróż!... Nadomiar wszystkiego, wóz mój ma numer 13 z czemś, w przedziale moim jest jedno miejsce oznaczo-ne 13-ką, dziś jest feralny piątek i gdy wyjeżdżałem ze Lwowa, to kot przebiegł mi drogę... Ale nie, nie!... Gdy-by Opatrzność chciała mnie zakatrupić, to przecież mo-gło to stać się na rodzinnej ziemi!... Nie bądźmy przesąd-ni!... A mgła sobie narasta, pęcznieje — przechodzi w ciało stałe...

\* \* \*

Czekajcie, niech odsapnę!

Nie bałem się, ale myślałem, że trupem padnę! Wyobrażcie sobie, że opuściwszy *Charlottenburg*, mój „FD-Zug“ przypomniiał sobie rozkład jazdy i zamachnął się na sto kilometrów.

Zaledwie jednak ujechał kilkaset metrów, coś zachręściło wszystkimi hamulcami wszystkich kolei państwowych, zadzwoniło niewidzialnymi łańcuchami, zachrobotało ostrym piskiem nagle zahamowanych kół i stanęliśmy. Na moście. Akuratnie na moście.

Jestem biernym mistykiem i nie sprzeciwiam się nigdy złu. Po co mam wyglądać oknem, lub pytać, co się stało?... Czy to mnie i „FD-Zug“ może uratować przed mackami złodziejskiej mgły?... Teraz, czy później — wszystko jedno!

Stoimy. Na moście.

Zezem oczu patrzę przez szybę. Poprzecznie do żelaznego mostu (choroba wie, jak długo taki most może wytrzymać ciężar FD-Zugu!), wznoszącego się na dwa piętra od poziomu, biegną wąskie i długie uliczki jakiegoś przedmieścia berlińskiego. Zgóry oglądane, mają te uliczki wygląd gąsienic, napęczniałych mgłą. Tu i ówdzie błyszczą się światła w oknach domów, pomimo, że już jest po 8-mej rano.

Ruszamy z miejsca. Stajemy. Znowu na moście. W prostokacie okna ukazuje się jakaś ulica pod nami. Dzielnica, w której znajdują się potworne koszary czynszowe Berlina, napuchłe z braku miejsca obrzydliwą gangreną przybudówek.

Patrzę, dziwuję się i — dalibóg, wyjaśnia się! Mgła szybko rzadnie, opada, rozrywa się w szmaty postrzę-

pione i gdzieś podziwiał się w mrocznej dalekości... Nie będzie katastrofy! Nie będzie, nie będzie!... Niewiadomo tylko, czy ten most wytrzyma... Wtem... wtem nagle uczułem, że próżne są moje nadzieje, próżna radość!... Wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadają mi zgubę, a prognostyk, który w tej chwili zobaczyłem przed sobą w rozrzedzonej mgle — ten prognostyk jest najpewniejszym zwiastunem początku mego końca!

Bo i cóż powiedzielibyście, moi kochani, gdybyście ujrzeli to, co ja ujrzałem na własne oczy i klnę się na Boga, że nie kłamię!

Oto ujrzałem w połowie wysokości mostu, wśród gęstego oparu pierzchającej mgły — trumnę. I to jaką trumnę! Szklaną trumnę, wewnątrz makabrycznie oświetloną krwawą purpurą... Myślicie, że strach mi rozum pomieszał? Nigdy!... Patrzę dalej. Mgła znika i robi się jasno. Trumna szklana, która dotychczas unosiła się wśród mgły, niby zawieszona w powietrzu, okazuje się trumną przymocowaną na hakach do pierwszego piętra jakiejś kamienicy. Nie lata więc w powietrzu, ale solidnie trzyma się muru! Nad trumną widzę nawet dokładnie napis: *Beerdigungsanstalt Thanatos* (po polsku: Zakład pogrzebowy *Thanatos*, czyli — śmierć).

Powiecie, że jestem przeczulony. Być może! Ale, żeby jakiś potworny cham wpadł na pomysł reklamowania swego zakładu pogrzebowego zapomocą szklanej trumny, w której wnętrzu palą się naprzemian raz zielone, a raz czerwone żarówki — tego nie mogłem się spodziewać! I to właśnie w czasie mgły, kiedy FD-Zug zamiast zatrzymać się w Hannowerze, zatrzymuje się na nieprzewidzianym w rozkładzie jazdy moście; w czasie,

kiedy właśnie wyglądam przez okno pociagu stojącego na tym moście, a gazety piszą — et, szkoda gadać!

Trzeba mieć szczęście i tyle!

\* \* \*

**Z**nużony czytaniem, wyglądam przez okno. O ile ten „FD-Zug“ nie skreśli gdzieś karku po drodze, to uwierzę, że w czepku rodzony. Na koła jego nawijają się dziesiątki kilometrów przestrzeni, wprost błyskawicznie. Minęliśmy już *Hannover, Hamm, Dortmund* i *Bochum* i zbliżamy się do *Essen*. I pomyśleć, że wkrótce znajdem się w miejscu rodzinnem Grubej Berty, ostrzeliwującej *Liège, Namur, Brukselę* i *Paryż*! Ja — skromny, apostołski „Landsturminfanterist“ z niekoniecznie walecznej armji austriackiej!...

Mijamy ośrodki potężnego przemysłu niemieckiego. Jak w kalejdoskopie przesuwają się ogromne koncerny fabryczne, aż groźne w swojej zwartej, przeolbrzymiej, ciężkiej masie. Strzeliste masywy kominów wznoszą się jakby grożąc niebu pięściami, a stalowe rusztowania gigantycznych dźwigarów, przekreślają je w szachownicę z rombów i romboidów. Jasnym, nadnaturalnie krwawem światłem uderzają w oczy gardziele rozżarzonych hut żelaznych i walcowni. W sienie dalekości majaczą stalowe żebra jakichś potężnych rusztowań, po których,

niby czarne pająki, wspinają się windy, toczą wózki elektryczne, przebiegają jakieś monstrualne koła poplątane siecią lin transmisyjnych, przerzucających się znowu na rozpućdowe koła i wyciągi ponurych szybów, sztolni i kopali.

Jest coś groźnego, a zarazem pięknego w tym kolosalnym rozmachu pracy i wysiłku ludzkiego!

Jakże idyllicznie wprost wyglądają przy tych czarnych ogromach fabrycznych, małe, zamorusane domki robotnicze omotane sznurami, na których suszy się bielizna. Oczy czepiają się wprost tej bieli, czy różu, fruwającej na wietrze bielizny, aby odpocząć po orgji intensywnej czerni osmolonych hal, czarnych rusztowań, hebanowych kotłów i okopconych murów, ciągnących się, zda się, bez początku i końca...

Mijamy *Duisburg*, *Krefeld* i *Gladbach*. — Wszędzie ten sam widok: hale, sztolnie, kominy, dźwigary, huty, kopalnie, fabryki. Wszystko się zlewa w jedną szarą taśmę nawijaną wstecz od biegu pociągu. Już nawet białe, zielone, czy różowe plamy na sznurach do bielizny, nie działają na ośrodku wzroku...

Raz tylko... Tak, raz tylko w *Gladbach*, gdzie pociąg zatrzymał się na chwilę, zaśmiały mi się oczy, odpoczęły i — nie śmieście się! — zaszklily się łzami...

Przed stacją w *Gladbach*, pociąg zwalnia swoje szalone tempo. Mijamy rozległą kolonję okopconych domków robotniczych, szarych, ponurych i tak smutnych, jak zczerniałe krzyże na grobach zapomnianych ludzi. Nic nie rozjaśnia tych murów z okopconej cegły, nic nie ożywia beznadziejnej monotonji tych klitek ludzkiego bytowania... Zmęczone oczy naciągają na siebie powieki, gdy nagle... co to?... Co to jest?...

Na poddaszu piąterka, za framugą jedyne okienka, coś zielonego chwieje się i kołysze na wietrze. Patrzę i wyteżam wzrok. — Tak, to choinka!... Prawdziwa, małeńka choinka, w tajemnicy przygotowana dla dziecka, na jutrzejszą wigilję.. Powiadam, w tajemnicy, bo wiadać, że choinka została zawieszona daleko za framugą okna, na dworze, gdzie pędrak nie będzie jej mógł przed gwiazdką wymyszkować.

Oczy moje wypoczywają i pieszczą się intensywną zielenią szpilek choinki. Widzę ją już przystrojoną w tanie bibułki i pozłótki, zakupione za ciężko wydobyte groszaki robociarza. Widzę jego uśmiech, gdy patrzy na jasną główkę swego dziecka, któremu spełnił się cud, a wiara w dobrego aniołka ozłociła mu biedną izdebkę na poddaszu i zaczarowała w królestwo z bajki — tak dalekie i inne, niż to szare i okopcone królestwo jego ojca, któremu się już żaden cud nie spełni..

\* \* \*

**P**anie i panowie! Chwileczka cierpliwości, a wnet będziemy w *Aachen*. Ostatnia wielka stacja graniczna, więc zmienimy tylko niemiecką obsługę pociągu, na belgijską i przez *Herbesthal*, *Liège*, *Namur*, *Jeumont* dobiemy się wreszcie do Paryża.

Robię, co mogę, aby wam tę podróż uprzyjemnić i skrócić, więc proszę o troszeczkę cierpliwości.

O! Właśnie pociąg już zwalnia i jesteśmy w *Aachen*.

Proszę wyciągnąć zegarki i posunąć wskazówki o jedną godzinę wstecz. W Paryżu zegar wskazuje teraz o jedną godzinę wcześniej, niż u nas w Polsce. Tracimy wprowadzić jedną przejechaną godzinę, ale za to zastaniemy Paryż jeszcze nie w łóżku.

W *Aachen* są znakomite kielbaski i piwo. Radzę spróbować. Można zjeść spokojnie, bo właśnie rozpoczął się galimatjas ze zmianą personalu „FD-Zugu“. Konduktorzy niemieccy w mundurach generałów i inni panowie z obsługi niemieckiej, opuszczają z godnością swoją placówkę i oddają służbę w niepewne ręce belgijskie. Odcinają sztywni i dumni, jakby chcieli powiedzieć: „My pociąg, aż do *Aachen* doprowadzili w porządku i co do minuty, a co wy z nim zrobicie, to już wasza rzecz!“

Faktycznie, że trochę mi przykro, iż Niemcy już mnie opuszczają. Bądź co bądź, wolę chłopów murowanych, tęgich, po generalsku umundurowanych, niż tych Belgów, małych, czarnych, w cywilnych zarzutkach i czarnych czapeczkach portjerów hotelowych. Taki „FD-Zug“ ma z pewnością także większy szacunek dla generała, niż dla portjera hotelowego... Ale cóż ja mogę na to poradzić?... Dowiozą, to dowiozą — zabiją, to zabiją!... Ciekaw tylko jestem, dlaczego ci portjerzy belgijscy tak biegają po peronie, gwiżdżą, świecą latarkami, gestykulują i naradzają się, jakby nie byli pewni, czy FD zechce wogóle pod ich komendą ruszyć z miejsca. Ta bieganina robi się niepokojąca... Mamy już nawet spóźnienie. Pomyślcie: „FD-Zug“, pędzący przez całe Niemcy bez jednej sekundy opóźnienia, ma już obecnie 20 minut spóźnienia! A co dalej będzie, jeśli portjerzy

będą tak biegali niepotrzebnie z kąta w kąt i świecili sobie wzajemnie latarkami w oczy?...

Nareszcie! Jedziemy!

Już przyjechaliśmy. Jesteśmy w *Herbestahl*, w pogranicznej miejscowości belgijsko - niemieckiej. Stacja celna i paszportowa. Skóra na mnie cierpnie, bo niemam wizy belgijskiej. Wprawdzie mi powiedziano, że wizę taką daje w imieniu króla belgijskiego zwyczajny żandarm w pociągu i że za to trzeba królowi zapłacić 7 franków, ale Bóg raczy wiedzieć, czy to prawda.

Tak, to prawda! Tylko co do tego żandarma mam duże wątpliwości, czy to był żandarm, czy też tak zwany u nas „Haman“. Bo wyobraźcie sobie chłopca wysokiego na dwa metry, w czerwonym kabacie, zielonych spodniach, żółtem czaku z białą kitką, w czarnych butach, popielatych rękawiczkach i w srebrnych epoletach.

Wziął ten kolorowy młodzieniec 7 franków, pomaçał paszport i wydał mi kartkę, na której czarne na białym wypisał, że pan Raort może spokojnie za 7 franków przejechać przez terytorjum Jego Królewskiej Mości Króla Belgów, Walonów i Flamandów.

Natomiast celnik belgijski popatrzył na mnie jak na gościa, który przyszedł na dancing do wytwornego lokalu w pepitowych spodniach, i poszedł na złamanie karku.

No, nareszcie! Dwie granice już przebyliśmy, a teraz jeszcze trzecia — francuska. Ta ma być najgorsza — jak mi oświadczył pewien Francuz z Lyonu, który wsiadł do mego przedziału.

Pokazało się, że jest to bardzo miły Francuz, który mówi po niemiecku i ma w Warszawie zastępstwo jedwabni lyońskich. Jechał też do Paryża i miał duże wątpliwości, czy celnicy w *Jeumont* nie zechcą mu zabrać

kilkaset cygar niemieckich, które wiózł w walizce, ojcu na imieniny.

Powiedziałem mu, że według mego zdania, byłoby to ostatniem świństwem ze strony celników i że może Bóg da, to ich oślepi i nie dostrzegą.

Ruszyliśmy z *Herbestahl* w tempie konduktu pogrzebowego.

Ach, mój „FD-Zugu“, gdzie jesteś?!...

Pociąg wlecze się i wlecze. *Verviers, Pepinster, Liège, Namur, Charleroi, Erquelinnes...* Co chwila spoglądam na zegarek i porównywan czas z rozkładem jazdy.

— Która godzina? — pytam mego Francuza, nie wiedząc już własnemu zegarkowi.

— Godzina? — mówi Francuz z uśmiechem. — Na co panu godzina? Na tej przestrzeni potrzebny jest raczej kalendarz...

Dojeżdżamy do *Jeumont*, granicznej stacji francuskiej. Znowu cło i paszporty. Mój Francuz jest nieco błady i proponuje mi, abym część jego cygar ulokował w swojej gumowej poduszce. Naturalnie, że odmawiam i zyskuję sobie całkiem nowego wroga w Lyonie. W ostatniej prawie chwili lyończyk chwycił swoją walizę z cygarami i zaniósł ją pod ławkę do sąsiedniego, pustego przedziału.

Wrócił, uśmiechnął się nawet i położył palec na ustach, na znak, abym milczał.

Jeszczeby tego brakowało, abym się mieszał w wewnętrzne sprawy francuskie! Ani mi się śni! Stajemy w *Jeumont*. Naprzód wchodzi do przedziału jakieś biedne, małe indywiduum w wyszarzałym paltociku i zrudziałym meloniku i powiada, że jest z *Commissariat Spécial*, który w *Jeumont* lubi przeglądać paszporty. Mój paszport jest biały jak anioł i niewinny, jak nowonarodzo-

na dziewczica. Z paszportem mego francuskiego przyjaciela jest gorzej. Gdzieś jeździł, wyjeżdżał i znowu przyjeżdżał, a Republika Francuska zielonego pojęcia o tem nie miała. Gadu, gadu — pogodzili się. Wiadomo: Francuz Francuzowi, jak kruk krukowi...

Melonik z *Commissariat Spécial* opuścił przedział, a do przedziału weszła kobieta.

W tej chwili zrozumiałem całe podłoże rewolucji francuskiej; zrozumiałem jak niebezpieczny i złośliwy musiał być tłum, zdobywający Bastylję — tłum prowadzony przez rozwydrzone megery, w rodzaju baby, która teraz weszła do przedziału.

Była to kobieta-celnik. Na głowie miała furażerkę z napisem „Douane“ (cło), pod którą kryły się pomierzwione, siwe kudły. Twarz obleśna, chytra, kańciasta i złośliwa; oczy kłujące, zeze — straszne.

Ze mną nie gadała wcale. Na Francuza miała jednak apetyt. Baba wyraźnie wahała pismo nosem i wypatroszyła wszystkie walizy lyończyka. Poprostu wietrzyła, jak dobry pies gończy, ale zgubiła trop.

— Mam ochotę pana rozebrać! — rzekła, uśmiechając się złośliwie.

— A ja nie miałbym ochoty pani rozebrać! — odparł Francuz z galanterją.

Uśmiechnęła się znowu i wyszła.

— Co to jest, że mnie nikt nie rewiduje na granicach? — zapytałem szczerze zgorszony. — Cóżto ja sroce z pod ogona wypadłem!...

— Widzi pan — rzekł Francuz, gdy pociąg ruszył wreszcie z miejsca — jak to panu wytłumaczę. Celnik, to jest taki człowiek, który sam lubi ukraść, ale drugiemu nie da. Że jednak na ludziach się znają, to jest pewne! Sam nie pochwalam przemysłnictwa, które uważam

za czyn wysoce nieetyczny, ale to, co oni tu na granicy wyprawiają z podróżnymi, to przekracza już wszelką miarę!

To rzekłszy, poszedł do sąsiedniego przedziału i przyniósł stamtąd swoją ciężką walizę, wyładowaną cygarami niemieckimi.

Za dwie godziny będziemy w Paryżu. Ach, *Paris! Paris!*

\* \* \*

**G**are du Nord. Jesteśmy w Paryżu!

Pierwsze, co mi w oko wpadło na dworcu północnym, to był duży kawałek węgla. Parowóz wydając ostatnie swoje tchnienie, obsypał mnie dokładnie pyłkiem węglowym. Na pożegnanie!

Zawołałem багаżowego, wręczyłem mu swoje walizki, przygotowałem sobie bilet i drobne pieniądze... Czekać! Czego się denerwujecie przy czytaniu tych słów?... Powiecie zapewne, że te wszystkie czynności każdy z was także załatwia po przyjeździe do Kołomyi, czy Siedlec i że nie poto posłaliście mnie do Paryża, abym opisywał багаżowego i walizki.

Pewnie, że tak! Mielibyście nawet pełną rację, gdyby to się było naprawdę odbyło tak, jak napisałem. W rzeczywistości jednak było zupełnie inaczej (z wołaniem ba-

gażowego i z wręczeniem walizek), a moje normalne czynności przygotowawcze do opuszczenia peronu (przygotowanie biletu i drobnych pieniędzy) nie miały najmniejszego sensu. W rzeczywistości zawołał mnie bagażowy, a nie ja jego i wręczył mi większą walizkę, a sam tylko poniósł mniejszą. Przygotowanie biletu także nie miało sensu, gdyż Francuzi wychodzą z zupełnie słusznego założenia, że kto przyjechał, ten musi także peron opuścić i wcale nie żądają okazania biletu przy wyjściu — a już największym nonsensem było przygotowanie sobie drobnych pieniędzy dla bagażowego i szofera, którzy okazali się zapalonymi amatorami tylko grubszych słów i pieniędzy.

Adres hotelu miałem. Ból głowy także.

Jadę taksówką przez Paryż. Dostaję się w niesamowity wir innych taksówek i czuję się w mojem pudle jak jeden człon kręgowy ogromnego i niekończącego się węża. Ze stosunkowo ciemnych i źle oświetlonych ulic w pobliżu dworca, wpadamy w ulice coraz lepiej oświetlone, aż wreszcie zatapiamy się w orgji jaskrawego, oślepiającego światła Wielkich Bulwarów. (Pan szofer obwoził mnie trzy razy dłuższą drogą, niż trzeba było).

Na tle płonących tafli szklanych, odzielających kawiarnie, bary i sklepy od jezdni, czernieją ruchliwe sylwety przechodniów. Tu i ówdzie mignie wewnątrz odsłoniętej werandy z okrągłymi stolikami, stojącymi na chodnikach; zamajaczy autobus, jak niezgrabny, ogrubny zwierz, za którym pędzą auta, jak sfora zgonionych psów; ciemną dal rozedrze nagle oślepiający błysk kolorowych reklam w otoczu różowawej mgły świetlnej; zaznaczy się czarnymi konturami sylwetka policjanta regulującego ruch na jezdni; przetoczą ci się nad głową kule ogniste lamp; wpadniesz pomiędzy dwa długie sznury elektrycz-

nych słońce, zbiegających się w nieskończonej dali perspektywy; refleksami aksamitnych, zmatowanych lśnień zajarzy się ruchliwa Sekwana i zniknie wśród intensywnej czerni, padającej z arkad mostów; otrzesz się o zzieleniałe mury jakiejś ciasnej uliczki, tonącej w pyłe zielonej mgły gazowych latarni; prześlizgniesz się przez jakiś wesoły czworobok placu, który widziałeś napewno już w życiu, tylko nie pamiętasz gdzie; zakręcisz kilka razy na prawo i w lewo i wyrwawszy się niesolidarnie z ciała długiego węża toczących się pojazdów — staniesz wreszcie na długiej, a wąskiej *rue de l'Ancienne Comédie*, na lewym brzegu Sekwany, gdzie będziemy mieli zaszczyt razem zamieszkać.

Normalny, zrównoważony i solidny człowiek na mojem miejscu poszedłby zaraz spać. To się jednak po mnie nie pokaże! Jakto?... Teraz, kiedy ostatecznie dorwałem się Paryża, mam iść spać, jak każdy przeciętny kapełuszniak paryski?... Przenigdy! Naprzód oglądniemy sobie pokój, który sobie zamówilem, a potem przetryndam się nieco do miasteczka. Wprawdzie nie mogę sobie przypomnieć, jak się chodzi, po 36 godzinach siedzenia, ale myślę, że ta zimna woda w której się teraz chłapię, zrobi swoje. Tak! Teraz jeszcze czysty kołnierzyk i możemy iść... Aha, pokój! Pokój swój muszę jeszcze oglądać... Pewnie, że w hotelu *Carlton*, albo u *Ritza* jest znacznie przyzwoiciej, ale dopóki nie poznam się w Łasku Bułońskim z jakąś wicehrabiną, będę zmuszony tu pozostać. Pokój — i owszem! — Szkoda tylko, że mi dziwnie jakoś przypomina pokój w oberży, opisanej w jednej z nowel *Edgara Allana Poe'go*, gdzie sufit był ruchomy i za pociśnięciem sprężyny przez pewne zbrodnicze indywiduum spadał w czasie snu na śpiącego w łóżku gościa.

Łóżko także — proszę siadać! Z leżeniem będzie gorzej, bo z materaców zrobiła się niecka. Ale za to wy-  
miary!... Prawdziwe, francuskie łóżko! Na całą rodzinę  
i jeszczeby można gości zaprosić. Nie wiem, jak wyglą-  
dało łóżko Marji Antoniny, nie wiem jak sypiał kawa-  
ler de Lauzun, ale mam wrażenie, że moje łóżko jest zna-  
cznie gorszej kategorii. Parawanik, zasłaniający bidet po-  
kojowy, też mi jakoś nie odpowiada. Jest z brudnego  
kretonu, na którym są wydrukowane żółte, małe kaczki.  
Kaczek takich jest po trzy w jednym rzędzie. Je-  
dna podnosi białego robaka z niebieskiej górki, druga  
trzyma go już w dzióbku, a trzecia wypuściła go z dzió-  
ba. Kaczki te, jako wijący się motyw, powtarzają się  
kilkaset razy na parawanie i wywołują u mnie zawrót  
głowy. Czuję, że gdybym jeszcze chwilę patrzył na te  
kaczki, to ani chybi, zaczął kwakać.

Z boku pod ścianą, kanapa. Nawet laik, który nigdy  
jeszcze nie widział kanapy paryskiej, z łatwością się  
domyśli, gdzie trzeba na tej kanapie ułożyć głowę, a gdzie  
nogi. — Miejsce na głowę wskazuje łowiem duża, tłus-  
ta plama, a warstwa stwardniałego błota oznacza miej-  
sce na nogi. Jest jeszcze kominek, zastąpiony obecnie  
przez kaloryfery, jest stół, szafa, umywalnia z zimną  
i ciepłą wodą, są firanki z lambrekinami i pluskwy.

Francuz, gdyby pisał o Polsce i przypadkowo na-  
dział się na taki tani hotel, napisałby z całą pewnością,  
że wszystkie hotele w Polsce mają niecki w materacach,  
żółte kaczki na brudnych parawanach, ohydnie zatłusz-  
czone otomany i obrzydliwe tapety, pod którymi wycho-  
wują się całe pokolenia pluskiew, podczas gdy ja zdaję  
sobie sprawę, że tylko pięćdziesiąt procent tańszych ho-  
teli paryskich jest tego rodzaju. Trzeba być obiektyw-  
nym.

Natomiast z całą stanowczością twierdzę, że w Polsce niema ani jednego hotelu, gdzie na podłodze leżałaby gruba, ogromna szmata, zaścielająca cały pokój. Może są i w Polsce szmaty w hotelach, ale nigdyby nikomu na myśl nie przyszło, aby je przybijać do podłogi gwoździkami — raz na zawsze.

Ostatecznie niechby sobie taka szmata, imitująca dywan, była nawet przybita do podłogi, gdyby pod tą *specialité de la maison* nie leżała fura śmiecia i pyłu, niezamiatanych conajmniej od czasu, kiedy *markiz Boni de Castellane* wpadł na genjalny, choć nieco zwarjowany pomysł, aby Paryż architektonicznie cofnąć w świetlany wiek XVIII.

Nie i jeszcze raz nie! Tyle śmiecia pod jednym dywanem nie znajdzie się u nas nawet w pięciu trzeciorzędnych hotelach!

I znowu proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie uogólniam, ale stwierdzam fakt. Zaznaczyć jeszcze muszę, że za pokój ten płaciłem przeszło dolara dziennie.

Otworzyłem okno na rozścież. W pokoju unosiła się bowiem woń siarki i kwasu pruskiego, któremi widocznie usiłowano otumanić uradowane z mego przybycia, pluskwy.

Spoglądam na smutną i obumarłą o tej porze ulicę. Wygląda jak głęboki tunel o śliskiej, błyszczącej podłodze. Rekoszetem, ponad dachy przeciwnych domów, pada rozpylony opar świetlny z dalekiej łuny, unoszącej się nad centrami *Ville Lumière*.

Myszę, czy opłaci się wogóle wyjść jeszcze o tej spóźnionej porze, tembardziej, że po tak długiej podróży nie mogę sobie ani rusz przypomnieć, jak się chodzi. Powoli rozpinam kołnierzyk i pogrążam się w kontemplacji...

...Kto wie?... Cóż można wiedzieć, jaki los mnie czeka w stolicy świata? — jak Francuzi dumnie nazywają Paryż. — Iluż ludzi przyjechało tu tylko z węzełkiem i bez jednego *sous* przy duszy, a dzisiaj stoją ich pomniki na pryncypalnych ulicach i placach! Kto wie?... Mało naczytaliśmy się, jak to Gaston, Raoul, Jean, czy Roger, wyprawieni przez swoje matki do Paryża z bochenkiem chleba, błogosławieństwem miejscowego proboszcza i kijem ojca, już po roku wodzili rej w salonach literackich, różnych księżn, hrabin, markiz i baronowych?

A nuż i mnie los się uśmiechnie!... Nie trzeba się śmiać! Wszystko jest możliwe u Pana Boga! Nawet w tej chwili może się otworzyć sąsiednie okno i jakaś wytwor-na markiza, której pluskwy spać także nie pozwalają, powie do mnie najmiłszym głosem:

— Któż jesteś przepiękny młodzieńcze?... Czy nie widzieliśmy się przypadkiem zeszłego roku na *Grand-Steep-le-Chase* w Chantilly?...

Wtedy ja szybko otworzę swój podręcznik do konwersacji francuskiej p. t. „*Polak we Francji*“ i poszukawszy odpowiedniego rozdziału, odpowiem najczystsza francuzczyzną:

— Kocham cię o pani! Czy możesz mi pożyczyć 5 ludwików?...

\* \* \*

**P**rzestrzegam wszystkich, którzy mają zamiar wybrać się do Paryża, aby nie zabierali ze sobą żadnych *Baedekerów*, żadnych planów, map, ani samouczków do konwersacji pt. „*Polak we Francji*“, „*10.000 słów po francusku*“, czy też „*Co każdy Polak musi wiedzieć we Francji?*“. Wystarczy bowiem dobrze wyposażony portfel, lub książeczka czekowa na *Crédit Lyonnais*.

Jeszcze nigdy nie uśmiełem się tak serdecznie, jak wtedy, gdy po kilkudniowym pobycie w Paryżu, otworzyłem sobie *Baedekera* i w dziale *Kosten, Geld, Ratschläge* przeczytałem wyraźnie, że „dzienne wydatki w czasie pobytu w Paryżu, wynoszą conajmniej 40 franków“.

Było to tego samego dnia, kiedy w przystępie ataku hochstaplarskiego poszedłem do *Restaurant Prunier*, przy *rue Duphot* i zapłaciłem za obiad, razem z napiwkami 35 franków. Pewnie, że *Prunier* nie jest lokalem dla markizów ze Lwowa, ale czy *Baedeker* jest tylko dla markizów?...

Tak samo nie radzę przed wyjazdem zasięgać informacji u znajomych, którzy swego czasu byli już w Paryżu. Informacje te były dobre i ścisłe w roku 1855, to jest w czasie pierwszej paryskiej wystawy światowej. Teraz jest zupełnie inaczej i nie pomoże ci nawet żaden „*Polak we Francji*“, jeśli bardzo skromnie żyjąc, nie masz około 100 franków dziennie. Można żyć i za 10 franków dziennie, ale wtedy trzeba koniecznie spać pod jakimś mostem *Sekwany* i jadać trzy razy dziennie supę cebulową w *Halach*.

Wogóle, cały ustalony system monetarny, określenie stałej wartości pieniężnej, nasze zaufanie do pełnowar-

tościowej waluty i jej siły nabywczej, biorą w Paryżu w łeb. Jakby to wytłumaczyć?... To jest tak: Póki masz w portfelu sto złotych, czy dziesięć dolarów, to czujesz i wiesz, że masz przy sobie jakiś grubszy pieniądz. Tak przynajmniej odczuwałeś przez wiele lat, żyjąc w Polsce. Spróbuj natomiast zmienić sto złotych, lub dziesięć dolarów na trzysta franków, to w jednej chwili stajesz się skończonym dziadem, który w skrytości duszy myśli już o polskim konsulacie i o bezpłatnym bilecie na drogę powrotną.

Wiem, że to moje twierdzenie nie wytrzymuje krytyki, bo 300 franków, to przecież to samo co 100 złotych — a jednak... Trzysta franków w Paryżu, to tyle, co psu mucha! Otrzymawszy przy wymianie trzy banknoty po sto franków, odnosiłem zawsze takie same wrażenie, jak będąc jeszcze małym chłopcem, odnosiłem, przypatrując się w domu wypiekaniu, tak zwanych „niców“, czyli pianki z białka, jaj i cukru. Dużo tego narastało w czasie ubijania piany w wazie, dużo było na półmisku — a węź do gęby: nic!

Lubię tę specjalną francuską lekkość, barwność i — że tak nawet powiem — figlarną frywolność w sztuce, literaturze i architekturze, ale nie lubię tych właściwości — na banknotach. Banknot, jako pieniężny środek obiegowy, jest dla mnie zawsze synonimem czegoś bardzo poważnego, mocnego, brutalnego i — nieosiągalnego.

Nic więc dziwnego, że od lat młodzieńczych, czyli od czasu gdy nie mam pieniędzy, przyzwyczałem się do traktowania banknotów na serjo.

Przyzwyczałem się do ich solidnego papieru szarego, lub w poważnym tonie utrzymanego tła, do przerażających dziewic w symbolicznych wianuszkach na głowach, do rachitycznych żniwiarzy, lombrosowskich ko-

wali z młotami na ramionach, do kmiotków-siewców, starych przyków w halsztukach, czy do walecznych generałów w otoku stylizowanych firecyfuszaków — słowem: do apoteozy.

Banknoty francuskie wywoływały u mnie natomiast jakiś przypływ niesłychanej wesołości, lekkomyślnej beztroski i dobrego humoru.

Jakże tu myśleć serjo i poważnie brać taki banknot z cieniutkiego papieru, jak bibułka cygaretowa, utrzymany w kolorach jasnych, różowych, lazuruwo-niebieskich i turkusowych. Gdyby tylko te wesołe kolory! Pełno tam bowiem figlarnych amorków, dziewczynek w powiewnych szatkach, Antinousów w hełmach Merkurego, piramid i girland z owoców, kwiatuszków, kokieteryjnych czapek frygijskich i Bóg wie co jeszcze.

Patrząc na takie banknoty masz wrażenie, że zamieniłeś dobrą, ciężką walutę, na kartki z powinszowaniem imienia, na życzenia noworoczne kominiarzy, na losy loterii akademickiej, czy na weksle łódzkie z podpisami żyrantów warszawskich.

W przeciwieństwie do waluty papierowej, przedstawiają się monety zdawkowe bardzo solidnie. Nawet za solidnie! Taką np. 20-centimówką, będącą w obiegu od czasów Napoleona III-go, można zupełnie lekko rozbić głową najsilniejszemu bokserowi.

Różnorodność bilonu będącego w obiegu, sprawia też to, że mimo najlepszej woli, cudzoziemiec nie jest w stanie zorjentować się, ile właściwie pieniędzy posiada. Mając nieraz pełną kieszeń mosiężnych i miedzianych kół, wielkości naszych pięciózłotówek, zdawało mi się, że jestem Krezusem. Wystarczy jednak wejść do pierwszego lepszego baru, aby się przekonać, że kilka garści takich liczmanów, to zaledwie cena za podły *apéritif*.

Ze zdumieniem patrzysz też, jak za maleńki miedziany frank, otrzymujesz dwa inne, duże koła miedziane, jedno ogromne koło mosiężne, dwie małe, dziurkowane w środku nikłówki i jeszcze jakieś dwa kamienie młyńskie z metalu, które są w obiegu od czasów zdobycia Bastylji.

W państwie, które posiada największe zasoby złota w Europie, niema w obiegu ani złota, ani srebra. Nawet nikłówki są rzadkie.

Natomiast, jako broń zaczepno-odporna, posiada ów bilon francuski pierwszorzędne znaczenie. Mając pełną kieszeń miedzianych i mosiężnych *sous'ów*, posiada się zarazem niebezpieczną broń w ręku. Wystarczy bowiem lunąć pełną garścią takich monet w twarz jakiegoś apasza — gdyby apasze jeszcze istnieli w Paryżu — a zaręczam, że zwali się z nóg. Jest to nadomiar wszystkiego bardzo tania przyjemność, bo trzema, lub czterema frankami drobniaków, podejmuję się zakatrupić nawet Carpentiera.

Być może, że w czasach, kiedy Paryż był taniem miastem, odgrywały te duże monety o małej wartości rolę faktycznego środka obiegowego o jakiejś sile kupna. Dziś można za wielki krążek 10-centimowy dostać najwyżej od dziada... po pysku.

Pozatem służą te drobniaki (w większej ilości) do uiszczania obowiązkowych *pourboire'ów*, czyli napiwków, bez których życie w Paryżu straciłoby cały swój urok, jak miłość bez całusa, jak parlament bez opozycji, albo jak paszport bez wizy.

\*   \*   \*

Czas już, moi kochani, wyjść z wami na ulicę, za którą zapewne tak samo stęskniliście się, jak ja. Proszę was tylko, na miły Bóg, trzymajcie się mnie, a ja się będę trzymał pewnego towarzyszącego mi, bardzo sympatycznego medyka, który w Paryżu już od szeregu lat zdycha sobie z głodu. Pamiętajcie, że przez ulicę w poprzek można tylko przejść wtedy, kiedy policjant zatrzyma wszystkie auta i autobusy. Najlepiej przechodzić na drugą stronę, pomiędzy dwiema linjami, oznaczonymi główkami ogromnych gwoździ, wbitych w jezdnię. Między temi dwiema linjami jesteś eksterytorjalny, nietykalny i bezpieczny. Choćby nawet jakieś auto w największym pędzie gnało, zatrzyma się jakby zamurowane przed linią gwoździ. Na każdym innem miejscu, gdyby ci pogruchotało kości, mogą zaistnieć spory i kwestje co do należnego ci odszkodowania, natomiast gość przejechany wśród gwoździ, uzyskuje bezspornie i bezapelacyjnie odszkodowanie za ból, wstyd i połamane kości. Zdarzają się szczęśliwcy, których jakieś auto przejedzie właśnie na tej linii demarkacyjnej, wśród gwoździ i wtedy taki człowiek może mówić o szczęściu, bo jeśli nawet urwało mu głowę, to ma zapewnione odszkodowanie i rentę na całe życie.

Na pochwałę szoferów paryskich trzeba jednak powiedzieć, że ludzie ci są mistrzami w swoim zawodzie. Auta, toczące się nieraz w szalonym pędzie, stają nagle zahamowane o kilka centymetrów przed przechodniami. Sprawność i wytrzymałość hamulców jest wprost zadziwiająca. Najlepiej też jest przechodzić ulicą i zupełnie nie zważać na śmigające auta.

Auto pędzące, zda się, wprost na ciebie, ominie cię tak sprawnie i szybko, że ani się spostrzeżesz, gdy jest już daleko. Tylko nie cofać się z jezdni! Szofer wtedy traci orientację i możesz otrzymać rentę pośmiertną.

A teraz, kiedy już zabawiłem się w starego ojczulka, który przestrzegł swoje dzieci przed niebezpieczeństwami dużego miasta, możemy potryndać się dalej.

Dokąd chcecie pójść?... Aha!... Chcecie widzieć Paryż?... Hm... Paryż... No, dobrze, ale — jakby to wam powiedzieć?... Paryż jest wszędzie i nigdzie... Paryż ma tysiąc twarzy, tysiąc ośrodków i tysiąc Paryżów w sobie. Wszystkie inne wielkie miasta, które widziałem, mają jakiś punkt wyjścia, jakieś centrum, wokoło którego powstały inne ośrodki mniej ważne, mniej okazałe i ożywione. W Paryżu jest inaczej! Tu każda dzielnica ma swoje własne, swoiste oblicze, zupełnie niepodobne do sąsiedniej dzielnicy. Mało tego! W każdej dzielnicy można znaleźć kilka ośrodków głównych, żyjących własnym i nigdzie niezapożyczonym życiem. Gdzież więc jest Paryż?... Czy to *Place de la Concorde*?... Czy to *Montmartre*?... Pola Elizejskie?... Dzielnica Łacińska?... A może to Bulwar *des Italiens*?... Plac *Pigalle*, czy wybrzeże *Se-kwany*?... Nie wiem!...

Chodźmy i szukajmy. Nim jednak zapuścimy się w labirynty wielkich ulic i uliczek, pozwólcie, że wam coś powiem z historii Paryża. Proszę się nie lękać! Złatwię to w kilku zdaniach:

Paryż miał kilka szczytowych punktów rozwojowych w swojej historii. Taki punkt szczytowy osiągnął Paryż za Franciszka I-go. Drugi punkt szczytowego rozwoju przypada na czasy Ludwika XIV-go — trzeci, za Napoleona, a czwarty, za czasów drugiego Cesarstwa. Ten ostatni punkt był w swojej intensywności promie-

niowania najsilniejszy, bo przetrwał do czasów przed wybuchem wielkiej wojny.

Tyle tylko z historii.

Obecny Paryż — Paryż powojenny nie wykazuje tendencji do osiągnięcia punktów szczytowych. Przeciwnie! Zalew amerykańskich snobów (obecnie coraz mniejszy) zamerykanizował to piękne miasto w tempie iście nieprawdopodobnem. Może to brzmi nawet paradoksalnie, ale prawdą jest, niestety, że istnieją całe ulice w Paryżu, gdzie, dzięki amerykanizacji, nie można się doszukać w Paryżu — Paryża.

Stary Paryż — Paryż, znany z *Cyganerji* Murgera, Paryż *Montmartru*, czy nawet widziany w przepięknie inscenizowanym filmie „Pod dachami Paryża” — ten Paryż staje się legendą.

Wymarli pasztetnicy z czasów szaleństw kadetów z Gaskonji, umilkli grajkowie i śpiewacy uliczni — skołtuniały rozkoszne midinetki. Brać artystyczna z *Montparnasu* skołtuniała, lub siedzi na tłustych posadach aranżerów wystaw sklepowych, studenci z *Quartier Latin* froterują posadzki w wielkich magazynach, lub dźwigają bekony w *Hallach*, kwiaciarki tańczą w barach z murzynami, lub pozują jako manekiny w salonach mód, a dowcipny, miły i (rzekomo) lekkomyślny Francuz drobnomieszczański czeka zachłannie na etranżerów i ciuła skwapliwie swoje franki.

Niema na ulicach, ani w lokalach tych typów, które nadawały dawniej piętno i charakter Paryżowi. W dużych, zamerykanizowanych barach podają *cocktaile* i *apéritify*, gra jazz i tańczy kolorowa swolocz. Pośpiech i zmechanizowanie życia, graniczące z automatyzacją amerykańską, znamionują teraz życie widzianego Paryża. Bo

jest i Paryż niewidzialny dla cudzoziemca — ale o tem potem.

Paryżanie przyjęli od Yankesów całą ich gorączkę nerwowego pośpiechu, kult dla pełnowartościowej waluty; całą ich bezwzględność w stosunku do obcych poszukujących pracy, automatyzację i standardyzację bytu. Obecnie żyją paryżanie, jakby w wiecznej gorączce i gonitwie za dobrą i pełnowartościową walutą.

Te tłumy przelewające się ulicami, to nie obojętni spacerowicze, oglądający sobie Paryż, czy włóczący się bez celu, lecz ludzie interesu, których każda chwilka jest droga i obliczona pewną ilością papierowych franków...

Ach, prawda!... Ja sobie gadu, gadu, a na śmierć zapomniałem, że mamy sobie oglądnąć ulicę paryską! Śmiały to eksperyment, bo ulica paryska jest jak kameleon, który co chwila zmienia swoją barwę. Gdzież tej typowo paryskiej ulicy szukać?... Jesteśmy na lewym brzegu Sekwany, czyli w dzielnicy rzekomo uboższej i mniej wytwornej. Boję się, że gdy wchłoniecie w siebie obrazy tej części miasta, gotowicie urobicie sobie przekonanie, że tak właśnie wyglądają inne dzielnice miasta. A byłoby to dużem nieporozumieniem... Wiecie co?... Chodźmy tam, gdzie przeciętni cudzoziemcy przywykli szukać właściwej twarzy Paryża... Chodźmy na Wielkie Bulwary i na Pola Elizejskie. Tam ujrzymy prawdziwe *Ville Lumière*; ten spotęgowany do absurdu ruch, orgję światła, niesłychany luksus i bogactwo, oraz nieprzeliczone rzesze cudzoziemców, którzy nadają tej dzielnicy swoiste oblicze centrum międzynarodowego świata.

Paryż prawdziwy, Paryż stary, Paryż starych ruder oświetlonych gazowymi latarniami, wąskich uliczek i biedoty wszelakiej, oglądniemy sobie kiedyindziej...

Teraz popłynemy niekończącym się tunelem jasno oświetlonych wystaw, na których tle odbijają się ruchliwe kontury i sylwety mrowiska ludzkiego — przed siebie.

Patrzcie, jak na niebotycznych dachach zapalają się reklamy świetlne. Jakieś wielkie, seledynowe i purpurowe postacie kłownów przebiegają elektrycznymi nogami po zielonych transparentach, zapowiadając widowiska i imprezy niesłychane. Tam znowu przebiegają na najwyższym szczycie drapacza chmur, jakieś karminowe konie z elektrycznych żarówek i zadniemi kopytami elektrycznych nóg kopią w poplątany chaos kolorowych liter, które w takt rytmicznego kopania szeregują się w posłuszne linje napisu, reklamującego firmę *Nicolas*, czy „Biały tydzień“ magazynu *Printemps*...

Na terasach kawiarni i restauracyj — pomimo zimnej pory — siedzą ludzie o spasionych karkach i żują smakowicie, mlaskając językami. Poprzez tafle szyb modnych hallów hotelowych patrzą na ciebie obojętni ludzie wtłoczeni w miękką skórę klubowych foteli, w oczekiwaniu na swoje limuzyny, swoich maklerów, czy mizdrzące się jeszcze w apartamentach, kokoty luksusowe.

Na białych od światła trotuarach, obok wielkich magazynów, wśród stosów jedwabi, wstążek, miękkich futer, pajęczych koronek i mozaiki brokatów, przelewają się tłumy pachnących kobiet, cheiwych i podnieconych szelestem i dotykaniami jedwabnych tkanin. Tu i ówdzie, na tle sproszkowanego złota jaśni, modnego *bistro*, siedzi samotnie elegancka éma uliczna, pogrążona, zda się, wyłącznie w kontemplacji nad szklaneczką *cocktailu*, z której słomka wiedzie do jej krwawo podmalowanych ust... Poważni, kapiący od złota i szamerunków portjerzy ki-

nowi zachęcają jednym wytwornym ruchem swojej dostojnej ręki, do przekroczenia bram świata iluzji.

Za bufetami barów, stoją czeredy białych alchemików-barmanów, mieszając bajecznie kolorowe trucizny w cieniutkich kieliszkach. Błyszczą i drgają kołowroty szklane, pod naporem ciżby, wlewającej się i wylewającej z popularnych kawiarni i restauracyj. Nad wszystkim góruje oszołomiający syk i zgrzyt ślizgających się kół automobilowych, trących o wysłizgany asfalt jezdni. Całe zbiorowiska poplątanych ciał ślizgają się i spychają z chodnika. Musisz iść i iść, ciągle naprzód, bo ruchoma fala cię zaleje, zepchnie i zmiecie... Jest tu nadmiar wszystkiego! Za dużo owoców, krewetek, ostryg i raków w koszach, przed sklepami — za dużo żarcia wszelakiego, butelek, kobiet, hołoty, barów, światel i hotelów... To miasto dławi się w dobrobycie i trzaśnie chyba kiedyś od nadmiaru obfitości.

Chodźmy stąd!... Jeszcze nieraz tu będziemy. I tak muszę się z wami pożegnać, bo jestem dziś zaproszony na wigilję. Tak! Dziś właśnie jest wieczór wigilijny, który zamysłam spędzić w jednej z modnych restauracji w pobliżu *Etoilu*. Zaprosił mnie mój znajomy medyk, który tam jest zajęty, jako grajek fortepianowy. A no — trzeba sobie i wieczór wigilijny oglądać w Paryżu. Bądźcie zdrowi! Idźcie sobie gdzie chcecie i odczepcie się odemnie! Adieu!... Holla, taxi!

\* \* \*

Siedzę właśnie w podrzędnej, choć modnej restauracji przy *rue de l'Arc de Triomphe*, gdzie zamysłam spędzić *Reveillon*, czyli wigilję Świąt Bożego Narodzenia, zwanych tu *Noël*. Równie dobrze mógłbym siedzieć w każdej innej restauracji i gapić się na dziwa francuskiej wigilji, gdyż wszędzie jest prawie ten sam widok. Wybrałem jednak tę restaurację, gdyż mój znajomy medyk — którego od tej chwili będziemy nazywali np. Mayer — zaproponował mi tę restaurację. — Po pierwsze, że jako grajek fortepianowy w tym lokalu ma zniżkę, a powtórę, że zobaczę tam ciekawe i międzynarodowe towarzystwo madziarsko - rosyjsko - niemiecko - francuskie.

Siedzę tedy w lokalu, gdzie wszystkie światła są, według najnowszej mody, przyćmione i padają zmatowanym półmrokiem z ukrytych wnęków, na granicy gładkich ścian i sufitu. Na stołach, małe, przenośne lampki w cudacznych abażurach. Nastrój *correct, smart...* Goście powoli zaczynają się schodzić. Gruby gospodarz, Węgier, z podejrzaną wysypką na twarzy, wita wszystkich, pod gałązką jemioli, która tu zastępuje naszą choinkę. Wśród pęków jemioli nad drzwiami błyszczą się iskierki kolorowych lampek elektrycznych.

Mayer gra dyskretnie na fortepianie i robi nastrój. Specjalne menu wigiljne jest znacznie droższe i zawiera kilka dań, których *clou* stanowi bażant pieczony.

Na mnie nikt ze służby nie zwraca uwagi. A raczej zwracają, ale jak na ubogiego krewnego, którego w czasie tak uroczystego święta, nie wypada poprosić, aby poszedł odwiedzić innych, bliższych krewnych. Sprawiała to widocznie interwencja Mayera, który mi wyjednał zniż-

kę 2-frankową — mówię wyraźnie — 2-frankową, czyli około 65 groszy, na całym menu wigilijnym.

Nadeła się pierś moja oburzeniem. Jakto?... Ja, który posiadam w woreczku na szyi. około 150 dolarów, nie licząc kilkuset franków w portfelu, miałbym znieść spokojnie, jak kelner. patrzy na mnie, jakby przez matową szybę?... Niby mnie widzi, ale nie widzi!... Czy miałbym spokojnie znieść, jak z przed nosa zabierają mi buteleczki, lepsze kieliszki, nakrycie deserowe, a nawet karafkę z oliwą?... Przenigdy! I za co?... Za 65-groszową zniżkę, którą mi ten choleryczny Mayer wyjednał?... O, to się jeszcze pokaże, kto w tym lokalu ma do gadania!...

Każę sobie przywołać gospodarza. Garçon patrzy na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom. Wieść, że za interwencją Mayera, uzyskałem zniżkę na wyżerkę, obleciała już widocznie cały lokal. Czuję, że jestem zarżnięty. Gospodarz jednak przyszedł. Przywitałem się z nim, jakbyśmy się dopiero wczoraj pożegnali na pogrzebie rodzonej babki i powiadam:

— *Mi újsag, kedves?*

Chłop zbaraniał.

— Pan mówi po węgiersku?...

— *En tiszta ember magyar vagyok!*

Rety!... Ucieszył się chłop, jak warjat, tembardziej, że — jak stwierdziłem — był już nieco wlany. Rozczuliło się chłopisko i obiecał mnie zapoznać z kolonją węgierską, która dziś u niego spędzi wieczór wigilijny. Zniżkę udzieloną mi, via Mayer, musiał jednak cofnąć, gdyż zagroziłem, że odejdę. Od tej chwili wszystko się zmieniło. Garçon nabrali dla mnie szacunku, a sam *maitre d'hôtel, monsieur Etienne*, usługiwał mi do stołu.

Miło tu i przyjemnie, gdyby nie te spojrzenia Mayera, patrzącego na mnie z nad klawiatury spojrzeniem

kwoki, której wylęgle kaczęta, poszły sobie na głęboki staw.

Towarzystwo się zwiększa i zwiększa. Przeważnie młode pary. Wchodzą splecieni ramionami, jakby w scenicznym uścisku miłosnym. Siadają i patrzą w siebie, aż garçon podsunie im kartę win i spis potraw. Wtedy wszystkie ich zmysły koncentrują się w zmyśle smaku.

Dzisiejsza noc wigilijna jest we Francji tem samem, co u nas noc sylwestrowa. Natomiast t. zw. „Sylwester“, w pojęciu święta religji mojżeszowej, jak u nas — jest w Paryżu prawie że nieznany. Owszem, popiją sobie ludzie tu i ówdzie, z okazji zbliżającego się Nowego Roku, ale ten *Nouvel'an* nie jest tu przyczyną do zabaw, maskarad, redut i innych masowych zbiegowisk. Wigilja Bożego Narodzenia jest natomiast tem, co u nas „Sylwester“. Nie polega jednak na włóczeniu się z knajpy do knajpy i z dancingu na dancig. Francuzi naogół nie lubią zmieniać lokalu, w którym zasiedli do kolacji, gdyż lubią spokojnie, dobrze zjeść i wypić. Trzeba też widzieć z jakim nabożeństwem Francuz zabiera się do jedzenia!...

Zwróćmy uwagę na tę parę, która teraz przyszła. Dlatego zajmimy się tą parą, gdyż są to rodowici paryżanie. On, dyrektor banku — jak mnie gospodarz poinformował — z wstążeczką legji honorowej w butonierce; ona — pod słowem! — jego żona.

Dyrektor jest blady, nalany, z dużym nosem, przysadkowaty i nosi fryzurę obramiającą mu kark wianuszkami postrzępionych, czarnych kosmyków skrecających się, jak piórka na ogonie kaczora. Typowy i stuprocentowy Francuz. Ona: chuda, kańciasta, z dużym nosem i ubrana bez smaku. (Tak, tak! Paryżanki są bardzo często ubrane źle i bez smaku!) Pani dyrektorowa siedzi w pełnem świetle i dlatego widzę, że niema brwi, ma sztu-

czne rzęsy sterczące jak szpilki szczeci i pomalowane na sino powieki, nadające jej wyglądu nieboszczki, gdyby nie kolor policzków, robiących konkurencję znakomicie wypalonej cegle.

Dyrektor nie patrzy na swoją połowicę, gdyż odbywa właśnie misterjum, jakim jest u każdego Francuza ta chwila, kiedy zastanawia się nad doborem potraw i napitku. Jedzenie jest jeszcze do dziś głównym problemem życia każdego paryżanina. Mało — problemem! Jest kwestją narodowego honoru, ba! — kwestją rasy i właściwością krwi.

„*Le Createur, en condamnant l'homme à manger pour vivre, l'y invite par l'appétit, et l'en récompense par le plaisir*“ — powiedział Brillat-Savarin w swojej „Fizjologii smaku“. — I słusznie!

Chwała Bogu, że zmysł smaku i skłonność do dobrego jedzenia nie znikły w Paryżu tak, jak dorożki konne! Horda amerykańska, zamerykanizowawszy ulicę paryską, wprowadziwszy *cocktaile*, *bary*, *jazz* i *aperitif'y*, nie zdążyła jeszcze zupełnie zniszczyć zamiłowania paryżan do dobrej kuchni i dobrego jedzenia, pomimo, że istnieją już w Paryżu całe szeregi restauracyj, które poszły na ustępstwa wzbogaconej hołoty amerykańskiej i podają u siebie potrawy przystosowane do skórzanych języków amerykańskich.

Typowy paryżanin, jakim niewątpliwie jest nasz dyrektor, długo się zastanawia i dobiera, zanim zdecyduje się kazać podawać do stołu. Służba wie, przy jak ważnym obrzędzie celebrytuje i dlatego ma pełną świadomość swojej ważnej roli.

Więc naprzód zbliża się do dyrektora *maitre d'hôtel* i odbywa z nim dłuższą, intymną konferencję. Mówi ciepłym, przekonującym głosem, łamiąc ostatni opór go-

scia. Zestawia fachowo całe *menu*, aż po deser, z wyjątkiem win. To należy już do drugiego usługującego fachowca, który tak samo, jak paryski klient, wie dobrze, że wino, choćby robione we Francji, długo jeszcze nie jest winem dla smakosza. Tu decyduje nie tylko kolor, temperatura, czy marka, ale ów specyficzny dobór zgadzający się z *menu*, z okazją przy jakiej się to wino pije, z towarzystwem w którym się siedzi, z nastrojem i porą dnia, czy nocy. Tu decyduje jeden rok! Trzeba wiedzieć, że burgund ma tylko rację bytu, jeśli nosi na sobie autentyczną datę 1865 roku i pochodzi z... Belgji, gdzie jak wiadomo, wina burgundzkie najlepiej konserwują — pomimo, że Burgundja jest pod nosem. Trzeba wiedzieć, że taka flaszka musi być podana leżąc w koszyku i otulona serwetą jak niemowlę w powijakach... Czego to nie potrzeba wiedzieć w szanującej się restauracji, jeśli się chce dogodzić dyrektorowi banku!...

— A więc, garçon, podawać!... Naprzód skosztujemy tę makrele, bo lekkostrawna i koniaczek *Armagnac*, lecz prawdziwy, gdyż inaczej napiję się tylko *Fine-Maison*!... Uwaga!... Podasz tę sałatę, zachwalaną przez *maitre d'hôtel*, lecz bez oliwy i flaszeczkę *Nuy*, ale lekko ogrzaną... Potem kawałeczek *roastbeef'u* na zimno z auszpikiem... *voilà*!... Czekaj!... Myślę, że ten wigilijny bażant *à la maison* przyda się także... Potem szparagi, ale dużo maselka!... Burgund, 1865 już zamówiony... Potem serek *Camembert*... Czy dobry?... Ej, bo uszu natrę!... Kawa na dwie osoby i buteleczka *Cointreau* — owoce naturalnie: figi, daktyle, banany — no: podawać!...

Teraz dopiero mogła dyrektorowa przemówić do męża, który skończył swój ważny obrzęd. Na sali nastroje idą w górę. Przybywa coraz więcej par. Przeważnie starsi panowie, którzy wyrwali się z towarzystwa swoich pra-

wowitych żon, w towarzystwie młodych i ładnych dziewcząt. Swoboda panuje tu w całej pełni. Parki całują się i obejmują czule, nie krępując się niczem. Chwalebny ten i piękny zwyczaj całowania się parok na ulicy, w „*métrze*“, czy w innem miejscu publicznem, jest tu rzeczą tak powszednią, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie gorzyć się z tego powodu. Większe już wrażenie wywołuje jeśli dwie kobiety splecą się ramionami — jak to w tej chwili uczyniły dwie dziewice przy sąsiednim stole — i zewrą się w długim, niekończącym się pocałunku. Ale i to nie wytrąca z równowagi rodowitego paryżanina. Chociaż... Czekaście!... Nie, ten niekończący się całus dwóch dziewic, robi swoje!... Nastaje nagle cisza i goście podnoszą głowy z nad kieliszków. Przez salę płynie jakiś drażniący, zmysłowy prąd, spowijając wszystkich w siateczkę kłujących igiełek, przesuwających się wzdłuż karku ku krzyżom. Dziewczęta zapomniały o świetle bożym, trwając w palącym, pozbawiającym tchu, pocałunku... Na sali robi się gorąco. Niektórzy wstają od stołów i otaczają nieprzytomną parę. Podchodzę i ja. Jedna z dziewcząt jest wątła, o ślicznym profilu blondynki. Druga, silna brunetka o czole degeneratki. Obie mają oczy przymknięte i drgają w niesamowitej emocji pocałunku.

— Dość tego! — woła oburzony gospodarz i dodaje, jakby na usprawiedliwienie — Kokaina!

Dziewczęta odrywają się od siebie. Oczy mają szeroko i obłędnie rozwarłe. Drgają i uśmiechają się nieprzytomnie. Ryk śmiechu obecnych, przyprowadza je do przytomności. Poprawiają sobie rozburzone włosy i już po chwili — jakby nic — trącają się kieliszkami wina.

Dyrektor już jest po kolacji. Zaintrygowały go całujące się dziewczynki i gestem władcy zaprasza je do swego stołu. Podchodzą z najmilszym uśmiechem, witają się

z dyrektorem i dyrektorem silnem potrząśnięciem ręki i siadają przy ich stole.

Teraz rozpoczyna się na sali właściwy obrzęd religijny. Od stołu do stołu rzucają w siebie goście garściami *confetti*, lub kolorowymi serpentynami *coriandoli*. Szczytem zabawy wigilijnej jest jednak rzucanie w siebie papierowymi kulkami (*boules*), które należy trafić w głowę tego, dla kogo są przeznaczone. Naturalnie, że trzeba i pić przy tem. Pić na umór.

Robię co mogę, aby nie dać się wyprzedzić Francuzom. Piję, ale czuję, że lada chwila poddam się i pójdę do niewoli. Francuzi mają wprowadzić przysłowie: „*Saoul comme un Polonais*“, czyli po naszymu: „Pijany, jak Polak“, ale z przyjemnością stwierdzić muszę, że gdyby Polak wypił tyle co przeciętny Francuz w czasie nocy wigilijnej, to uzyskałby u nas championat i pierwszą nagrodę, choćby Państwowego Monopolu Spirytusowego, w braku Monopolu Winnego.

Robi się też coraz gwarniej, cieplej i przytulniej. Gości czeka jeszcze atrakcja, bo wkrótce ma przyjechać znany tancerz murzyński Charles ze swoją partnerką, śpiewaczką Yvonną z jakiegoś modnego *music-hallu*, aby się zaprodukować.

Towarzystwo madziarskie, które skupiło się przy jednym stole, akceptuje mnie.

Przypominamy sobie Debreczen, Nyiregyháza, Peszt i Satoralja-Ujhely... Mój kochany medyk Mayer gra melodje z pusztty węgierskiej w tempie kołomyjki. Ogólne rozczulenie. Dyrektor puścił swoją żonę zupełnie kantem i uczy się nowej metody całowania od dwóch zaproszonych do stołu dziewcząt. Opuszczoną żoną zajął się jakiś mulat o błyszczących zębach. Lecą *boule* i serpentyny *coriandoli*, omotując stoły i biesiadujących. Ten dy-

rektor stanowczo sobie nic nie robi ze swojej żony. U nas, w Polsce, dostałby już z pewnością dwa razy po głębie, nie licząc skargi separacyjnej. Uczy się i uczy, choroba, tych pocałunków, jakby z tego miał chleb jeść kiedyś. Piję dla odmiany dobrego tokaja i sam już w to wierzę, że jestem Węgrem. Możebym nawet już i Węgrem został, gdyby nie jakiś potężny białogwardziejec rosyjski w smokingu, który sobie mnie upodobał i chce mi koniecznie zaśpiewać rosyjski romans cygański za 10 franków w gotówce. A niech chłop sobie pośpiewa! Zawsze lubiłem popłakać przy takich romansach. Śpiewa mi cicho i fałszywie do ucha, nie spuszczać oczu z mego zegarka. Ostatecznie wyrzucają go z lokalu. — Wracam do Węgier. W sam czas, bo na środku sali, produkuje się już tancerz murzyński. Stary, wybrakowany, zreumatyzowany murzyn, ma właśnie silny atak epilepsji. Na szczęście krótkotrwały. Teraz śpiewa jego partnerka, *mademoiselle Yvonne*. Jest biała, przerastała, duża i ufarbowana na blond. Śpiewa, wpatrzona miłośnie w swego przechodzonego murzyna. Przysiągłbym, że go kocha, gdyby tak fałszywie nie śpiewała. A może go i kocha?... Kobieta, która w Paryżu zdobyła murzyna, może mówić o szczęściu! Tyle jest białych blondynek w Paryżu, że niktby na nie uwagi nie zwrócił, gdyby nie czarne tło murzyńskie.

*Reveillon* odchodzi, aż miło! Zjawia się coraz więcej eleganckich kokot i kołyszac się w biodrach, obnoszą z grandezzą po salach swoje wdzięki. Przysiadają się do stolików, nie pytając o pozwolenie. Mówią wyłącznie z mężczyznami, zaś panie towarzyszące tym mężczyznom, traktują „per nogam“. Obojętne: żona, kochanka, siostra, czy teściowa! Nie widzą je poprostu — nie istnieją dla nich! Po chwili już wciągnęły tego, czy owego w rozmowę, zajęły, zainteresowały — namówiły. Nieje-

den też, który przyszedł w towarzystwie swojej wieloletniej przyjaciółki, wstaje od stołu, płaci i odprowadza ją do auta, a sam po chwili wraca do nowej syreny.

U nas, byłyby spazmy, szlochy, jodyna i Bóg wie co jeszcze. W Paryżu jest inaczej. Zaręczam, że odstawiona do auta długoletnia przyjaciółka, pojechała tem samem autem w wiadome sobie miejsce, gdzie odbije komuś znowu jakiegos długoletniego przyjaciela.

Nie można narzekać! Nastrój jest na tym *Reveillonie!* Korki z szampana strzelają, a dyrektor zaprosił sobie oprócz poprzedniej dwójki, jeszcze dwie panie do towarzystwa. Dyrektorowa czuje się całkiem dobrze, choć pozbyła się już mulata. Robi honory pani domu i prowadzi ożywioną pogawędkę z trzema kokotkami. Czwarta jest bardzo zajęta głaskaniem fryzury dyrektora, który rozparł się w jej objęciach, jak dzieciątko pragnące pieśszoty.

Kelnerzy roznoszą tace, żonglując butelkami i stosami kieliszków. Coraz więcej kobiet z jaskrawo wymalowanemi ustami i purpurowemi od szminki policzkami. Lśnią nagie torsy opięte w dzęty, obnażone piersi i plecy przedzielone pośrodku wklęsłą, upudrowaną linijką wzdłuż kręgosłupów. Napływają jak szarańcza, szeleszczą jedwabiem, błyszczą fałszywemi kamieniami, skaczą na krzesła i rozwalają się na stołach wśród butelek. Mężczyźni mają gorse oblane winem i błędne, zamglone oczy. Muzyka gra. Tu i ówdzie znikają poszczególne parki, aby wyładować w najbliższym hotelu.

*Reveillon.* Wśród trującej zieleni jemioły, iskrzą się kolorowe światełka, niby świeczki na naszych choinkach. Robi mi się dziwnie smutno i pusto...

Podchodzę do Mayera, który obrabia fortepian. Nie śmiejcie się! Chciałem powiedzieć kilka słów po polsku.

W tej chwili szukałem poprostu choćby najbliższego kontaktu z krajem. Cóż mi tu mogło przypomnieć noc wigilijną z jej przecudnymi nastrojami śnieżnej nocy i melodją kolend śpiewanych „Wśród nocnej ciszy“?...

Mayer był jednak także już wstawiony.

— Co?... Do domu się panu zachciewa?... Ja tu kaparzę parszywe życie całemi latami i nic nie gadam!... Do domciu? A może do Polski? Opląteczki, choineczka, bydełku siano dano, szczupak z jajkiem, gwiazdeczka i cierp, cierp, cierp, miły Panie... A niedoczekanie!... Czekaj pan — zaraz będzie pauza... Zagram panu coś innego... Już gram!... To ścierwo madiarskie może mnie jutro wyrzucić, a zdechnę z głodu razem ze swoją medycyną. Słuchaj pan!...

W chwilową ciszę, która zapanowała na sali, wdarła się prześliczna melodia kolendy: „Bóg się rodzi, moc truchleje“. Płynęła długo i niezamącona w swej nieskazitelnie czystej i szarmonizowanej tonacji, aż wreszcie zdławił ją pisk kobiet, gwar i wystrzały korków z szampa.

Tej nocy, poraz pierwszy od wielu lat, dowiedziałem się znowu co znaczy nostalgia. Zatęskniłem nie za ludźmi, nie za wigilją, nie za czemś oderwanem, abstrakcyjnym! Zatęskniłem poprostu — za Polską.

\* \* \*

Rzecz oczywista, że musimy oglądnąć sobie *Louvre*. Być w Paryżu i nie widzieć Louvru, to tak, jakby — mniejsza z tem! Najlepiej jednak pójść tam w niedzielę, lub święto, bo wtedy jest wstęp wolny. Ten przywilej wywalczył sobie lud paryski od czasu, gdy swego Delfina oddał na praktykę do szewca. Tym, którzy mają nagiotki, cierpią na zadyszkę, lub wogóle nie znoszą ścisłu, radzę pójść tam w powszedni dzień, a czuć się będą jak w rodzonych teatrach miejskich. Takie ci tam bowiem pustki.

*Louvre* jest najznacniejszą z publicznych budowli Paryża, zarówno pod względem architektonicznym, jak i bogatych zbiorów. Etymologicznie wywodzi się nazwa Louvru od Lupara, Louverie i zdaje się wskazywać na czasy polowań na wilki (Lupara). Czy Filip August (1180—1223) był pierwszym, który wybudował tu zamek, nie jest rzeczą pewną — w każdym jednak razie itd.

W ten, mniej więcej sposób, mógłbym bardzo dużo napisać, odpisawszy, jak i powyższy ustęp, żywcem z Baedekera. Zdaję sobie dokładnie sprawę, że jest to jeden ze sposobów, aby zyskać miano inteligentnego człowieka i znawcy historii sztuki, ale obawiam się, że was to nie zajmie i dlatego odsyłam żadnych bliższych szczegółów, wprost do źródła. (*Paris und Umgebung, Handbuch für Reisende von Karl Baedeker — Leipzig 1930. Louvre* str. 86—177).

Według moich obliczeń, potrzeba przeciętnemu inteligentowi 123 lata czasu, na dokładne zwiedzenie i zorjentowanie się wśród bezcennych skarbów dzieł sztuki, jakie nagromadził *Louvre*. Same studia przygotowywawcze dla zrozumienia i powierzchownej bodaj oceny galerij

obrazów, wymagają conajmniej 50 lat pracy. Na rzeźby, numizmatykę, egiptologję, antyki, ceramikę, przemysł artystyczny i orjentalistykę przeznaczam drugich 50 lat studjów. Dalsze 3 lata przeznaczyć należy na dokładne zwiedzenie niezliczonych sal i obejście całego kompleksu gmachów.

Biorąc za podstawę 20 lat, jako przeciętny wiek osobnika, który zamierza urobić sobie dokładny osąd o dziełach pomieszczonych w Louvrze, zgodzimy się, że 123 lata, to czas minimalny, jeśli ów osobnik chce powiedzieć: „Orjentuję się i poznałem dokładnie *Louvre*“.

Ponieważ nie mam jeszcze 123 lat, więc nie mogę tego o sobie powiedzieć. Ci, którzy po powrocie z Paryża, zwracają oczyma i powiadają: „Ach ten Luwr!“ — wiedzą tyle o Louvrze, co *Louvre* o nich.

Dlatego też zwiedzać należy *Louvre* w towarzystwie amerykańskiem. Szybko, biegnąc z jednej sali do drugiej, z parteru na piętro i z piętra znowu na piętro. Dłużej jak dwie minuty nie należy przebywać w jednej sali. Dobrze jest także zażyć jakieś proszki przeciw zawrotom głowy i na oczy założyć niebieskie okulary. Praktyczni Amerykanie nie zastanawiają się też długo. Z sali Van Dycka przechodzą po dwóch minutach do galerji Rubensa, aby znów po chwili znaleźć się w „*Galerie française du XVIIe siècle*“.

Nie chodzi tu o jakoś, ale o ilość!

Sam słyszałem jak jakiś zadyszany Amerykanin o końskich zębach, stanąwszy wreszcie w sali 203 (gobeliny i meble z czasów Ludwika XIII i XIV) zwrócił się do swego sekretarza z zapytaniem: „Ile kawałków oglądaliśmy dziś?“

Pokazało się, że oglądnęli 70 sal z 5670 „kawałkami“.

Musimy więc zwiedzić *Louvre* na sposób amerykański i niech wam się zdaje, że już wszystko wiecie. Nie możecie bowiem żądać odemnie, abym 123 lata ze swego życia, jakie mi jeszcze pozostało, poświęcił na poznanie Louvru!

Muzea i galerje w Paryżu mają nadmiar eksponatów. Cudne to, śliczne, bajkowe, nieocenione, ale — za dużo! W przeciągu nawet kilku miesięcy nie można ogarnąć choćby wzrokowo tego nadmiaru. Mam wrażenie, że z eksponatów wielkich muzeów paryskich możnaby utworzyć jeszcze kilkaset mniejszych, a wystarczyłoby i niktby nawet uszczerbku nie zauważył.

Ten nadmiar jest przytłaczający! Siatkówka oczna przestaje wkrótce reagować, wrażenia zacierają się, mętnieją i zlewają w jakąś jedną szarą i bezbarwną masę. Przechodzimy później obok najpiękniejszych dzieł sztuki, obojętni i niezdolni do reakcji. To niesłychane bogactwo, ta hyperprodukcja, to zatrzęsienie piękna zakłętogo w barwę, kształt i formę, staje się po pewnym czasie nużące. Kto nie jest zaprzysiężonym znawcą sztuki i kultury, ten przestaje niejako absorbować i wchłaniać w siebie obrazy widziane.

Tego samego uczucia doznałem, zwiedziwszy jeszcze muzea: *du Luxembourg*, *Pédagogique*, *Grèvin* (muzeum figur woskowych — o czem osobno napiszę) i *de Cluny*.

Zapytacie może dlaczego się tak chwaleć wyliczając muzea, które zwiedziłem?... Czynię to dlatego, aby mi ktoś nie zarzucił, że pojechałem do Paryża tylko po to, aby opisywać nocne lokale, alfonsów i życie dziewczek lekkiego prowadzenia się.

Otóż nie! Byłem na wozie i pod wozem — u szczytu i na dole. Nudziłem się, jak mops po różnych muzeach (poza prześlicznem muzeum *Cluny*, mieszczącym się

w dawnym opactwie, gdzie z racji jego pomieszczenia, widziałem autentyczny „pas cnoty“, pornograficzne wzory na porcelanie i salę zabytków... żydowskich), ale też byłem i tam, dokąd żaden szanujący się podróżnik nie pójdzie... bo nie zna adresu.

W tym rozdziale muszę też obrobić jeszcze *Panteon* i *Sorbonę*, które również zwiedziłem w tempie amerykańskim. W Panteonie oprowadza etranżerów stary sierżant, który głosem zapowiadacza w panoramie, szybko recytuje, że tu spoczywają Voltaire, Rousseau, Berthelot z żoną i „*monsieur socialist*“ — Jaurés.

Naturalnie, że dostaje za to *pourboire*, czyli napiwek, bez którego wogóle w Paryżu, krokiem nie postąpisz.

Ten suchy, wyuczony monolog sierżanta z wyciągniętą ku nam łapą, zirytował mnie. Nie mogłem znieść jego gadaniny nad grobem Woltera. Nie chciało mi się słuchać jego chrapliwego gładzenia tam, gdzie właśnie leżał ów „*monsieur socialist*“ i oddaliłem się od grupki cudzoziemców słuchających jego przemowy. Puściłem się korytarzem przed siebie, skręciłem w bok, a potem na prawo i znowu przed siebie.

Cicho stąpając, przeżyłem jedną z tych rzadkich chwil zadumy, kiedy to człowiek sam w siebie wchodzi i później ze siebie wyjść nie może...

I czy uwierzycie?... Czy uwierzycie, że ja, skromny człowiek, miałem możliwość dostać się do Panteonu?... Nie do Panteonu lwowskich liryków, czy warszawskich kalamburzystów, ale do prawdziwego, autentycznego Panteonu?...

Bo oto, kiedy oddaliwszy się znacznie od grupki ludzi ogłupianych przez sierżanta, zmyliłem drogę, znalazłem się nagle w ciemności. Sierżant skończywszy widocz-

nie swoją przemowę, wyprowadził gości z podziemi, nie zauważywszy mojej nieobecności.

Myśl, jak błyskawica: Zamknięto mnie w Panteonie!  
Cel moich najśmielszych marzeń osiągnięty!

Refleksja, jak grom: Zdechnę z głodu!

Rozum: I tak cię to czeka. Wolisz w Panteonie, jak we Lwowie.

Instynkt samozachowawczy: Leć, może dopędzisz sierżanta, nim zamknie kryptę!

Biegnę, rozbijając się o wąskie przejścia. Zdaleka widzę błysk światła.

— Hop, hoop!

Dopadłem schodów i zbawczych ramion zgorszonego sierżanta.

Na dworze jest śliczny, granatowy wieczór. Niebo ma kolor, dawno już ustalony przez fabrykantów farb Günther & Wagner pod nazwą „Pariserblau“.

Idę smutny i zamyślony.

Pomyślcie: Mogłem zostać w Panteonie i sam zrezygnowałem z jedynej sposobności w życiu!

\* \* \*

**L**a Rotonde, Le Dôme, Select, Closerie de Lilas, La Coupole — oto nazwy kilku najpopularniejszych kawiarni na Montparnassie, łączonych djabli wiedzą dla czego, z życiem „cyganerii artystycznej“, „bohemji“

i jak tam jeszcze różni snobi nazywają ludzi pendzla, pióra i nożyc w Paryżu. Tymczasem, nic bardziej fałszywego na świecie! W kawiarniach tych, a specjalnie w najbardziej rozreklamowanych (*Rotonde, Dôme i Coupole*) będących rzekomo siedliskiem wszystkich synów Apollina, nie znajdzie nawet na lekarstwo prawdziwych i utalentowanych artystów paryskich. Oprócz międzynarodowej hołoty zbiegającej się tu, aby oglądać sobie „cyganerję“, tak, jak w menażerji ogląda się egzotyczne zwierzęta; oprócz kilkuset kabotynów z fajkami w zębach, pozujących chętnie wobec turystów zwożonych tu przez Cooka, na apostołów „modernizmu“ i „passeizmu“; całej falangi zalkoholizowanych i skokainizowanych kiczarzy, z których każdy uważa się za „człowieka z awangardy“, gdyż jako *L'hommedegoche* ma prawo gwizdać na całe malarstwo Francji łączące ducha Giotta z Puvis de Chavanne'm, Manetem, czy Renoirem; oprócz łazików „portretujących“ na miejscu za 10 franków rozmaite babsztyle, piwowarów, wzbogacone sklepikarki i rzeźniczki całego świata — nie znajdziesz tu nic, coby wskazywało na to, że znajdujesz się w okrzyczanem „środownisku sztuki“ stolicy świata.

Kto szukałby w kawiarniach Montparnassu, Matisse'a, Prampoliniego, Flamineka, Utrilla, czy Piccasa, doznałby grubego rozczarowania.

Zbiorowisko „młodych mistrzów“ operujących „syntezą malarską“ zalega wprawdzie stoliki i kanapy kawiarni „Le Dôme“, czy „Rotonde“, lecz ci młodzi „mistrzowie“ mają tyle wspólnego ze sztuką i malarstwem, co ich obrazy porozwieszane na ścianach kawiarni „Rotonde“. Ta nieustająca wystawa obrazów, mająca unaocznnić, że *L'hommedegoche* potrafi w malarstwie zastąpić tego rodzaju „pompiarów“, jak Rubens, Velasquez, czy Lio-

nardo, jest *de facto* jakimś chimerycznem esperantem malarskiem, na pograniczu majaczenia i zdecydowanego obłędu.

Poza obrazkami kilku zdolniejszych, bo szczerzych manjaków kubistycznych, przedstawia się wystawa tych „nadniezależnych“, supermodernistycznych półgłówków, jako jedna wielka „granda“ paryska, usiłująca wmówić w prostaczków, że parasol w jajecznicy, to „Zachód słońca w Mentonie“, a stary płot na automobilu, to „Zmartwychwstanie“.

Jedni nieudolnie rywalizują z techniczną naiwnością małych dzieci, rysując jakieś domki na chmurach, okręciaki w śmietanie i ludzi z rozczapierzonemi palcami rąk wyrastających z miednicy, lub szyi — drudzy, kubiści i formiści, układają kółkami, trójkątami i wielobokami, jakieś szyfrowane rebusy, do których klucz rozwiązania poszukaćby należało w najbliższym szpitalu dla warjatów.

Czereda tych grandziarzy, kończących przeważnie swoją karierę artystyczną u lakierników, nadaje *iure caduco* ton „artystyczny“ kilku kawiarniom, żerującym na kabotyństwie cudzoziemców i rozgłosie rozdmuchanym przez przekupną prasę.

Ze wszystkich „artystycznych“ kawiarni na Montparnassie, najbardziej godną widzenia jest kawiarnia „Select“. Nie dlatego, jakoby tam można było ujrzyć jakieś bardziej wartościowe dzieła sztuki, albo zetknąć się z bracią artystyczną w prawdziwym tego słowa znaczeniu — lecz dlatego, że według twierdzenia wtajemniczonych, zbierają się tam co lepsi i wybitniejsi... homoseksualiści.

Prawdziwi artyści nie przesiadują w kawiarniach Montparnassu, ani nie pozują przed mobem na artystów.

Pracują ciężko w ciasnych i niezapłaconych poddaszach paryskich, rysują całymi latami z modelu, kopjują starych „pompiarów“ z epoki *Quattrocento*, dobijają się o możliwość wystawienia choćby jednego obrazu w jakimś szanującym się salonie sztuki, lub też jak ci, których fala i talent wyniosły na powierzchnię, żyją życiem udzielnych książąt we własnych willach, zdala od hołoty i jarmarku „artystycznego“.

Tak samo ośmieliłbym się zgodzić z pokutującą coraz częściej w prasie polskiej wersją, jakoby istniała w *Quartier Latin*, przy ulicy *St. Michel* jakaś „Poezja w automatycznym barze“.

Pod tym bowiem tytułem czytałem już kilka artykułów w prasie polskiej.

Byłem w tym poetycznym barze. Nazywa się „Sfera“ i jest podobny do dziesiątków innych bufetów automatycznych w Paryżu, tylko że właściciel „Sfera“ jest bardziej cwany od innych i stąd wersja o „poetyczności“ tego baru przedostająca się na łamy prasy polskiej i całego świata.

Umyślił sobie ów gospodarz „Sfera“ następujący kawał: ...Albo, nie!... Czekajcie państwo! Naprzód opiszę tego gospodarza. Tak zapewne wyglądał Cagliostro. Typowy magik. Twarz ascetyczna, wąs wygolony, a czarna, wypielęgnowana i uperfumowana broda obramiająca mu twarz, czyni go podobnym do średniowiecznego alchemika, lub kapłana asyryjskiego. Uroku dodają mu tylko policzki ładnie podmalowane różem Co ty’ego i podczernione kredką oczy. Chodzi wolnym, majestatycznym krokiem, obnosząc swój nieskazitelnie uszyty garnitur z czarnego sukna i zapatrzony w zaświaty, przemierza wolnym, odmierzołym krokiem całe pierwsze piętro swego poetycznego baru, gdzie podają

wprost do stołów (a nie jak w parterze, automatycznie) fasolkę na kwaśno, rodzaj schabu, króliki i inne potworne w smaku flaki. Jego dusza błąka wśród oparów dymiącej fasoli na kwaśno, obcując z duchami pokrew-nemi, w krainie Piękna.

Kto wie?... Może w tej chwili rozmawia nawet z Baudelaire'm, Verlaine'm, czy Mussetem, którzy swoją poezją opromienili nie tylko Montmartre ale i jego bar automatyczny?...

Nie przeszkadza mu to jednak, aby zezem oczu, spoglądać ile bułek gratisowych ściąga jakiś *etudiant* ze sąsiedniego stolika, lub czy nakrycie nie znika razem z wychodzącym gościem.

Ten oto uduchowiony kapłan z automatu „Sfero“, widząc, że jego lokal kiepsko prosperuje z powodu silnej konkurencji licznych, małych kawiarenek i knajp studenckich na Montmartrze, wpadł na pomysł, aby „ożywić życie umysłowe wśród młodzieży“. Nie, broń Boże, swój lokal — lecz „życie umysłowe i dawne tradycje artystyczne Montmartru“.

Jak to się robi?... Całkiem poprostu! Pewnego dnia ogłosił właściciel „Sfera“, że w jego lokalu, na pierwszym piętrze, będą się odbywały co wieczora konkursy poetyckie dla wszystkich młodych i zapoznanych talentów ze sfer studenterii i smarkaterji Montmartru. Dla biorących udział w turnieju obowiązuje konsumpcja. Dla *jury* i głosujących — także. W sumie — bardzo ładny dochód i zapelniona gośćmi sala.

Turniej rozpoczyna się około 9.30 wieczorem. Gdy tam wszedłem, pojawił się na zaimprovizowanej estradce konferencier i zapowiedział, że kolega Didier oddeklamuje własną kanconę, za którą powinien otrzymać frak akademicki. Didier, typowy suchotnik, drząc

z emocji i zdenerwowania, deklamuje swój wiersz — kończy i schodzi z estrady. Po nim idą inni. Również 12 sztuk. Dwa jakieś czupiradła rodzaju żeńskiego deklamują także. Temat: miłość. — Gorycz po przeżytym zawodzie miłosnym, hymny i ody na cześć kochanek, tęsknota za utraconą kobietą, pożądanie i wizje splecionych w uścisku ciał, rezygnacja po doznaniem rozczarowania i znowu pean na cześć czystej i pięknej miłości. Słowem: tradycyjny *genre* Verlaine'a i Musseta.

Gospodarz o uperfumowanej brodzie obchodzi salę i każdemu gościowi (stwierdziwszy, że zamówił coś do zjedzenia i wypicia) wręcza kolorową karteczkę dla głosowania. Gość pisze tylko cyfrę występującego w kolejce poety, gdyż nazwiska autorów nie są publiczności znane. Po ukończeniu turnieju, goście oddają gospodarzowi kartki wyborcze i zaczyna się obliczanie głosów. Laureatem na dzisiejszy wieczór zostaje właśnie kolega Didier. Za swoją kanconę, Laureat zostaje przy stole, a inni poeci opuszczają salę. Po chwili zjawia się przed laureatem garçon i stawia przed nim szklanekę czerwonego sikuna i talerz przedwczorajszej potrawy z królika.

Laureat żre, jak tylko laureaci żreć potrafią. Wyciera talerz kilku kromkami chleba i wynosi się z lokalu.

Właściwe jednak rozstrzygnięcie tych codziennych konkursów odbywa się po 15 dniach. Co pół miesiąca odbywa się t. zw. „Konkurs 15“ wyróżnionych przez ostatnich 15 dni poetów. Dnia 15-go każdego miesiąca odbywa się znowu głosowanie kartkami, a nagrodzony w ściślejszym wyborze kandydat, otrzymuje zamiast przedwczorajszej potrawy z królika, 1000 franków w gotówce. Pozornie, śliczny gest. Asyryjski brodacz kłania się sztywnie wśród burzy okłasków i zwraca ekstatycznie oczyma, patrząc — hen! — w zaświaty,

gdzie błdzi wśród dusz Musseta, Baudelaire'a i Villona...

W Paryżu jest o nim i o jego barze głośno. Szmoki wypisują nawet o „wskrzeszeniu świetlnych tradycyj artystycznych na Montmartrze“ — fotografie automatycznego baru „Sfero“ zamieszczają ilustrowane „magazyny“, nietylko we Francji, ale na całym kontynencie — nawet o okrągłym okienku w ścianie baru, za którym mieszczą się złote rybki, wypisują entuzjaści penany — a turnieje poetyckie w barze pomysłowego jego mościa i jego hojaj gest Maecena opisują wszyscy korespondenci pism zagranicznych w najwyższych superlatywach.

Nie wiem jak jest naprawdę z tą nagrodą 1000-frankową, którą Mecenas z automatycznego baru wręcza co 15 dni laureatom konkursów poetyckich. Różni, różnie mówią. Krążą nawet plotki, że *jury* wybiera tylko takich kandydatów, którzy się zadowalają 50 frankami, a resztę z tysiąca zwraca się gospodarzowi, za co członkowie *jury* otrzymują potrawkę z królika, lub pieczeń z fasolką na kwaśno.

Myślę jednak, że to nieprawda. Nawet wypłacając 2000 franków miesięcznie, jako nagrody dla laureatów, zarabia jeszcze właściciel baru na czysto.

Licząc konsumpcję laureatów i gości zbierających się w jego lokalu co wieczora, przez cały miesiąc i bajecznie rozpętaną reklamę, za którą musiałby w Paryżu i zagranicą zapłacić dziesiątki tysięcy franków — zarabia jeszcze ów magik z asyryjską brodą grubą forszę na tem „wskrzeszaniu świetlnych tradycyj artystycznych i ożywianiu życia umysłowego wśród młodzieży Montmartru“.

Dobrze obmyślana „granda“ paryska ma zazwyczaj gładko i precyzyjnie spiłowane kanty.

Powłóczmy się trochę po mieście — za dnia. Można pieszo, można taksówką, autobusem, tramwajem, lub kolejką podziemną (*Métropolitain*), czyli popularnie nazywanem tu *métrem*. Pamiętajcie, jeśli nie chcecie się narazić na śmiech współjadących w tramwaju, autobusie, czy *métrze*, to nie ustępujcie swego miejsca żadnej kobiecie, choćby to była zgrzybiała staruszka! Rodowity i prawdziwy paryżanin, nie ma tego zwyczaju i nie ustąpi swego miejsca, choćby widział, że jakaś niewiasta sła-  
nia się z nóg, lub pada ze zmęczenia. Kobiety ciężarne także tu nie robią wrażenia. Wyjątek stanowią kobiety z dzieckiem przy piersi. Takiej kobiecie paryżanin ustąpi swego miejsca. Jest to jednak zazwyczaj paryżanin z *Perpignan*, lub z innej jakiegś zakazanej dziury prowincjonalnej.

Realizując jedno z haseł sztandarowych Wielkiej Rewolucji: Równość — wprowadzili Francuzi wszędzie I-szą i II-gą klasę. Nietylko w *métrze*, autobusie, czy w tramwajach, ale nawet w przytułkach dla bezdomnych. Wszędzie publiczność dzieli się na dwie klasy. Nie ma to nic wspólnego z tak demokratycznymi urządzeniami, jak choćby w Polsce, ale zawsze człowiek ma pewnego rodzaju satysfakcję, jeśli za kilka centimów może sobie obejść *Egalité*.

Kto się bardzo spieszy w Paryżu, ten powinien iść pieszo, lub pojechać *métrem*. Najlepiej jednak pieszo, bo są godziny, w których dostać się do *métra* jest absolutną niemożliwością. Między godziną 6—8 rano i 6—7 wieczorem stoją nieobjęte okiem ogonki, czekające swojej kolejki. Automatyczne drzwi przepuszczają tylko tyle ludzi, ile zdąży wejść na peron, przed zjawieniem się po-

ciągu na stacji. Reszta musi czekać na odjazd kolejki, a tymczasem ogonek znowu narasta od końca. Zdarzyć się może, że minie pół godziny, zanim spieszący się gość wydestanie się ze ścisku i dopadnie automatycznych drzwi przepuszczających na peron. Ale i wtedy jeszcze nie jedzie, bo dostawszy się na peron, widzi pociąg tak przepełniony, że niema gdzie szpilki wsadzić. Trzeba czekać na następny.

Nieświadomy zwyczajów paryskich, czekałby tak do maja, ale po pewnym czasie gość się orjentuje i robi to, co inni, aby się do wozu dostać. Trzeba mianowicie, gdy tylko kolejka stanie, biec przed siebie w kierunku wozu i nie oglądać się na nikogo. Głupstwo, czyjeś tam nogi, brzuch, czy głowa! *En avant!* „Wszystko jedno, czy to damska, czy to męska jest!“ — jak śpiewają we Lwowie.

W *métrze* jest za to bardzo przyjemnie. W wozie na 60 osób, mieści się często 150. Co za raj dla złodziei kieszonek i dla ludzi żądnych bliższego kontaktu z płcią piękną! Złodziei kieszonek Paryż, niestety, nie posiada, lub przynajmniej należą do rzadkości, ale za to tych drugich jest sporo. Są nawet faceci, którzy w oznaczonych godzinach, gdy midinetki jadą, albo wracają z pracy, lubią przejechać się *métrem*, ot — dla emocji. O bezrobociu niema mowy! Kto ma tylko ręce chętne do pracy, temu się wydatek na bilet opłaci i pracę zawsze znajdzie...

W innych porach dnia, czy wieczora, gdy w *métrze* jest nieco przestronniej, kończy się to eldorado. Niema samotnie jadących midinetek skazanych w ścisku na bliższy kontakt towarzyski, gdyż każda jest w towarzystwie swego przyjaciela. Chyba, że znajdzie się jakaś starsza i brzydka samotnica, która narówni ze starszymi pa-

nami, emerytami, robociarzami i innymi ludźmi pracy, czyta z zajęciem gazetę, lub jakąś książkę. Ci, którzy w *métrze* nie czytają — całują się. Czasem trochę czytają, a potem się całują, lub odwrotnie. Nie powiem, żeby w tem całowaniu się, nie było pewnego uroku. Owszem! Dziewczęta robią to z miękkim, przytulnem oddaniem, a mężczyźni, jako rzecz zupełnie naturalną i należącą się im słusznie, jako panom stworzenia, do których każdy Francuz siebie zalicza.

Siedzą takie parki w przytulnem objęciu i z miną ludzi oddających się swemu zwykłemu zajęciu — całują się.

Nikogo to, ani ziębi, ani grzeje. Naprzeciwnie siedzący jegomość odgrodzi się od całującej się pary dużą płachtą gazety, a obok siedząca pani, wpatrzy się przed siebie tak obojętnie, jakby w życiu nic innego nie widziała. Zdarzają się i pieszczoty mniej platoniczne, ale i to niktogo nie obchodzi, oprócz cudzoziemców. Francuzi, naogół są dyskretni.

Ten, który ma już dość całujących się parok, dojrzy także i inną publiczność w *métrze*. Dojrzy, szary, spracowany tłum ludzi, wracających z pracy, o sinych ze zmęczenia powiekach i rękach zwisających bezwładnie, jak dwie bryły gliny. Dojrzy ludzi, którzy ostatkiem sił dowlekli się do *métro*, aby przespać krótką, męczącą noc na poddaszu, skąd jutro znowu powiozą towar swych mięśni i sił na bezwzględną giełdę pracy. Widać blade dziewczęta o opuchłych oczach hafciarek, zgarbione plecy szarych biuralistów, napęczniałe żyły rąk i piersi dyśzące z wysiłku całodziennego... Stłoczone stado milczących niewolników.

W nierozwiązanym dotychczas problemie ruchu kołowego w Paryżu, stanowi *métro* jedyną możliwą arterję

komunikacyjną. Jazda tramwajem, autem, czy autobusem, jest dla człowieka spieszącego się tylko stratą czasu i pieniędzy. Wyobraźmy sobie, że ktoś spóźniony usiłuje dostać się na dworzec, aby zdążyć do pociągu na oznaczoną godzinę. Wykluczone! Auto, autobus, czy tramwaj, dostawszy się w wir długiego łańcucha innych pojazdów, może poruszać się tylko z chyżością człowieka, spacerującego dla przyjemności. Zdarzyć się też może, specjalnie w godzinach wieczornych, że następuje t. zw. „zatkanie” ruchu i wtedy trzeba czekać nieraz całymi kwadransami, zanim policjant ruchem swojej pałeczki dozwoli na dalszą jazdę. Ulica paryska przedstawia też często widok chaosu. Stłoczone auta, autobusy, rowery, wozy ciężarowe, zaprzęgi (w Paryżu są jeszcze konie!) i tramwaje, tworzą zatory, zda się, nie do przebycia. W groźnym tym dla kości i życia przechodniów malstroemie widnieje tylko ze wzniesienia pałeczka policjanta, regulującego ruch. Jak on to robi, że auta nie wjadą sobie wzajemnie na dachy, a z dachów na kamienice — pozostanie tajemnicą jego zawodu.

Od godziny 3-ciej popołudniu, kiedy w Paryżu rozpoczyna się ruch, aż do jego największego nasilenia, tj. około godziny 7-mej, gdy ludzie powracają ze swoich zajęć do domów, jest przejazd pewnymi ulicami wprost uniemożliwiony. Na takim np. placu *de la Concorde*, kiedy lawina aut eleganckiego świata toczy się z *Avenue du Bois de Boulogne* i z zachodnich przedmieść i spotyka się z drugą lawiną aut, toczących się z kupieckiej dzielnicy, *rue de Rivoli*, aby tu pomieszać się i pogmatwać w jedno kłębowisko, widać tylko morze ruchomych dachów automobilowych, wśród których sterczy osamotniony obelisk, jedyny punkt — zda się — punkt stały na placu *de la Concorde*.

Obraz ulicy paryskiej byłby niezupełny, gdybyśmy nie uwzględnili charakterystycznej postaci policjanta w krótkiej, czarnej pelerynce. Policjant paryski jest miły i uprzejmy — o ile się z nim nie ma do czynienia „urzędowo“. Wtedy nabiera cech międzynarodalnych, właściwych wszystkim policjantom całego świata.

Niektórzy z nich noszą na pelerynkach napisy, że mówią po angielsku, hiszpańsku czy po niemiecku. Nie wiem, jak naprawdę jest z tą ich znajomością języków obcych, ale gdy zagadnąłem na ulicy policjanta z napisem: „*Spricht deutsch*“, stwierdziłem, że z niemczyzną jego jest „schwach“.

Kiedy się przekonałem, że nie rozumie, co do niego mówię (nie mając nic innego do roboty), postanowiłem gruntowniej zbadać jego zdolności językowe i spytałem go, jakby najnaturalniej w świecie:

— *Wo mede wiege rogen rogen?*...

Temu nie nieznaczącemu zlepkowi słów, nadałem tonację pytania. Tak, jakbym pytał o kierunek drogi.

Policjant spojrział na mnie bez najmniejszego zdziwienia i wskazał mi ręką daleką ulicę, mówiąc wyuczoną widocznie formułkę:

— *Gradaus, dann bitte wieder fragen!* — (Prosto, potem proszę znowu kogoś zapytać).

Podziękowałem uprzejmie i roześmiałem się w kulak.

W Paryżu nie należy jednak żartować z policjantami. Z tymi, w pelerynkach, można jeszcze od biedy, ale z policjantami z brygady bandyckiej stanowczo nie radzę. Są to policjanci rowerowi, specjalnie dobrani i umundurowani w skórzane kurtki, pryczezy i płaskie czapki skórzane, na wzór szoferów. Za dnia nie widać ich wcale na ulicach i pojawiają się tylko, jakby z pod ziemi, w razie jakiejś większej awantury, lub groźnego

zbiegowiska. Ludek paryski nazywa ich uszczypliwie „Flikami“. W przeciwieństwie do popularnych policjantów w pelerynkach, są naogół nie lubiani. Nigdy też nie pokazują się w pojedynkę, lecz wyjeżdżają na swoich rowerach po dwóch, lub trzech i zawsze nocą. Dostać w czasie awantury od takiego skórzanego policjanta gumową pałką po głowie, jest tak łatwo, jak np. połknąć nieświeżą krewetkę na *Bulmiszlu*, czyli jak tu popularnie nazywają *Bulwar St. Michel*.

Na pochwałę „Flików“ trzeba jednak powiedzieć, że są znakomitymi fizjognomistami. Kiedy raz, w czasie „obławy“, urządzanej w nocy na placu *Pigalle*, wpadłem w więcierz przez nich nastawiony, dowódca ich jednym ruchem ręki oddzielił mnie, o nic nie pytając, od tłumu mężczyzn i kobiet nagnanych do więcierza, tak, jak zawodowy rybak odrzuca drobną płótkę ze sieci, pełnej szczupaków.

Raz w życiu miałem porządny paszport i nie mogłem się nim pochwalić!...

Oprócz „pelerynkarzy“ i skórzanych „Flików“ pilnują jeszcze porządku w Paryżu żandarmi (na psa urok!), malownicza gwardja narodowa (mająca tu takie, mniej więcej znaczenie, jak nasi malowani policjanci gminni), nie licząc tajnej policji kryminalnej, politycznej i obyczajowej. Piętno nadaje jednak ulicy tradycyjny policjant w pelerynce, zupełnie nieuzbrojony, (djabli wiedzą, co on tam ma w kieszeni!) z gwizdkiem w ustach i z pałeczką w garści.

Odczepmy się od policji i pogapmy się nieco na reklamy, które także — jak ogólnie wiadomo — nadają piętno i charakter ulicy. Zasadniczo uznaną reklamą w Paryżu jest obecnie reklama świetlna. Operowanie światłem dla celów reklamy stało się nową gałęzią sztuki-

ki. Zawód „*artiste-luminataire*“ jest dziś w Paryżu ogromnie popłatny i uznany. Tu i ówdzie widać jednak na ulicach reklamę afiszową, która na ścianach podziemnej kolejki przechodzi w orgję reklamową. Afisze te w większości są wprost — ohydne. Wierzyć się nie chce, aby właśnie w Paryżu, gromadzącym malarzy różnych kierunków i zdolności, mogły podobne bohomyazy oszpecać mury i całe ulice — bezkarnie!

Patrząc na te potwornie wykoszlawione formy, na niechlujstwo rysunku, kołowaciznę barw i pokraczny szyfr zniekształconych liter na afiszach, staramy się przypomnieć sobie to wszystko, na czym polega nowoczesny formizm, konstrukcjonizm, kubizm, dadaizm, ekspresjonizm i inne „izmy“, aby pozbyć się wrażenia cielecia, patrzącego na malowane wrota. Daremny trud! Afisz paryski niema nie wspólnego nawet z żadnym z „izmów“ najnowszej chwili. Poprostu ma się wrażenie, że twórcy tych afiszów to jacyś złośliwi kretyni, wypuszczeni ze szpitali dla warjatów. Bo i cóż powiecie o afiszu, tak bogatej i popularnej firmy, jak *Galleries Lafayette*, która swój „Biały Tydzień“, czyli wysprzedaż bielizny ze swoich magazynów, reklamuje afiszem, przedstawiającym rękę kobiecą wielkości 2 metrów, przyczepioną do barku liliputa. Nadomiar jest ta biała ręka w przegubie zgięta, jak bijak w cepie i od łokcia pomalowana całkiem na czarno. Ma to rzekomo wywoływać złudzenie cienia zgiętej ręki w przegubie — a w całości jest podobne do dużej kieszki kaszanej, nadsztukowanej gumowym węzem od sikawki.

Drugim afiszem, który w czasie mej bytności w Paryżu zalepiał dosłownie cały Paryż, to reklama znanego sera *Crème Gruyère*, marki „*La vache qui rit*“ (po polsku: „Krowa, która się śmieje“). Trzeba, żebyście sobie

tę śmiejącą się krowę oglądne! Coś niesłychanego! Jest to krowa jasno karminowa, a raczej różowo-czerwona, która rozdziawiła bezzębny pysk i zmrużywszy świńskie oczka, straszy widza potwornym grymasem pseudośmiechu. Głowa w kształcie serca jest ozdobiona dwoma białymi rogami i parą uszu w kształcie patelni, do których są przyczepione koleczyki z dwóch pudełek sera *Gruyère*.

Tło tego czerwonego potwora stanowi jakaś parszywa wypukłość, mająca wyobrażać wierzchołek góry, oraz ultramarynowe sosenki. Widziałem już reklamy domorosłych artystów w Rypinie, Kulikowie i Ryczywole, ale coś podobnego ujrzałem poraz pierwszy w życiu! Od tego czasu nie jadam serów.

Mam tę odbitkę śmiejącej się krowy w domu i chętnie pokażę ją wszystkim, którzy chcą się odzwyczaić od spożywania sera.

Raz tylko w życiu widziałem podobny okaz reklamowy, we Lwowie. Za oknem pewnej firmy rzeźniczej widniała przez długi czas gipsowa statuetka wieśniaczki tyrolskiej, w kapeluszu z piórkiem, a dokoła jej szyi owijało się kilka metrów cienkiej kielbasy, zwanej „kabanosem“. Od tego czasu nie jadam także kabanosów i nie mogę patrzeć na Tyrolki.

Niechlujne i ohydne afisze, poza nielicznymi wyjątkami, spotykamy w Paryżu na każdym kroku. Nie wiem czemu, ale na pięć afiszów przypada cztery, gdzie koniecznie musi być wymalowany księżyc. Księżyc, jako głowa do fraka — księżyc śmiejący się, jako pijak w cylindrze — księżyc płaczący, jako symbol bolących nagniotków — księżyc we wszystkich kwadrach, jako reklama mydła, *cocktailu*, perfum, papierosów, czy bandaży przepuklinowych. Jeśli już nie księżyc, to przynaj-

mniej kometa z długim ogonem, ziemia, obracająca się wśród planet, gwiazdy wirujące, czy mgławice drogi mlecznej — wogóle system planetarny.

Ta sama księżycomanja święci też triumfy w reklamie świetlnej. Największa reklama świetlna, zainstalowana kosztem kilkuset tysięcy, na szczycie gmachu towarowego „*Louvre*“, przedstawia właśnie ogromny księżyc z otwartą gębą, do której kilku elektrycznych kłownów strzela z elektrycznych armat kolorowymi żarówkami. Nawet i wieża Eiffla, z reklamą *Citroëna* na szczycie, sypie w nocy deszczem gwiazd i gwiazdeczek, które spływają po żebrach jej stalowej konstrukcji.

Afiszem, który jednak przyspieszył mój wyjazd z Paryża, był afisz, reklamujący *apéritif Dubonnet*. Nie dlatego, żeby był tak potworny, jak „Krowa, która się śmieje“ — przeciwnie! Był to długi, kilkumetrowy afisz, nie zawierający nic, oprócz napisu: *Dubonnet*. Taki napis można znieść, gdy się go widzi sto razy dziennie, ale nigdy, gdy musisz go oglądać tysiąc, dziesięć tysięcy, milion, dziesięć milionów razy dziennie. Wisi bowiem ten *Dubonnet* wzdłuż całej długości podziemnych tuneli *métra*, na przestrzeni kilkuset kilometrów. Co chwila mignie przez okno: *Dubonnet*; ruszy wóz: *Dubonnet*; stanie wóz: *Dubonnet*. Ten *Dubonnet* zaczyna ci się wrzynać w mózg, opasuje cisnącą obręczą głowę, przesłania oczy i owija w jedną niekończącą się taśmę, jak rolka papieru przy aparacie Morse'go.

Wyskakujesz z *métra*, a już w korytarzu wita cię *Dubonnet* — na ulicy: *Dubonnet* — na publicznych klozetach: *Dubonnet* — w autobusie: *Dubonnet* — na drzwiach *bistro*, baru, kawiarni, jadłodajni, owocarni, zakładu pogrzebowego, domu publicznego, czy urzędu — wywieszka: *Dubonnet*.

Dajesz się wreszcie przekonać i wpadasz do pierwszej lepszej kawiarni, wołając ochryple: *Dubonnet!*

Podają ci *apéritif Dubonnet*. Pijesz jednym haustem. I rzygasz. *Dubonnet!*

\* \* \*

Gdybyśmy nie zwiedzili kabaretów paryskich i nie byli w kilku teatrach, to narazilibyśmy się na zarzut, że nie widzieliśmy Paryża.

W Paryżu istnieje 40 teatrów, ale publiczność rdzenia paryska uczęszcza tylko do kilku z nich. Reszta jest przeznaczona dla *étranżerów* i ludzi, którzy, nie znając Paryża, wpadają tam, jak ćmy zwabione światłem.

W teatrach uczęszczanych wystawiają sztuki przeważnie lżejszego repertuaru, które nie schodzą z afisza przez cały rok i dłużej. Przyjmijmy, że rodowity paryżanin bywa tylko w 10-ciu uznanych przez siebie teatrach, na ogólną liczbę 40, to wyniknie z tego, że teatroman paryski, *nolens volens*, może w ciągu roku tylko 10 razy być w teatrze. Nie wszyscy są jednak teatromanami. Są ludzie, którzy z dziada pradziada uczęszzczają tylko do dwóch, lub trzech „swoich” teatrów. Wobec tego, że sztuka „idzie” tam przez cały rok, więc w teatrze mogą być dwa, lub trzy razy do roku. Cudzoziemiec obszedłszy w ciągu dwóch tygodni wszystkie, możliwe

dla krytycznego widza, teatry, może przez cały rok siedzieć w Paryżu i czekać do następnego roku na nowe premjery.

W czasie mojej bytności „szła“ znana sztuka „Pan Topaz“ od 16-tu miesięcy! Sztuka Klemensa Vautela *Mon Curé chez les pauvres* (Proboszcz wśród biedaków) była na afiszu od roku, a w teatrze Sary Bernhardt latało sobie „Orlątko“ Rostanda od ośmiu miesięcy.

Teatry paryskie przeżywają kryzys, jak teatry w całym świecie. Gdyby nie ciągle dopływająca fala obcych, to załamałyby się, jak teatry nasze. Groźny konkurent — film dźwiękowy, podkopuje ich rację bytu i kto wie, (proszę mnie nie bić!) czy z biegiem czasu wogóle nie skręci karku teatrom, jako instytucjom, nie mającym nic do czynienia z istniejącym duchem czasu.

Nie wyklucza to jednak możliwości, że po najwyższym nasileniu filmu dźwiękowego, który już także niektórych ludziom gardłem wyłazi, powrócimy znowu do koncepcji dobrego teatru. Film dźwiękowy, w którym zmechanizowanie sztuki dochodzi już szczytów, obudzi naszą żywiołową tęsknotę za bezpośredniością, za poezją słowa w teatrze, za twórczością żywą, która przemówi do nas wprost, niezmechanizowana, lecz szczerą, żywą i krwią pulsująca.

Przepraszam za tę małą dygresję i wróćmy do teatrów paryskich. Ideałem sztuki jest tu zawsze sztuka o lekkiej akcji, dowcipna, pełna *bon-mots* z wykluczeniem wszelkiej abstrakcyjności i fantazjowania, których realnie patrzący na świat Francuzi nie lubią, jak zarazy. Teatr francuski góruje nad teatrem polskim grą aktorów. Francuz ma w swojej naturze wiele teatralności, którą ujawnia w codziennem życiu, ale za to na scenie czuje się zupełnie swobodnie i gra bez sztuczności i w sposób

tak naturalny, że daje zupełne złudzenie rzeczywistości. W tem właśnie jest różnica między aktorem francuskim, a polskim.

Niema oczywiście już Coquelinów, ani Sary Bernhardt, ale są jeszcze aktorzy na wielką miarę, którzy podtrzymują dawne tradycje. Rzecz naturalna, że nie znajdziemy ich w teatrze *Atelier*, czy *Apollo*, ale poszukać ich należy choćby w starej *Comédie Française*, nad którą unosi się jeszcze świetlany duch Moliera i jego tradycja.

W Paryżu wystawiają na scenach (uwaga, panowie dyrektorowie teatrów polskich!) tylko utwory autorów francuskich. Obcych dopuszcza się tu w bardzo wyjątkowych wypadkach i niechętnie.

My, ze swoją skłonnością do poważnego zastanawiania się i rozwiązywania problemów artystycznych, czy tematowych w dziełach sztuki scenicznej, będziemy grubo rozczarowani obecnym teatrem francuskim, o ile doszukiwać się tam zechcemy nowych form, czy idei, któreby teatrowi otworzyły nieznane perspektywy i możliwości rozwoju.

Natomiast jedno, co może was zająć, to z pewnością będzie stosunek autora do dyrekcji teatru i sposób, w jaki sztuka dostaje się na afisz. Są to zakulisowe historie, o których nie każdy wie i dlatego ciekawe.

Przedewszystkiem musi każdy autor, który napisał sztukę (o ile nie nosi znanego w świecie teatralnym nazwiska i nie jest na ustach wszystkich) postarać się o kilka biletów wizytowych i listów polecających od wybitnych osobistości. Obojętne, czy to będzie ktoś ze sfer arystokratycznych, bankowych, parlamentarnych czy rządowych! Byleby bilet wizytowy pochodził od osobistości, która ma w Paryżu coś od gadania.

Bez biletu polecającego, albo raczej, bez kilku takich biletów, autor wogóle nie dostanie się przed oblicze dyrektora, a jeśli się przypadkiem dostanie, to może być pewny, że sztuka jego będzie przeczytana i oceniona w najbliższych dniach Sądu Ostatecznego. Złożywszy kilka listów polecających i sztukę w dyrekcji, musi się autor rozglądać za kimś, ktoby mu jego premjerę sfinansował. Dyrekcja wychodzi bowiem z założenia, że kto się pcha na afisz, ten powinien za to dobrze zapłacić. Autor, znalazłszy wreszcie finansistę, musi zapewnić dyrekcji pokrycie wszystkich strat, jakieby wynikły z racji wystawienia jego sztuki.

Zapewniwszy sobie w ten sposób „życzliwą neutralność“ dyrektora teatru, musi nieszczęśliwy autor „omówić“ sprawę z reżyserem. Naturalnie, że nie oficjalnie, ale w sekrecie. Jakiś zadatek — no i procenik od tantjem musi być omówiony. Wtedy dopiero sztuka wchodzi w fazę prób. O ile autora w tym czasie szlaczek nie trafi, to musi się zająć afiszami i ich drukiem, na własny rachunek; potem musi obejść wszystkie redakcje pism i zapłacić grubo za wzmianki z racji zbliżającej się premjery; potem musi zapłacić gwardji narodowej za asystencję zbrojną i wreszcie wysłać zaproszenia dla wszystkich, których pragnie ujrzeć na swojej premjerze. Naturalnie, że pragnie najwięcej widoku recenzentów wpływowych pism, ale ci cwaniacy, w myśl ogólnie przyjętego w Paryżu prawa zwyczajowego, na premjery wcale nie przychodzą. Wystarczy, jeśli autor napisze sobie kilkadziesiąt entuzjastycznych recenzyj i zanieśe po jednej każdemu z recenzentów, który ją sygnuje swoim podpisem. Łatwo powiedzieć, sygnuje — ale trzeba zapytać, za ile?... Za podpisanie takiej recenzji pobiera recenzent wpływowego pisma często taką sumę,

jakiej wszyscy recenzenci w Polsce razem nie pobierają za rok swojej współpracy w dziennikach. Dzieje się to zupełnie jawnie i nikt tem się nie gorszy. Ani autor, ani publiczność, ani nawet wydawcy pism. Najmniej ci ostatni, bo większa część recenzentów teatralnych płaci wydawcom roczny ryczałt, sięgający nieraz w miliony franków, za „miejsce“ w ich piśmie, które wydzierżawiają sobie na recenzje. Coś, jakby u nas, plac wydzierżawiony na sezon.

Nic dziwnego, że recenzent płacąc wydawcy bająskie sumy za miejsce pod recenzje, musi sobie tę kwotę w dwójnasób odbić na autorach. Jest to najbardziej lukratywny zawód w Paryżu, gdyż recenzenci są to potentaci finansowi, którzy posiadają własne wille, auta, konta bankowe i najdroższe kochanki. Nigdy też, albo bardzo rzadko, sami piszą recenzje. Wystarczy, jeśli dają na nie wydzierżawione miejsce w dzienniku i swój podpis. Trud pisania i zagłębiania się w sens wystawionej sztuki pozostawiają autorowi. Na premjery, w naszym pojęciu, recenzenci rzadko przychodzą, gdyż każda premjera w Paryżu, czyli t. zw. *repétition générale*, jest tylko próbą generalną, dostępną jednak dla zaproszonych gości i publiczności. Za spektakl ten płaci autor dyrekcji tyle, ile wynosi dochód z wysprzedanej sali. Uda się *repétition générale* i sztuka „chyci“, wtedy pozostaje na afiszu i Paryż ma sensację, bez względu na to, że nie było w pismach żadnej recenzji. Paryżanie mają nos i chodzą na sztuki, które im odpowiadają. Zdarza się, że sztuka taka jest nieraz kilka miesięcy na afiszu, a w prasie o niej zupełnie głucho. Tłumaczy to się tem, że autor zbiera skrzętnie tantjemy i składa kapitał na opłacenie recenzentów. Uzbierawszy wreszcie odpowiednią kwotę, pisze sobie recenzję w dowolnych superlaty-

wach i zanosi wpływowemu krytykowi razem z czekiem. Po dwóch, trzech dniach, czytają wreszcie paryżanie entuzjastyczne recenzje o sztuce granej już od kilku miesięcy. Po pewnym czasie dostają się te głosy „krytyczne“ do prasy całego świata i dyrekcje wszystkich teatrów dobijają się o prawo wystawienia tej sztuki. Czytamy później w przededniu premjery o rekordowym jej powodzeniu w Paryżu, a komunikaty teatralne przytaczają dosłowne urywki z „recenzyj najpoważniejszych krytyków paryskich“.

Nagadaliśmy się już dość o teatrze — czas na kabarety.

Tyle się już pisało o kabaretach paryskich, że nie chce mi się poprostu, wałkować tego dawno już rozwałkowanego ciasta. Jedno, co mógłbym zrobić, to napisać porządny nekrolog, bo kabarety paryskie — w sensie dawnej swojej tradycji i wartości — umarły. Miejsce ich zajęły *music-halle*, teatry i teatrzyki rewjowe. Kabarety paryskie powstawały swego czasu, jak grzyby po deszczu i rodziły się z kultu piosenkarstwa i piosenki, za którą paryżanin przepadał. Mówię w czasie przeszłym, bo obecnie daje się zauważyć, wręcz coś przeciwnego. Piosenka, która dawniej w Paryżu powstawała w ciągu jednej nocy przy rozstrojonym fortepianie na *Montmartrze*, podchwycona przez publiczność przy kuflu *bocku*, czy czerwonego cienkusa, oblatywała już rano całą dzielnicę i zdobywała Paryż — dziś należy do wspomnień. Poprostu stała się niemodna! Wielkie teatry rewjowe, jak *Folies Bergères*, *Casino de Paris*, *Palace*, czy *Tabarin*, pełne gołych girlsów, zdobyły przebojem Paryż i narzuciły mu piosenkę o międzynarodowo-pornograficznej treści. Dawna piosenka paryska o zabarwieniu satyry politycznej, pełna lotnych słówek, epigrama-

tów, kalamburów i szampańskiego dowcipu, przed którym nie ostał się w Paryżu żaden dostojnik, żaden akademik, żadna sława, czy instytucja — piosenka, świadcząca o wolności, jaką cieszy się w Paryżu krytyka wydarzeń i osób politycznych — ta piosenka nie istnieje. Zespolenie estrady z publicznością, będące celem artystycznego kabaretu, również nie istnieje, nawet w tych pozostałych jeszcze przy życiu kabaretach, które usiłują galwanizować dawne swoje tradycje. Nie pomogą tu żadne wysiłki, żadne pomysły galwanizacyjne (jak założenie wolnej gminy na Montmartrze, w której gnieźdzą się ostatni Mohikanie kabaretu ze swoim własnym organem prasowym pt. „Wściekła krowa”); nie pomogą ekstrawaganckie akcesorja i pomysły! Kabaret w Paryżu skończył się. Wszystkie wysiłki zmierzające do utrzymania go przy życiu, mijają się z celem i budzą tylko uczucie litości nad próżnym wysiłkiem. Te kabarety, które jeszcze istnieją, są tylko parodią dawnych kabaretów paryskich, z którymi oprócz tradycyjnego nazwiska, nie mają nic wspólnego.

Od biedy usiłują kultywować starą piosenkę paryską tylko teatrzyki *Moulin de la Chanson* i *Theâtre de dix heures*. Najoryginalniejszym z nich jest malutki *Theâtre de la Fourmi* na bulwarze *Rochechouart*. Atrakcją tego teatrzyku jest „*coup de crochet*”. Po oficjalnym programie wolno każdemu z publiczności wejść na scenę i produkować się. W razie niezadowolenia, publiczność powtarza refren „*Zim la, la!*” A potem następuje okrzyk: *Crochet! Crochet!* (Na hak!) Wśród drwin i śmiechów ukazuje się olbrzymia ręka, trzymająca fatalny hak, którym ściąga się niepożądanego amatora za kulisy. Teatrzyk ten odwiedzany jest przez publiczność paryską.

Dawny kabaret Aristidesa Bruant'a, na placu Pigalle, założony w roku 1885, przez Bruant'a, autora, muzyka, piosenkarza i wykonawcę w jednej osobie, jest tylko nędzną parodią tego, co było. Nie pomogą tu wypchane do ręki przechodniów ulotki z podobizną Bruant'a w czarnym, kalabryjskim kapeluszu i w czerwonym szalu na szyi. Ulotki, które głoszą, że za 5 franków można sobie oglądnąć *Le plus vieux cabaret de Montmartre, fondé en 1885 — Resté dans la tradition instituée par Aristide Bruant*. Nie pomoże nawet to, że przy wejściu do kabaretu aktorzy witają każdego gościa starą, tradycyjną piosenką, mającą symbolizować odwieczną pogardę, jaką „cyganie artystyczni“ mają dla snobów i zwyczajnych zjadaczy chleba:

„Oh! la la c'te gueule, c'te binette!!!

*Tous les clients sont des cochons!*“.

Po polsku:

„O, la la! Co za ryło, co za morda!

*Wszyscy goście są świnię“.*

To są przebrzmiałe już echa, które na nikogo nie działają. Prostu, nikt się nie gorszy, ani dziwi, że ma ryło i że jest świnią. Przeciwnie! Nieliczni goście, których ściągnęła tu dawna, świetna tradycja kabaretu Bruant'a, patrzą na kilku zachrypłych kabotynów z tej podłej szmiry, jak na nieszczęśliwych jakichś manjaków, z którymi z czystej litości i żeby nie urwać się z nudów, śpiewają chóralnie refren:

„*Tous les clients sont des cochons*

*La fari don don, la fari don daine*

*Et surtout les ceux qui s'en vont*

*La fari don daine, la fari don don!*“.

W dawnym Moulin Rouge'u, machającym jeszcze elektrycznymi skrzydłami czerwonego wiatraka, jest obecnie

dancing. Bardzo podły. Murzyni, alfonsi, prostytutki, jazz i hołota paryska, lub międzynarodowa. Oprócz dancingu, mieści się tam targowisko na kobiety, które oferują zupełnie jawnie swoją miłość w najbliższym hotelu i napastują tak nahalnie wchodzących tam mężczyzn, że nie sposób bez kilku franków *pourboire'u* odczepić się, tembardziej, jeśli zauważą, że gość jest cudzoziemcem. Konkursy taneczne i wyścigi na specjalnie skonstruowanych rowerach dla „pań“ i panów o flaszkę szampana, balet gołych, lub prawie gołych kobiet — to wszystko, co pozostało z głośnego dawniej *Moulin Rouge'u*!

Pustką świeci też dawny kabaret *Chât-Noir*, w którym produkują się obecnie jacyś podejrzeni ekwilibryści i tancerki. Przysiągłbyś, że niektóre z tych tancerek widziałeś po skończeniu programu w *Czarnym Kocie*, w salach *Moulin Rouge'u* i że dałeś im na odczepne napiwek, nie chcąc korzystać z ich miłości.

Co kilka kroków spotykasz na *Montmartrze* stare, lub nowo powstałe kabarety o dziwnych i ekstrawaganckich nazwach, które zapraszają cię otwartymi podwojami do wejścia. Tanio. Bardzo tanio! Za 5 franków możesz wejść do kabaretu, którego wewnątrz przedstawia familijnie urządzoną kuchnię z garnkami, łyżnikami, rądlami, okapem nad kominem, świerszczykiem i ławkami wzdłuż ścian. Ma to wywołać w tobie reminiscencje życia rodzinnego i przypomnieć ci raj własnego ogniska domowego.

Inny kabaret, urządzony w stylu izby w farmie amerykańskiej, wprowadza cię w nastrój purytańskiego *home'u*, gdzie przypomną ci się czasy, gdy na głos czytałeś biblię swojej rodzinie, a równocześnie myślałeś o dolarach i buszlach sprzedanej pszenicy.

Znudz ci się nastrój kuchenno-rodzinny i zapragniesz silniejszych wzruszeń, to możesz odwiedzić istniejący jeszcze teatrzyk okropności *Grand Guignol*, gdzie żywcem przecinają ludzi na stołach operacyjnych, pietraszą ich w smole, ćwiartują kołem, lub gilotynują w twoich oczach. Naturalnie, że wszystko „na niby” i bardzo tanio. Efekt tych wysiłków, mających wywołać zgrozę w widzu, jest minimalny. Po Verdun, Ypres, Argonnach i tych wszystkich, krwawych pobojuwiskach wielkiej wojny — cóż znaczy widok jednego człowieka, któremu w *Grand Guignolu* wkręcają świder do brzucha?... Czasem tylko wrzaśnie histerycznie jakaś Amerykanka, która przyjechała do Europy szukać silnych wrażeń. Francuzi, a w szczególności paryżanie, nie przejmują się temi okropnościami, bo do *Grand Guignolu* wcale nie chodzą. Jest to lokal wyłącznie przeznaczony dla cudzoziemców, tak samo, jak teatrzyk *Le Néant*, czyli „Nicość”, w którym goście siedzą obowiązkowo na trumnach, piją z czaszek ludzkich (podła imitacja) i mogą się oglądać, jak będą wyglądali po śmierci. Dzięki specjalne skonstruowanym zwierciadłom i światłu padającemu na te zwierciadła, każda głowa widza nabiera cech trupiej czaszki. Wygląd twej twarzy, patrzącej pustemi oczodołami czaszki, nie odstręcza jednak i tu gnieźdzących się „dziewczynek”, które w najbardziej wzruszającym cię momencie proponują ci najbliższy hotel. Jest to dość szczęśliwie wybrany moment psychologiczny. I tak przecież czeka cię *Le Néant* — nicość i *vanitas vanitatum* — dlaczegóżbyś więc nie miał użyć życia i rozkoszy, nim upodobnisz się do tej czaszki, szczerzącej do ciebie zęby w idjotycznym uśmiechu?...

Ja osobiście wolę jednak śmierć, niż szpital i dlatego opuszczam *Le Néant*, aby sobie oglądać Niebo. Tak,

tak! *Le Ciel* (czyli niebo) — *Cabaret artistique*, przy *Boulevard de Clichy*, na *Montmartrze*. Oglądawszy nicość swego ciała, trzeba sobie oglądnąć miejsce, przeznaczone dla duszy... w Paryżu.

Wśród masy pospolitego świństwa, jak kinoteatr i teatr pornograficzny, które widziałem w Paryżu, jest kabaret *Le Ciel* najordynarniejszem, bo najgłupszem świństwem.

Kabaret ten przedstawia rodzaj barokowej kaplicy z amboną, kazalnicami, ołtarzami i zakrystją. Wielka rzeźbiona świnia siedząca na zadzie, ma symbolizować główne bóstwo tej kaplicy. Aktorzy, poprzebierani za zakonników, św. Piotra, biskupa i księży, wałęsają się po kaplicy i witają wchodzących gości. Najmłodszy aktorzyzna, ucharakteryzowany na aniołka, jest zarazem płatniczym.

Gdy wszedłem z moim *ciceron'em* Mayerem, nie było w tem niebie ani żywego ducha.

Byliśmy jedynymi gośćmi. Przy drzwiach przywitał nas brat-furtjan i wprowadził do kaplicy, gdzie usiedliśmy za długim stołem, nakrytym białym, grubym obrusem, imitującym stół nakryty w jakimś refektarzu klasztornym. Program był zawieszony chwilowo, dla braku gości. Paskudne i źle ogolone mordy starych szmiraków aktorskich otoczyły nas kołem, wietrząc łup. Zjawił się anioł-płatniczy z wianuszkciem na blond peruce i zaproponował nam wino. Wybraliśmy piperment. *Le reverend* w szatach pseudo-zakonnika usiłuje nas wciągnąć w rozmowę. Zna i kocha Polaków, a nawet wie coś o Puszkynie. Dostojewskim i... Liszcie... Należy mu się za to kieliszek pipermentu, o który prosi i dobry papieros „Polska“. Przy tej sposobności sprzedaje nam także bloczek widokówek z podobiznami aktorów i wnętrza sali *Le Ciel*. Św. Piotr,

aniołek i kilku fratrów o kańciastych, zniszczonych pyskach, patrzą zachłannie, jak nas *reverend* z łatwością obrabia. Odnoszę wrażenie, że wszyscy ci ludzie są głodni i że tylko głód najstraszliwszy głód zmusił ich do odgrywania tej hańbiącej roli. Przykro mi i źle na widok tych ludzi podłączających się za kilka franków i usiłujących odejść. Nie puszczają. To nic, że gości niema! Oni są „artystami“ i grają tak samo dla dwóch gości za 14 franków, jak dla pełnej widowni. Sztuka dla sztuki! Program się zaraz rozpocznie i z pewnością będziemy zadowoleni. Czekają tylko na kobiecy zespół „aniołków“, który właśnie występuje w sąsiednim „Piekło“ (*L'Enfer*), będącym niejako *pendant* do *Nieba*, a gdy tylko skończą tam swoje produkcje, zaraz rozpoczną program. Na razie każe nam *reverend* zagrać na orkestrjonie, imitującym dobrze organy. Cały zespół niebiański pije tymczasem piperment i zaciąga się mojemu papierosami. Na złoconej ambonie zjawia się biskup i przygotowuje się do kazania. Jest to znak, że aniołki, zajęte w „Piekło“, skończyły tam swój program i można rozpocząć przedstawienie. Suchym, wyuczonym głosem, padają głupie bluźnierstwa z ambony, a brat-furtjan dzwoni drewnianym dzwonem. Z witraży i tandetnych fresków patrzą na ciebie lubieżne sceny obrzydliwych golasów. Świnia na piedestale rozszerza w uśmiechu swój ryj. Wśród dymu kadzidła schodzi wreszcie biskup i kropidłem kropi wszystkich obecnych. Ceremonja skończona. Możliwe, że została przyspieszona, ze względu na dwóch tylko gości.

Św. Piotr z pastorałem w formie dużego klucza, wprowadza nas po schodach do właściwego nieba. Jest to nieduża sala ze sceną. Zapomocą światła i luster odpowiednio ustawionych, ukazują się na scenie miraż „żywych obrazów“. Naprzód idą aktualności wyświetlane

na ekranie, który z dwóch stron otaczają nagie dziewczki o smutnych do załkania oczach. Pojawiają się portrety panujących królów i rządzących prezydentów w Europie. Odpowiednio do państw, które reprezentują, rzucają reflektory oficjalne barwy sztandarów narodowych na torsy gołych aktorek. Wśród panujących „najnowszych czasów“, pojawiają się także portrety... śp. Ferdynanda rumuńskiego i Piotra Karadżordża serbskiego.

Później już idą, jedno za drugimi, żywe grupy gołych dziewczek, mające symbolizować rozkosze niebiańskie. Dzięki wirującym zapadnom, ruchomym lustram i światłom pod różnym kątem padania i odbicia, unoszą się te dziewice w powietrzu, do góry nogami, przodem, lub tyłem do widza, dając złudzenie rzeczywistości. I mój Mayer daje się nakłonić do eksperymentu. Wprowadzają go na scenę zupełnie pustą i po chwili już widzę, jak Mayer lata w powietrzu z aniołkami i idjotycznie uśmiecha się wśród mizdrzących się do niego kobiet, których zupełnie nie widzi, gdyż są to obrazy rzucone na scenę przez zwierciadła. Na zakończenie programu zjawia się przed Mayerem poważny archanioł (także odbitka lustrzana) i wielkimi nożycami przecina powietrze na wysokości, gdzie kończy mu się kamizelka, a zaczynają spodnie. Finis. Wyprowadza nas bratfurtjan, wśród świńskich błogosławieństw i modłów całego zespołu, ustawionego przed wyjściem z wyciągniętymi łapami po *pourboire*-napiwek.

Wychodzimy. Moglibyśmy jeszcze wstąpić do teatrzyku *Aux deux ânes*, na placu *Pigalle*, gdzie łatwo o „znajomości z początkujących sfer młodzieży żeńskiej“, ale myślę, że na dziś macie dość... Ten refren piosenki z kabaretu Aristidesa Bruant, że „*Tous les clients sont cochons!*“, ma jednak swoją rację...

**J**eśli nie macie nic przeciwko temu, to moglibyśmy oglądać dancingi paryskie. Ma się rozumieć, że nie wszystkie, bo na to potrzebaby kilka miesięcy czasu. Wystarczy jeśli wstąpimy do najpopularniejszych, a urobicie sobie obraz tańczącego Paryża. W niezliczonych *music-hallach*, kabaretach, domach publicznych, spelunkach i oficjalnych salach dancingowych, tańczą codziennie ludzie, jak rok długi. Lokale te służą nie tylko jako miejsca rozrywkowe, ale jako giełda pracy. Tu zarobkują i poszukują gości niezliczone rzesze prostytuttek; tu alfonsi rozliczają zarobki swoich kochanek, odstępują lub nabywają prawa do „niezajętych“ jeszcze dziewcząt; tu poszukują leciwe damy płatnych gigolaków lub murzynów „na dniówki“ — tu wreszcie koncentruje się nierejestrowany świat upadłych kobiet, żyjących z dnia na dzień w poszukiwaniu szczęścia, w formie dobrze wyładowanych portfelów amerykańskich.

Dancingi w naszym pojęciu, istnieją w Paryżu tylko w pierwszorzędných restauracjach hotelowych, lub w zamkniętych kołach towarzyszkich. Wszystkie inne, to przeważnie lokale kuplerskie, lub przedpokoje wiodące do najbliższych hoteli. Niezliczone hordy murzynów, mulatów i innych kolorowych ludzi, które opanowały cały Paryż, nadają też piętno dancingom paryskim. Nie mówię tu o specjalnych dancingach murzyńskich jak „*Bal-Negré*“ czy „*Boule blanche*“, gdzie murzyni bawią się kosztem Europejczyków, wyczyniając z białemi danserkami tego rodzaju trzęsączki, że w swojej rodzonej Afryce nabrałiby za to po pysku, — bo dancing ten jest specjalnie przeznaczony dla histerycznych etranżerek

i paryskich kokainistek, żadnych emocji w ramionach śmierzących murzynów. W Paryżu niema prawie jednego dancingu, gdzieby nie tańczyli murzyni. Ten za-  
lew murzyńsko-mulacki jest wprost niesamowity i zwró-  
cił już na siebie uwagę nawet tak toleranckich w sto-  
sunku do obcych, Francuzów.

W teatrze rewjowym *Folies Bergéres* przedstawiają  
obecnie w czterech obrazach, cztery fazy rozwoju tego  
teatru, od jego założenia w r. 1880 do dnia dzisiejszego.  
Widzimy, poprzez sceny charakteryzujące dane epoki  
rozwojowe tego teatru, rok bieżący, którego symbolem  
są pojawiające się na scenie całe stada gołych murzynów  
i murzynek. Charakterystyczne!

W *Casino de Paris* tańczy jeszcze ciągle Józefina  
Baker z bananami, obwieszonemi wokoło gołego brzucha.  
Baba ta ma przynajmniej poczucie rytmiki i własny styl,  
podczas gdy inne zespoły murzyńskie, które opanowały  
dancingi paryskie, narzuciwszy im obecnie swoje naj-  
nowsze tańce: „*cha-cha*“ i „*begin*“, oraz swoje *Nigger-*  
*Songs*, nie mają nic wspólnego nawet z pięknem wyzy-  
wającej beczelności przeginających się ciał, czy bezpo-  
średniością wyzwalającej się zwierzęcości, które pod  
sugestią gwizdów jazza batożą nerwy zbłazowanych  
cherlaków. Nie doszukacie się w tańcach murzyńskich  
na dancingach paryskich niczego, co przypominałoby  
Afrykę. Murzyni tańczący w Paryżu wynieśli tylko ze  
swojej ojczyzny czarne skóry i wspomnienie Afryki ka-  
pitału, biznesu i syfilisu.

Na „Balu murzyńskim“, gdzie perwersja łączy się  
z chamstwem, a murzyni, zda się, mszczą się na białych  
za swoje odwieczne upokorzenia i lynch, widziałem całe  
bandy Niemców, Anglików i Amerykanów, zwiezionych

tu przez autokary Cooka i słyszałem ich zachwyty: „*Ko-  
lossal, unerhört! Wonderfull! Very exciting!*“.

W dancingu *Tabarin*, na placu *Pigalle*, tańczą obecnie „*French kankan*“. Jest to rodzaj tańca brzuchem, przy którym niektórzy danserzy (mówią, że homoseksualiści) wyczyniają z danserkami wszystkie możliwe rzeczy, aby zadać kłam ich przysłowiowej obojętności dla płci pięknej.

Dancing w *Moulin Rouge'u* opisałem już poprzednio. Kopją jego, tylko w wytworniejszym wydaniu, jest dancing w *Lido*, gdzie dla odmiany znajduje się ogromny basen, w którym pary w strojach kąpielowych kąpią się, lub nawet spożywają swoje *cocktaile* na pływających stolikach.

Dancingiem, który zachował jeszcze swój charakter i styl paryski, jest jedynie *Bal musette*. Jest to rodzaj naszego „balu za drągiem“, gdzie kilka razy w tygodniu tańczą midinetki, panny służące i grawitujące do ćwierćświatka dziewczęta, w towarzystwie swoich przyjaciół. *Bal musette* ma swoje tradycje i temi tradycjami żyje. Naturalnie, że nie w tych lokalach, do których Cook zwozi swoich Amerykanów i międzynarodową hołotę. Tam jest *Bal musette* robiony na zamówienie, ze wszystkimi akcesorjami, mającemi wywołać dreszczyk zgrozy. Są więc „apasze“ w tradycyjnie przekreślonych chustkach na szyjach i w dżokejkach, nasuniętych na oczy — są rudowłose lub czarne „apasice“ w czerwonych kokardach do koła szyj, w białych fartuszkach i z kwiatkami w rozczochranych włosach, tańczące swój „taniec apaszów“ po 10 franków za godzinę. Na żądanie, apasze wyciągają swoje noże i inscenizują krwawą bójkę przy akompaniamencie szlochów swoich wiernych kochanek, lub uchwycwszy te swoje wierne kochanki za włosy, wloką je po

ziemi, przy akompaniamencie orkestronu, lub harmonji ręcznej. Wszystko to zależy od kategorii gości i czy impresarjo wypłaci im umówiony zarobek.

Na taki *Bal musette* nie pójdziemy. Pozostawmy ten rodzaj przyjemności kańciastym Yankesom, a sami wybierzmy się na prawdziwy *Bal musette*, gdzie niema apaszów ani apaszek, ale za to ujrzymy zgrabne i ładne dziewczęta paryskie w towarzystwie spokojnych i poprawnie zachowujących się młodych ludzi.

Chodźmy naprzód do *Au Petit Bousca*, przy *rue de la Huchette*, gdzie co soboty i niedzieli odbywa się najbardziej popularny *Bal musette* w tej dzielnicy. Proszę was, tylko bez żadnych fochów, pogardliwych uśmieszków i min, jakie zazwyczaj przybiera arystokracja, wstępująca „w łasce między lud“.

Przedewszystkiem nie angażujcie żadnej z tych dziewcząt do tańca, nie usiłujcie częstować nikogo papierosami, nie zwracajcie oczyma, choćby do najładniejszych danserek i nie róbcie tu markizów, bo chociaż ci młodzi ludzie są najbardziej pokojowo usposobieni i na przybyszów pozornie nie zwracają uwagi, to nie ręczę, że możecie nabrać po gębie i nikt wam tego nie odlepi.

Każmy sobie podać, to, co wszyscy tu piją t. j. mały *bock* lub lemoniadkę i siądźmy sobie za przyśrubowanym do podłogi stołem, na ławce także przyśrubowanej, na wszelki wypadek. Przedewszystkiem oglądnijmy sobie lokal i publiczność.

Jest to zwyczajna szynkownia, złożona z bufetu, za którym stoi gospodarz w fartuchu i powiniętami rękawami koszuli; sali tanecznej z galeryjką w górze, gdzie siedzi harmonista z zespołem i sali, przeznaczonej dla konsumujących gości. Niema tu nic nowoczesnego; nic, coby przypominało, że jesteśmy w Paryżu, gdzie już

o kilka ulic dalej znajduje się urządzony z istic babilońskim przepychem klub nudystów, w którym wszyscy członkowie zarówno kobiety, jak i mężczyźni tańczą zupełnie nago, a przygrywa im orkiestra golasów i usługują kelnerzy w strojach, jak ich matki wydały na świat.

Szynkownia *Au Petit Bousca*, to typ ludowej, prymitywnej knajpy, gdzie schodzą się pracujące dziewczęta, aby po dniu pracy lub poszukiwania za nią, zapomnieć w tańcu o troskach, w objęciach swoich przyjaciół i przygodnych znajomych. Tańczą tu przeważnie tango i mieszaninę tańca, przypominającego naszą starą polkę *tremblante*. Na krześle pod ścianą stoi impresarjo, a zarazem inkasent tej imprezy tanecznej, pobierający opłatę za przetańczony taniec. Płacą tylko panowie. Tanio, bo 25 centimów od głowy. Impresarjo nosi przewieszoną na brzuchu torebkę skórzaną pełną drobniaków, aby w każdej chwili gościom służyć resztą z frankówek i dwufrankówek. Taniec rozpoczyna się na znak impresarja, trwa w całości dwie minuty i dzieli się na dwie części. W połowie tańca orkiestra przestaje grać, a impresarjo woła na cały głos: *La monnaie, s'il vous plait!* (Pieniądze, z łaski swojej!) Wtedy danserzy odstawiają swoje danserki pod ściany i podchodzą ze swojemi 25-centimówkami do torby impresarja. Ci, którzy nie zapłacili, nie mogą dokończyć drugiej połowy tańca. Płacący tańczą dalej. Jedna minuta mija, jak piękny sen, muzyka urywa i naga rzeczywistość w osobie impresarja skrzeczy już znowu: *A qui, la monnaie?* (Kto chce drobnych?) Przed nową turą tańca muszą się wszyscy zaopatrzyć w drobniaki, aby nie przedłużać pauzy, kiedy impresarjo przerwie taniec w połowie i zawoła: *La monnaie, s'il vous plait!*

*Bal musette* trwa do północy i do zupełnych rzadkości należy, aby patrolująca na ulicy lub wewnątrz policja, miała powody do interwencji. Ten bal podmiejski ze swojemi parkami kochającemi się nieraz namiętnie i uczciwie, w atmosferze prostych ludzi, nie zżartych jeszcze nudą i perwersją szalejącego Paryża, przy tonach mistrzowskiej harmonji ręcznej, łączącej w sobie coś z sentymentu przedmieścia z rytmiką muzyki współczesnej, jest miły dla oka i słuchu. Wszystkie te bale są do siebie podobne i nie mają w sobie nic „apaszowskiego“, ani nic z *milieu* spelunek apaszowskich, widzianych na ekranach kinowych. Jedynie danserzy na tych balach trzymają się tańcu, tak jak to na ekranach widzimy w tańcach apaszowskich. Do dobrego tonu należy bowiem, jeśli danser silnie i blisko obejmie w tańcu swoją danserkę i kręcąc nią brutalnie, sam nie porusza wcale barkami. Barki dansera na *Balu musette* muszą być nieruchome i nie powinny się wychylić poza linję idealnie poziomą. To obowiązuje.

Gorszą już sławą cieszą się *Bale musette* w okolicach Bastylji, dokąd Cook rzadko się waży na transport swoich wzbogaconych gudłajów amerykańskich. W osławionej *rue de Lappe* i w sąsiadujących z nią labiryntach ciasnych, krzywych i ciemnych uliczek, mieszczą się lokale, jeden obok drugiego, a w każdym z nich brzmi harmonja, lub akordeon, przy którym odbywa się *Bal musette*. Tam już łatwiej oberwać nożem w plecy. W Paryżu „znika“ około 100 ludzi miesięcznie i nikt się nie może ich doszukać, albo raczej nikt ich nie szuka. Prostu — nie ma ich! Pewnej nocy przepadają jak kamień w Sekwanę — i nie ma ich! Duży procent tych „znikających“ przypada właśnie na ciasne i ciemne uliczki w okolicach Bastylji. Nie zrażajcie się jednak tem i przy zachowaniu

wyżej podanych środków ostrożności, możemy zaryzykować wycieczkę na *rue de Lappe*. Taki bal, jak wszędzie. Tylko, że policja częściej tu ma do czynienia i często wpada do lokalu, każąc gościom podnosić ręce do góry. Tu jednak unosi się jakiś wiew melancholji; melancholji dawnych, pięknych czasów, kiedy to apasz był powszechnie uznawaną i szanowaną osobistością, kiedy *maquereau* był tak samo dobrym zawodem, jak każdy inny i kiedy to istniały jeszcze wierne kochanki, idące z miłości dla swego *chéri* na ulicę, aby zarobić na jego utrzymanie.

Stara pocziwa harmonja ręczna, zaawansowana obecnie do rzędu najmodniejszych instrumentów muzycznych, przypomina swemi ostreimi, urywanemi tonami to dawne tempo życia ludzi nocy, a jęcząc zarazem długą, ciągliwą i sentymentalną nutą, sprowadza ów wiew melancholji, który unosi się w atmosferze *Balu murette*, jako przebrzmiałe echo dawnych ludzi i dawnego Paryża...



O sobną książkę należałoby poświęcić t. zw. „grandzie“ paryskiej. Pod pojęcie „grandy“ podpada u nas to wszystko, co popularnie nazywamy „nabijaniem w butelkę“, „robieniem z tata warjata“, „bujaniem w bambus“, „wykiwaniem“ itp. żargonowemi określeniami, które jednak trafiają w sedno rzeczy, o ile chodzi o dosadne zobrazowanie bezczelnego oszustwa, okłama-

nia, czy korzystania z łatwowierności bliźniego, w celach korzyści materialnej.

Do jednej z takich „grand“ należy obowiązujący w Paryżu *pourboire*, czyli napiwek w wysokości 10 procent od płaconego rachunku. Ten niepopularny haracz narzucony przez sprytnych gospodarzy na rzecz służby, której wcale nie opłacają, nie byłby ostatecznie żadną „grandą“, gdyby ta służba zadowalała się napiwkiem 10-procentowym. Zapłaciwszy jednak rachunek i ustalony procent w jakimś wytworniejszym lokalu, odnosicie wrażenie, że popełniliście profanację i jakiś grubszy nietakt, za które powinniście wylecieć za drzwi pod obuchem spojrzenia oburzonego kelnera. Przeciętnie solidny gość jest obowiązany do uiszczenia napiwku, przynajmniej w wysokości 15% od rachunku. Przypuśćmy, że chcieliście zjeść obiad (*diner*) za 15 franków, tj. za cenę, uwidocznioną w jadłospisie i że tylko na taki wydatek byliście przygotowani. Zobaczmy zaraz, co się z tych 15 franków zrobiło! Narażmy się na zarzut „świniowatości“ i zapłaćmy tylko 10 procent napiwku, tj. 1.50 franka. Do tego dochodzi w niektórych lokalach opłata za *couvert*, czyli nakrycie (2 franki) i garderoba 50 centimów. — A gdzie napiwek dla *picolla*, który ci podał papierosy? A *pourboire* dla portjera, który ci otworzył drzwi, dla pomocnika szatnego, który ci podał laskę i kapelusz, czy dla *madame*, pilnującej *pissoiru*?... Skromnie licząc, wypada za obiad 22 franków, zamiast 15, czyli, że obiad taki kosztuje *de facto* o 50% drożej, niż w jadłospisie. Czy to nie jest *granda*?... Powiecie może, że nie należało *hochstaplerować* i dawać napiwków pikolakowi, babce, portjerowi i pomocnikowi szatnego. Spróbujcie, a zobaczycie, że nie będziecie mieli czego szukać na drugi raz w tej restauracji. Ci ludzie żyją zresztą tylko z napiwków, jak

przeszło milion ludzi w Paryżu. Napiwek należy się tu odźwiernemu, który odbiera bilet wejścia do teatru; napiwek musisz dać w kinie, za wskazanie miejsca przez biletera — napiwek: szoferowi, kolporterowi gazet, consierżce, woźnemu w muzeum, kamelotom ulicznym, w łaźni, czytelnikowi, fryzjerni, w hali pogrzebowej, domu publicznym, czy krematorium — *pourboire, pourboire* i *pourboire!*... Te napiwki podrażają pobyt w Paryżu o co najmniej 50 procent.

Także forma spożywania śniadań, czy podwieczorków „na siedząco” lub „stojąco” jest jednym ze środków wyzysku przejeżdżających, nieznających tego zwyczaju. Oto kawa, czy herbata, wypite w jakiegokolwiek kawiarence na stojąco przy bufecie, kosztuje o połowę mniej, niż gdybyście choć na chwilę usiedli przy stolikach, stojących wzdłuż ścian lub na werandzie. Biada ci, gdybyś zapłaciwszy już za kawę „na stojąco”, śmiał usiąść! Wyłecisz na pewno za drzwi, jeśli nie dopłacisz za „siedzenie”.

Iana formę wyzysku uprawiają woźni i „oprowadzacze” w muzeach publicznych. Wywnioskowawszy, że gość jest cudzoziemcem, podchodzą do niego i nie pytając wcale o zgodę, poczynają recytować wyuczoną lekcję na temat zbiorów muzealnych i naplótłszy piąte przez dziesiąte, często tak szybko, że widz nawet nie zrozumiał o co chodzi, wyciągają łapy po napiwek. Były wypadki, że oburzony gość odmawiał napiwku. Wtedy interwenjowała policja, ale zawsze na korzyść *cicerone’a*.

W teatrach i teatrykach rewjowych (nie wyłączając nawet *Folies Bergères*) czatują na gości, w porozumieniu i za zgodą dyrekcji, niezliczone tłumy prostytutek i usiłują ich wciągnąć w rozmowę. Wystarczy jedna minuta rozmowy, a donna już żąda *pourboire’u* „za towarzy-

stwo“! Są takie, które żądają zupełnie głośno i powołują się na swoje prawo i policję. Płochliwi płacą, w obawie skandalu.

Na polach Elizejskich istnieją lokale reklamowe różnych firm, do których wstęp jest wolny. Jak długo spacerujesz i oglądasz sobie towary, lub grę w krokieta, która odbywa się na parterze — wszystko dobrze. Spróbuj jednak, zmęczony się, usiąść na zachęcającym cię krzeselku, obok stołu! W tej chwili zjawia się garçon: Obowiązuje „konsumacja“! Musisz wypić cośkolwiek za cenę trzykrotnie wyższą, jak w kawiarni „na siedząco“ — i sam Pan Bóg nie pomoże!

Zasadniczo nie należy się żadna opłata za użycie *pissoiru* w restauracjach, kawiarniach, czy w teatrach.

Trzymając się tego przepisu, możesz się narazić na to, że baba pilnująca tych przybytków, wybiegnie za tobą aż do hallu, lub sali, z pyskiem i wyciągniętą dłonią.

Pewnego rodzaju „grandą“ jest też t. zw. *foire*, czyli jarmark, połączony z kiermaszem, który odbywa się w okresie świąt Bożego Narodzenia na *Montmartrze*. Niezliczone budy jarmarczne, pełne tandety, świecidełek i obrzydliwych łakoci, strzelnice, ruletki, karuzele, panoramy, koła szczęścia i szalbiercze loteryjki, ciągną się wzdłuż kilometrowych przestrzeni. Wszystko obliczone na wyzysk i hazard. Do imprez, które mi się jednak najbardziej podobały, należał jeden z karuzeli, pędzony elektrycznie i najchętniej obsadzany przez płeć piękną. W gondolach siada kilka dziewcząt na przednim siedzeniu, kilku panów nieco niżej *vis-à-vis*. Niechytnie w tem nie było szczególnego, gdyby nie pewna emocja, czekająca męską obsadę gondoli. Oto w momencie, kiedy karuzel jest w najsilniejszym obrocie, spada na wszystkie gondole rodzaj kabłąkowatej budy płóciennej, nakrywającej

wszystkie pary szczelnie i izolującej je od widoku publicznego na dwie minuty. Czas krótki, ale dobre i to dla tych, którzy nie posiadają własnych aut i nie mogą, wzorem wyższych sfer paryskich, urządzać sobie eskapad ze „świecącymi samochodami“ do Lasku Bulońskiego. Te dwie minuty izolacji i sam na sam, to jeszcze nie wszystko, co otrzymuje gość za swego franka! *Clou* stanowi moment, kiedy płócienna buda odkrywa gondole, unosząc się nagle do góry. Wskutek szybkiego ruchu obrotowego karuzelu i przeciągu, jaki powstaje podczas nagłego poderwania kabłąkowej budy, powstaje silny wiatr dolny, który podnosi panienkom powiewne sukienki aż po szyję, dając naprzeciw siedzącym panom niezgorszy widok za tanie pieniądze. Złośliwi twierdzą, że największe powodzenie mają tu panny bez *dessous*. Jak na jarmark „przedświąteczny“ — nie można narzekać! W tym jednym wypadku niema „grandy“, bo przedsiębiorca karuzelu daje nawet więcej, niż normalny karuzel zwykł dawać swoim amatorom.

Gorzej, jeśli na typową „grandę“ puszcza się instytucja ogólnie znana i zanotowana we wszystkich oficjalnych przewodnikach Paryża, w rzędzie takich muzeów, jak *Louvre*, *Luxembourg*, czy *de la Ville de Paris*. Myślę o muzeum figur woskowych: *Musée Grevin*. Gdyby to muzeum ograniczyło się tylko do wystawy mniej, lub więcej udatnych figur woskowych znanych osobistości, czy zbiorowych scen z życia i historii Francji, to możnaby nawet darować to, że obok figur prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, papieża, Napoleona i scen z męki Pańskiej, stoi figura Zuzanny Lenglen (tenis) i woskowy... Landru (masowy morderca). W sąsiedztwie scen i fragmentów z Wielkiej Rewolucji, nie razi ostatecznie jej potomek, woskowy policjant w pelerynce, ale woskowa mi-

dinetka, poprawiająca sobie podwiązkę pod bardzo wysoko podniesioną sukienką, razi stanowczo obok figur, przedstawiających śmierć Marata z ręki Charlotty Corday, czy obok sceny z ostatnich chwil Napoleona na wyspie św. Heleny.

W każdym razie, pomimo artystycznego wykończenia i cyzelatorskiej nieraz roboty tych figur, muzeum *Grevin* nie może i nie powinno być zaliczane w poczet rzeczy godnych widzenia, a już najmniej, w poczet muzeów o jakichś rzetelnych walorach artystycznych.

Gdyby *Musée Grevin* ograniczyło się tylko do swoich figur woskowych! Ale gdzież tam! Na wzór wszystkich teatrzyków, panoptikonów, cyrków i podejrzanych imprez paryskich, muzeum *Grevin* posiada jeszcze liczne przybudówki, które można zwiedzić za osobną opłatą. Są to: *Le palais de mirages* i *Cabinet fantastique*. W pierwszym ogląda zbite stado etranżerów siebie samych w licznych odbiciach lustrzanej sali, która oświetlona różnokolorowymi światłami, daje złudzenie perspektywicznej dali, a w drugim święci już „granda” prawdziwy triumf. Ów *Cabinet fantastique* jest bowiem niczem innem, jak zwyczajną salką z estradą, na której pojawia się jakiś ochrypły magik i ludziom z całego świata tu zgromadzonym (widziałem poważnych brodaczy w okularach, siwych gentelmenów i leciwe misses) pokazuje przez pół godziny sztuczki z kartami, jajecznicę w cylindrze i żonglerkę talerzami, czyli to wszystko, co za 20 groszy można ujrzeć w Polsce w pierwszej lepszej budzie na odpusćcie.

Publiczność opuszczająca *Musée Grevin*, ucieka szybko, jakby wstydząc się, że została tak głupio wystrychnięta na dudka.

Jakże naiwnie wyglądają „grandy” poszczególnych biedaków paryskich, operujących potajemnie w obawie

przed policją, wobec zalegalizowanych i handlowo zorganizowanych wielkich przedsiębiorstw grandziarskich!

Cóż taki biedak sprzedający kartki pornograficzne obok Opery, może zarobić w porównaniu z koncesjonowaną księgarnią „pornograficzną“ pod firmą *Librairie de la Lune*, Mlle Yvonne, przy *rue de la Lune*?... Najwyżej kilkadziesiąt franków, lub kilka dni aresztu, podczas gdy Mlle Yvonne inkasuje dziennie kilkadziesiąt tysięcy.

Różnica między ulicznym sprzedawcą widokówek pornograficznych, a księgarnią „Pod Księżycem“ jest jeszcze ta, że sprzedawca uliczny nie uprawia żadnej grandy, sprzedając solidnie świński towar, podczas gdy *Librairie de la Lune* uprawia zwyczajne, choć w myśl prawa zupełnie legalne, oszustwo. Brzmi to paradoksalnie, ale tak jest!

Sprzedawcy wydawnictw pornograficznych na ulicach, czy w lokalach, podchodzą do ciebie dyskretnie i oglądając cię na wszystkie strony, czy ktoś niepowołany nie podpatruje, szybko rozpinają zapięte surduty i ukazują ci porozwieszane na piersiach kolekcje perwersyjnych zdjęć fotograficznych. Ci ludzie są w porządku, przynajmniej wobec odbiorców. Pokazują swój towar i żądają za niego tyle a tyle.

Zupełnie inaczej odbywa się sprzedaż wydawnictw „pornograficznych“ u mademoiselle Yvonne. Jest to przedsiębiorstwo wyłącznie „grandziarskie“, wydające grube tysiące na reklamę i zbierające w setki tysięcy idące sumy, które płacą naiwni z całego świata. Przedsiębiorstwo to jest oparte na gruntownej znajomości psychologii mężczyzn zjeżdżających do Paryża w poszukiwaniu niezdrowych emocyj i wrażeń.

W księgarni, nad którą świeci elektryczny rogalek księżycy jako godło, siedzi prześliczna blondyna o naiw-

nych oczach aniołka i przez cały dzień ogląda zbiegających się tu durniów, poszukujących „pikanterij” paryskich. Zachęca ich do tego napis, umieszczony za witryną księgarni, zapowiadający wielkim drukiem: *Ce que vous cherchez n'est pas a l'étalage...* (Tego, czego szukacie, nie ma na wystawie).

I jakże tu nie wejść, kiedy anonse w gazetach i nagiannicze panny Yvonny (sprzedawcy gazet, baby w kioskach i szoferzy) zapytują każdego cudzoziemca przy każdej sposobności, czy jeszcze nie był w „magazynie” Mlle Yvonny i rozpowiadają cuda o jej zbiorach?... Zakazany owoc smakuje. Wchodzisz i odrazu wpadasz w nastrój zakonspirowanej tajemniczości. Prześliczna blondynka siedzi za kontuarem z miną Westalki i wogóle nie zwraca uwagi na ciebie. Trzeba powiedzieć, czego żądasz. Widziałem starych, łysych byków, czerwieniejących się, jak młode pensjonarki, zanim wykrztusili w najbardziej oględnej formie, że pragnęliby nabyć kolekcję „interesujących fotografii”. Blondynka ma kamienny wyraz zadumy na twarzy i ze spokojem farmaceutki podającej lekarstwo, wręcza ci katalog. Katalog nic nie mówiący, albo raczej bardzo wiele mówiący, ogólnikowo... Nr. 1. „Sceny miłosne w pensjonacie”, Nr. 2. „Noc miłosna w klasztorze”, Nr. 3. „Miłość na wolnem powietrzu” i t. d. Są to kolekcje po 50, 100, 200 i 300 franków. Wybór musi zostać dokonany wyłącznie na podstawie cennika. Na ślepo. Mlle Yvonne zna swoich klientów i wie dobrze, że ta tajemniczość spotęguje u nich chęć kupna — a zresztą — jakże tu przeglądać wyuzdane sceny miłosne w obecności takiego blond-aniołka, siedzącego za ladą?... Kupują więc kota we worku. Zależnie od ceny, mała blondyneczka schyla się pod ladą, lub wyjmuje z ukrytej półki, paczkę fotografii mocno obwiązaną sznurkiem i zalakowaną na

pieć pieczęci. Paczki tej nie wolno absolutnie otwierać w sklepie. W domu, na ulicy — gdzie chcecie. Byle nie w obecności blondynki o niewinnych oczach aniołka!...

Pójdźmy za jednym z panów, który kupił sobie „Miłość na wolnem powietrzu“ za 100 franków. Wystarczy pójść za nim do najbliższej latarni, gdzie z pewnością przystanie i nerwowo zerwie sznurek i pieczęcie. Nie leżmy mu w oczy, bo gotów uderzyć! Patrzcie, jak się wścieka i szybko ucieka z ulicy *de la Lune*, jakby wstydząc się tego miejsca, gdzie dał się nabrać, jak pierwszy lepszy smarkacz. W paczce znalazł bowiem sto kartek z fotografiami najniewinniej całujących się parok, dziewcząt, pieszczących się z gołąbkami, midinetek siedzących na kolanach uśmiechających się pomocników handlowych, kucharek przeglądających się w lustrze, lub nawet pijących kawę z solidnych baniaczków rodzinnych.

Za 100 franków kupił sobie gość 100 widokówek, jakie w lepszym wykonaniu, wysyłają zazwyczaj młodzi rekruci do swoich bogdanek do wszystkiego, w cenie (widokówki, a nie bogdanki!) 2 groszy od sztuki.

Firma Mlle Yvonne jest w porządku. Pornografii sprzedawać nie wolno. Gość, któryby z tego zrobił kwestję, może sam być karany. Za swoich 100 franków (33 złotych) dostał towar à 1 frank za sztukę. Najwyżej może być z towaru niezadowolony, ale też nikt go nie zmuszał do kupna na „niewidziane“. Zresztą może w tej firmie na drugi raz nie kupować! Mało to durniów przyjeżdża do Paryża?...

„Granda“, przynosząca ogromne dochody z pospoliciego, *sui generis*, oszustwa, jest w Paryżu legalna. Jak wogóle wszystkie „grandy“ paryskie.

\* \* \*

Czcigodny Panie! O ile się nie mylę, biorąc moją książkę do ręki, spodziewał się pan także usłyszeć coś o osławionej miłości paryskiej? Czy tak?... Jeśli się pomyliłem, to proszę łaskawie przerzucić kilka stronic i rozdziału tego wcale nie czytać. Gdyby się jednak czcigodny pan zdecydował, to — proszę!

Zaczynam:

Paryż jest faktycznie miastem miłości. I tej, w znaczeniu najpiękniejszym i tej, pisanej w cudzysłowie. Chcąc mówić o miłości w Paryżu, musimy się przede wszystkim zająć kobietą paryską. Aby jednak dojść do definicji, czym jest kobieta paryska i jaka jest jej rola w życiu mężczyzny, musimy się wyzbyc pewnych szablonów myślenia i skostniałych pojęć w odniesieniu do kobiet paryskich i ich przysłowiowej „lekkości“. Paryżanki, w ścisłym tego słowa znaczeniu, t. j. kobiety pracujące na siebie, mężatki, dziewczęta z drobnomieszczańskich rodzin, panie z arystokracji, czy plutokracji paryskiej — a nie demimondówki, lub zwyczajne prostytutki — nie mają nic wspólnego z tem, co o kobietach paryskich wypisują i wypisywali literaci, poczynawszy od najgenialniejszych, a skończywszy na ostatniorzędnych powieściopisarzach, czy autorach scenicznych.

Każdy z nas pod wpływem tej lektury wyobraża sobie, że kobieta paryska niema nic innego do roboty, jak cały dzień leżeć w wykwintnym łóżku i jednemi drzwiami wpuszczać, a drugimi wypuszczać przygodnych, lub zaabonowanych kochanków. Ja sam, jeszcze jako obiecujący młodzieniec, nie mogłem sobie inaczej wyobrazić kobiety paryskiej, jak tylko w roli rozkosznicy zdradzającej w wykwintnym buduarze przez 24 godziny na dobę

swego męża z kochankiem, a kochanka z mężem. Tak nie jest! Kobiety paryskiej nie należy szukać na tym przegromnej rozpiętości łuku w literaturze od Balzaca do... Vautela; ani w *La Vie Parisienne*, czy w *Le Sourire*, ani w romansach wielkich kokot, ani w farsach francuskich z nieodzownem łóżkiem na scenie, ani w filmach, rewjach, kabaretach, czy w albumach pornograficznych. Tam nie znajdziecie kobiety paryskiej.

Kobietę paryską trzeba poszukać tam, gdzie ona żyje pełnem życiem, jako idealna towarzyszka swego męża, jako najwierniejsza narzeczona, niepocieszona wdowa, wzorowa matka, lub przykładna, pedantyczna, skąpa i zapracowana gospodyni domu. Dziewcząt paryskich poszukać trzeba nie w *Moulin Rouge'u*, ani na promenadzie w Lasku Bułońskim. Znajdziecie je przy warsztatach, w magazynach i w szwalniach; w roli agentek ubezpieczeniowych, fryzjerów męskich, dentystów, komiwojażerów, szoferów, nianieek, stenotypistek, i Bóg wie w jakiej jeszcze. Przyczem są zawsze miłe, zgrabne, uśmiechnięte, odznaczają się wrodzoną inteligencją, swobodą w obcowaniu z mężczyznami i są wiecznie — w poszukiwaniu męża. Znaleźć bowiem legalnego, w urzędzie stanu poślubionego męża, jest w Paryżu trudno. We Francji jest bowiem dwa miliony kobiet, które nigdy nie wyjdą za mąż, gdyż ilość kobiet przewyższa ilość mężczyzn o tę liczbę.

Prawdą jest natomiast, że jeśli któraś z tych kobiet poszuka sobie kochanka, to staje się jego najidealniejszą przyjaciółką i towarzyszką umiejącą mu dać całą sumę szczęścia, jakie kobieta w miłości dać może.

Paryż jest miastem miłości i w innem tego słowa znaczeniu. Paryżanie nie znoszą monogamji i chętnie przenoszą się z legalnie uświęconych ognisk domowego szczę-

ścia, tam gdzie miłość trwa chwilę, ale daje pewne urozmaicenie. Stąd tyle domów publicznych w Paryżu, jak w żadnym innym mieście Europy. Zadziwiało mnie nieraz z jaką swobodą i prostotą, jakby to było całkiem coś zwyczajnego, paryżanie wchodzili w jasny, biały dzień do domów publicznych. Gdyby to byli przynajmniej ludzie młodzi — pal djabli! Widziałem jednak łysych, podtatusiałych i poważnych jegomościów, którzy wolnym krokiem i z powagą statecznych ojców rodzin wchodzili do domów publicznych, tak jak się u nas wchodzi do sklepu tytoniowego, lub do urzędu pocztowego. Najlichszy robociarz paryski ukończywszy wieczorem robotę na budowie, czy przy naprawie bruku, kieruje swoje kroki do najbliższego *bistro*, gdzie wypijwszy większą ilość wina, udaje się wprost do domu oświetlonego czerwoną latarnią, aby za kilka zarobionych franków użyć rozkoszy w objęciach zmizerowanej prostytutki. Do owej przysłowiowej jurności gallickiej przyczynia się niewątpliwie duża ilość wypitego w ciągu dnia wina i *aperitifs*, wystarczająca zupełnie, aby człowiek żyjący w naszej szerokości geograficznej nie wypadł ani przez chwilę z transu pijaństwa.

Dom publiczny w Paryżu jest niejako usankcjonowaną instytucją użyteczności publicznej, funkcjonującą w ściśle oznaczonych godzinach urzędowych, od 2-giej popołudniu, do 2-giej w nocy, czyli przez 12 godzin na dobę, wbrew obowiązującemu 8-godzinnemu dniowi pracy. Domy te oświetlone wieczorem kolorowymi latarniami, lub transparentami zwracają na siebie uwagę przechodniów, tak jak inne dobrze reklamujące się sklepy z obuwem, bielizną, czy margaryną. Niektóre z nich mają nawet w oknach kolorowe witraże przedstawiające nagie i półnagie dziewice płaszące w bachanckim tańcu.

Witrynę taką, z witrażami przedstawiającemi gołe Japonki widziałem przy *rue de Tracy* w domu publicznym pod zawołaniem *Brasserie des belles Japonaises*. Każdy bowiem dom publiczny w Paryżu ma swoją wywieszkę i zaprotokołowaną firmę, lub godło, jak każde szanujące się przedsiębiorstwo opłacające podatki. Niektóre z tych lupanarów (boxon) noszą tylko krótką nazwę od imienia właścicielki, jak „Ida“, „Suzy“ (przy ulicy *Grégoire de Tours*), inne mają bardziej poetyczne tytuły, jak np.: *Au panier fleuri*, lub też nazwy zakonspirowane, a temsamem nęcące swoją tajemniczością: *Chambres Meublées tout confort* — albo nawet wiele mówiące napisy: *Massage*. Bardziej szanujące się domy publiczne, dbałe o lepszą klientelę, wywieszają za witrzynami kartony z napisami *English spoken*, *Hier wird deutsch gesprochen*, lub *Esperanto*. Renomowany dom publiczny pod zawołaniem *Aux Belles Poules* przy *rue Blondel* ma nawet swego portjera, który wręcza przechodniom perfumowane bileciki z adresem firmy, nad którym, niby herb, widnieje kogut z kurą w chwili afektów miłosnych.

Widziałem ulice (*rue Brise Miche*, w ghecie żydowskim — *rue Mazet* i *Dauphine* — dzielnicę *Saint Paul*, *rue de Caire*, *d'Aboukir*, *Alexandrie* i *Blondel* w okolicach *Porte St. Denis*, gdzie dom obok domu, oprócz niezliczonych hoteli godzinowych, mieści lupanar. Lupanary tak wstrętne i ohydne, że poprostu wierzyć się nie chce, aby w sercu świata, Paryżu, coś podobnego istnieć mogło. W poplątanych i źle oświetlonych uliczkach przewała się fala najbrudniejszych namiętności, tłumy mężczyzn wyplutych, zda się, przez rynsztoki całego świata i kobiet, będących tylko nędzną parodią tego, co zwykliśmy uważać za kobietę. Te dziewczęta uliczne, nędzne, często wychudłe z głodu i chorób, stanowią atrak-

cję całych dzielnic, gdzie mężczyźni różnych ras i narodowości szukają taniej miłości. Wystarczy spojrzeć na taką dziewczynę, aby odnieść wrażenie, że jest to jakieś umęczone, ścigane i na uwięzi szarpiące się zwierzę, które niema siły, aby zerwać pętli zarzuconej jej na szyję.

Tak też jest w istocie! Spacerują one pod czujnem okiem swoich alfonsów i sutenerów, na przestrzeni, często nie większej jak 5 metrów, aby nie zniknąć z pola widzenia swoich pogromców. Sutenerzy żyjący wyłącznie z zarobku jednej, często zaś kilku, lub kilkunastu prostytutek, terroryzują swoje ofiary, nie pozwalając im oddalić się poza obręb ich widzenia i zasięgu ich czujnych, nieubłaganych oczu. Co chwila gasną, lub rozświetlają się okna godzinowych hoteli, jak zapalające się, lub gasnące ślepia nigdy nienasyconej bestji i czeluście bram wchłaniają lub wypływają pary. Niema w tem zetknięciu się dwojga płci, w tem zbliżeniu się mężczyzny, choćby do kupnej kobiety, nic z tego, co znamionowałoby, że mężczyzna jest poekscytowany, podrażniony, lub po prostu tylko zadowolony, że odnalazł obiekt odpowiadający jego upodobaniom. Para wchodząca do hotelu idzie obok siebie zupełnie obojętnie, często nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Na twarzach ich maluje się kompletna obojętność, znudzenie, a często i smutek jakiś beznadziejny. Mężczyzna postępuje za kobietą jak zwierzę, które nieodporny instynkt gna ku samicy, a kobieta prowadzi nudny dla niej, wstrętny i zniechęcający obiekt, z którego wydobędzie kilka franków dla swego alfonsa czekającego w otwartych drzwiach szynkowni, czy za załomem muru.

Ten sam obraz, niby taśma koszmarnego filmu, przesuwają się z ulicy na ulicę. Domy publiczne w Paryżu są

od godzin popołudniowych, do później nocy w obłęzieniu. Z kawiarenek bez szyldów, szynkowni bez firm i knajp z charakterystycznym lustrem w drzwiach, wypełzają ciemne indywiduua, tropiąc ślady swych kochanek wysłanych na połów gości; giną w mroku leniwie włóczące nogami białe niewolnice, aby gangreną swojej miłości obdzielić cały ubogi i nędzny Paryż.

W ściśle zakonspirowanych szynkowniach i barach odległych uliczek mieszczą się giełdy i syndykaty sutenerów paryskich. Tam ustala się ceny na dziewczęta, odstępuje się je z rąk do rąk, przydziela nowym właścicielom, ustala ich wartość zarobkową, wycofuje z obiegu, oblicza zarobki, lub biciem bez miłosierdzia zmusza do posłuchu i uległości. Dźwięki ręcznej harmonji lub orchesterjonu w tych lokalach zagłuszają często krzyki bitych i maltretowanych dziewcząt, które ośmieliły się wobec swoich władców objawić nieposłuszeństwo.

Nad wszystkim tem czuwa z urzędu policjant w czarnej pelerynce, albo „Flik“ w skórzaney kurtce, aby wszystko odbywało się normalnie, bez większych awantur i tak, jak prawo przepisuje.

Pod bokiem, za wiedzą i niejako na oczach policji odbywają się w Paryżu targi na kobiety.

W Paryżu istnieje około 1250 domów publicznych zatrudniających przeszło 35.000 kobiet. Oficjalnie, według wykazów urzędowych, pozostaje pod nadzorem sanitarnym policji obyczajowej 75.000 kobiet, zaś drugie tyle wymyka się niewątpliwie z pod tej kontroli. W sumie więc istnieje przeszło 150.000 kobiet komercjalizujących miłość w Paryżu. Rzecz oczywista, że wobec tej hyperprodukcji oficjalnych i krytych koryntjaneek, przy dużej konkurencji kobiet uprawiających miłość dla samej miłości — trudno jest dziewczynie, bez pośrednictwa

i pomocy wpływowych sutenerów otrzymać „zajęcie“ Aby nie umrzeć z głodu, oddają się na łaskę i niełaskę alfonsów z pod najczarniejszej gwiazdy, którzy je „wyprowadzają w świat“. Istnieją w Paryżu formalne giełdy na żywy towar, gdzie transakcje dochodzą do zawrotnych sum. Alfons paryski dostawszy w swoją moc dziewczynę, staje się jej koncesjonarjuszem z wyłącznem prawem eksploatacji. Na giełdzie żywego towaru zawierane są też transakcje innego rodzaju. Sutener posiadający nieco gotówki, kupuje sobie u alfonsa posiadającego jakiś ponętniejszy obiekt, lub u samej dziewczyny, prawo eksploatacji na pewien umówiony okres czasu. Umowę zawiera się w formie kontraktu ustalającego wysokość sumy za dzierżawę odstąpionej dziewczyny, prawa i obowiązki dzierżawcy i kwotę wypłaconą wprost na ręce dziewczyny w formie zaliczki, potrzebnej na odpowiednie stroje, opłacenie mieszkania i inne konieczne wydatki. Koncesjonarjusz ciągnie potem zyski z „pracy“ wydzierżawionej dziewczyny, zazwyczaj tak długo, aż kapitał włożony w interes zamortyzuje się i przyniesie pokaźne odsetki. Rzadko się zdarza, aby koncesjonarjusz był zarazem pośrednikiem między dziewczyną, a jej klientami. Pośrednictwem zajmują się inne indywidua, rekrutując się przeważnie z mętów paryskich i z obcokrajowców. Do najzdolniejszych pośredników należą obcokrajowcy-słudenci, którzy w ten sposób ratują się na paryskim bruku od śmierci głodowej. Pośrednicy tacy otrzymują ustaloną prowizję, opłacają podatki i pilnie się wystrzegają, aby nie przyłgnęła do nich nomenklatura stręczycieli, gdyż stręczycielstwo jest policyjnie wzbronione. Zdarzają się wypadki, że kobieta natrafiwszy na ludzkiego koncesjonarjusza i na sprytnego pośrednika dochodzi nawet do majątku i po pewnym cza-

sie wycofuje się z interesu, aby założyć sobie dom rodzinny na przedmieściu i imponować wszystkim kuzynom jako wzór bogobojnej i cnotliwej rentjerki.

Kobiety na giełdach żywego towaru rekrutują się przeważnie z byłych pensjonariuszek domów publicznych, w których odbyły swój nowicjat, w rygorze wprost kasarnianym. Odbywszy niejako szkołę przygotowawczą, starają się za wszelką cenę wydostać z tego piekła i szukają sobie koncesjonariusza, któryby je wprowadził w świat wolno-praktykujących kapłanek miłości.

Rzadko się zdarza, aby jakaś dziewczyna od razu dostała się w ręce koncesjonariusza. Z powodu nieznamości terenu paryskiego, woli sama umieścić się prowizorycznie w domu publicznym, aby się rozglądnąć w konjunkturze i otrząść w tym małym światku nędzy i hańby. Nie każdej jednak udaje się opuścić lupanar w stanie niewykluczającym dalsze zarobkowanie na ulicach Paryża. Pobyt w domu publicznym w Paryżu, gdzie frekwencja dzienna przekracza nieraz 1500 gości, rygor więzienny utrzymywany w tych zakładach, zazwyczaj pod nadzorem właścicielki i jej kochanka, wybryki zapitych klientów, wyzysk, złe odżywianie, szykany policji obyczajowej, przymus picia każdej ilości alkoholu z gośćmi, bicie i maltretowanie, doprowadzają do tego, że najzdrowsza i najsilniejsza dziewczyna już po kilku miesiącach pobytu w tem piekle, przedstawia ruinę człowieka. Gruźlica i syfilis zbierają hojny plon.

Widziałem jeden z takich ostatniorzędnych domów publicznych w dzielnicy *Saint-Paul* i nigdy już nie zapomnę tego koszmarnego widoku. Chciałem się naocznie przekonać, jak wygląda taki lupanar w „*capitale du monde*“ — i poszedłem.

Cały ten przybytek miłości składa się z dwóch pokoiów przedzielonych przedsionkiem, do którego prowadzą drzwi wprost z ulicy.

Wszedłem. Obraz straszny, makabryczny, niespotykany nigdzie!

Pierwszy pokój i sionka zatłoczone ludźmi tak dalece, że szpilki nie byłoby gdzie umieścić. W ciemnym, mdłym oświetleniu lampy przysłoniętej abażurem, tłamsi się około stu mężczyzn, czekających swojej kolejki. Stoją milczący, niemi, nie patrząc na siebie, jakby wrośnięci w zdeptaną i niechlujną podłogę, wypatrując, rychło na nich przydzie kolej, aby opuścić poczekalnię i przez przedsionek przejść do drugiego pokoju. W pokoju tym jednak nie wolno się zatrzymywać, gdyż jest to „sala“ specjalnie przeznaczona dla konsumujących gości. Klient z poczekalni, na którego kolej przyszła, musi szybko przejść „salę konsumcyjną“ i wydrapać się na pięterko oddzielone przepierzeniem ścianki pruskiej od „sali“. Tam, w kłitkach, za splewiałymi firankami z kretonu znajdzie jedną, lub dwie chwilowo wolne pensjonarjuszki. W „sali konsumcyjnej“ mają prawo zatrzymywać się tylko ci goście, którym stać na wypicie szklanki *bocku*, lub podłej *Biere de Lorraine* za 75 centimów. Nie każdemu z klientów stać jednak na konsumcję. Stoi więc zwarta grupa biednych, cuchnących i nieogolonych samców i patrzy w oświetlony prostokąt otwartych drzwi do sali, gdzie szczęśliwcy, posiadający jeszcze 75 centimów oprócz 3 franków „na miłość“, mogą napić się piwa w towarzystwie nagich dziewcząt. Pierwszeństwo bowiem mają goście konsumujący i oni to w pierwszym rzędzie mogą sobie wybierać dziewczęta. Klient w poczekalni musi czekać, aż któraś z dziewcząt niezaproszonych do stolika fundującego go-

ścia, uda się na rozkaz wszechwładnej „gospodyni“ na piąterko. Czeka ją więc godzinami, gdyż jest to najtańszy lupanar w Paryżu. Trzy franki.

Wchodzę do „sali konsumcyjnej“. Wchodzę i drętwieję! Potworne i wykoszlawione postacie z plansz Goy'i i Ropsa nabierają życia, schodzą do mnie i otaczają wieńcem. Czuję, jak robi mi się słabo...

Przy małych stolikach nakrytych zatłuszczoną i zmoczoną bibułą, siedzi kilkanaście zupełnie lub częściowo gołych dziewcząt w towarzystwie gości. Patrząc z przerażeniem w twarze tych dziewcząt i przecieram sobie czoło, nie wierząc własnym oczom... Tak wyglądają kobiety?... Cóż to — czyżby halucynacja?... Przecież to nie są kobiety!

Podchodzę bliżej, przecieram binokle i patrzę.

Patrząc i widzę jakieś niesamowicie pokracczne ciała odbarwione zupełnie z krwi i życia. Na rusztowaniu wystających żeber, z pod załamanych mostków piersiowych zwisają tym kobietom jakieś wydłużone, podobne do wyczyszczonych flaków, worki zastępujące piersi. Rączki białe, chude i cienkie jak patyczki, zwisają bezwładnie wzdłuż ciał, lub rozczapierzonemi palcami kościotrupów opierają się na sterzających z pod skóry kościach miednicowych. Brzuchy zapadłe, jakby przyschnięte do kręgosłupów, nogi bez łydek i ud, twarze bez oczu... Tak!... Te kobiety nie mają oczu! Widzę przecież!... Żyją, poruszają ustami, podnoszą ręce i nogi — ale oczu nie mają... A raczej, mają — tylko, że to nie są wcale oczy! Patrzą dwiema szaro-ziemistemi plamami. Jest w tych oczach coś strasznego, coś tragicznego, czego żadne słownictwo nie wyrazi. Umęczenie wielkie i smutek całego świata miesza się w tych zapadłych oczodołach, wśród których mętnie odbijają się w źrenicach

iskierki życia, jak ostatnie błyski jesiennego słońca odbijają się w stężalej, błotnistej kałuży. Jest w tych oczach podkreślonych siną szminką, tragizm oczu oślepiłych koni pracujących w podziemiach kopalni i kotów oślepiłych wskutek przebywania przez całe życie w piwnicach magazynów żywnościowych.

Dziewczęta te wydane na pastwę rozwydrzonych samców, bezbronne wobec tyranji właścicielki lupanaru, przytrzymywane często siłą i przykute niejako do miejsca swej hańby, tropione przez policję obyczajową, bite i mordowane przez zapitych zboczeńców, nie mają żadnej możliwości wydobycia się z tego piekła, gdyż są pozbawione wszelkiej garderoby, pieniędzy i papierów. Garderobę i papiery tych niewolnic przechowuje „gospodyni“ pod kluczem, zazwyczaj jako zastaw za długi dziewczyny, gdyż opłacając wysoki haracz za mieszkanie i wikt, nie może tyle zarobić, aby codziennie w zupełności pokryć pretensje właścicielki lupanaru. Gotówki zaś nigdy te dziewczęta nie widzą, gdyż goście płacą „gospodyni“ przy bufecie i otrzymują za to sztony, które wręczają jako należytość dziewczętom. Policja obyczajowa idąca ręką w rękę z właścicielami lupanarów ma tysiąc i jeden sposobów, aby taką dziewczynę zmusić do posłuszeństwa i bezwzględnej uległości wobec właścicieli. Przebywają więc te najnieszczęśliwsze z nieszczęśliwych w ostatniorzędnych lupanarach paryskich goło, albo w koszulach, tak długo, aż wyniszczone organizmy załamują się i buda szpitalna zabiera je, aby już po kilku tygodniach, lub dniach wytransportować do najbliższego prosektorjum.

I nikt się takimi rzeczami w Paryżu nie gorszy, nikogo to nie obchodzi, nikt się tem nie zajmuje! Czyta się nieraz w prasie paryskiej tasiecowe artykuły o han-

dłu żywym towarem w Argentynie i ...Polsce, a szmoki reporterskie nawołują rządy całego świata, aby kres wreszcie położyły tej „hańbie XX stulecia“ — podczas gdy tu, w samym Paryżu, w sercu wielkiego mocarstwa chlubiącego się najszczytniejszymi tradycjami kultury, cywilizacji i wolności — mieszczą się właśnie tego rodzaju lupanary, jak w dzielnicy *Saint-Paul*, gdzie przebywają wynędzniałe, posiniaczone, chore i zmaltretowane dziewczęta, zmuszane do przyjmowania po 50—60 gości dziennie!

Patrzę na to dno poniżenia ludzkiego i czuję jak rumieniec wstydu pali mi twarz.

Do chudej, jaskrawo podmalowanej, może 18-letniej dziewczyny, posiniaczonej na piersiach i szyi od brutalnych uszczypnięć, a może i pocałunków, przysiadł się jakiś ogromny drab w marynarskiej czapce i w pasiastym trykocie. Ponury, kwadratowy pysk zarośnięty siwiejącą szczecina, rozjaśnił mu rodzaj frywolnego uśmiechu, odsłaniając przepyszne uzębienie goryla. Kazał podać do stolika flaszkę wina i wywołał sensację przy sąsiednich stolikach, gdzie pito tylko podle piwo. Gość pijący w takim lokalu wino za 10 franków, zwraca na siebie uwagę. „Gospodyni“ siedząca poważnie przy małym kontuarze z miną urzędnika obliczającego stan kasy, klasnęła nieznacznie w ręce. Na ten znak zerwały się od sąsiednich stolików dwie inne kobiety podobne do wymalowanych widm i podeszły do stolika marynarza. Marynarz był już nieco pijany i żuł tytoń. Z figlów uderzył jedną z przybyłych kobiet potężną łapą po pośladku, aż echo klasnęło, a drugiej splunął na same piersi miazgą cuchnącego i lepkiego tytoniu przeżuwanego w ustach. Na szybki porozumiewawczy znak właścicielki z za kontuaru, zawróciły obie kobiety i po krętych

schodach weszły na pięterko. Za niemi wtłoczyli się dwaj mężczyźni z poczekalni, na których przysła właśnie kolej.

Za przepierzeniem pięterka słyhać jakieś ryki, tar-moszenie i jakby szurgot wleczonego ciała po ziemi. To nic! Od kontuaru „gospodyni“ odrywa się jakiś mi-zerny człeczyna i leniwie wspina się po schodkach na pięterko. Po chwili jest już cicho.

Tajny agent policji, dyżurujący w lokalu, zrobił na górze porządek i wraca do kontuaru. Wszystko w po-rządku!

— Ej, czyżby?...

\* \* \*

**P**rostitułka paryska nienawidzi mężczyzn, którym się sprzedaje, tak jak wszystkie zresztą prostytutki na całym świecie. Umieją się jednak maskować, jak maskuje się dobry kupiec pragnący zadowolić każdego klienta. Stąd do rzadkich wypadków należy, aby kobieta w Paryżu sprzedająca się oficjalnie, zachowała się wobec swego przygodnego wielbiciela ordynarnie lub wyzywająco. Są przeważnie ciche, wyrozumiałe i starają się upozorować chwilę płatnej miłości pewnego rodzaju oddaniem, troskliwością i udaniem... zażenowaniem, co — jak wiadomo — najbardziej „bierze“ mężczyzn. Są nawet specjalistki, które w każdej chwili umieją wywołać na swej twarzy autentyczny rumieniec wstydu. Pojmując swój zawód, jak każdy inny interes handlowy, starają się o pozyskanie klientów różnemi

*trickami*, mającemi im dać złudzenie „miłości“ z uczucia, z sympatji, czy doboru płciowego.

Najbardziej zdeprawowany bydlak rodzaju męskiego, w zarozumiałości swojej, daje się nabrać na te prymicie udanych wzruszeń i cieszy się w skrytości ducha, że to „właśnie jemu“ udało się je wywołać.

Sprzedajne kobiety w Paryżu, trzymane w kleszczach alfonsów i sutenerów, pod wiecznym batem ustosunkowanych właścicieli lupanarów, hotelików i policji obyczajowej, są bezwolnem narzędziem w ich rękach i pod grozą wydalenia z „pracy“, więzienia, czy odszupasowania do miejsca przynależności, muszą tak pracować, aby klient był zadowolony.

Zrodził się też u tych kobiet fenomenalny spryt, czasem nawet tak intuicyjny i cudowny, że pozwala im, prawie bez żadnych wysiłków, udawać to wszystko, czego mężczyzna żąda u kobiety niezsutej i szczerze przywiązanej do niego.

Paryżanin jest mężczyzną wymagającym i zna swoją wartość. Wartość, którą właśnie kobiety paryskie wyolbrzymiły i urobiły paryskiemu „panu świata“. Począwszy od najprzystwoitszych kobiet w Paryżu, poprzez luksusowe kokoty w wielkim stylu, aż do pensjonariuszek godzinowych hoteli, lupanarów i nędznych dziewcząt ulicznych — wszystkie wychowały sobie mężczyznę w ten sposób, aby ich rywalkom było najtrudniej go odbić. Paryżanin został więc przez kobiety rozpieszczony i wywindowany na cokolwiek nieomylnego i adorowanego bóstwa. Kult, w jakim chadza i żyje paryżanin, został mu urobiony przez jego lepszą połowę — kobietę. Ona to schlebiając jego próżności, uznając go za alfę i omegę mądrości, sprytu i niepospolitych zalet, stała się niemal cieniem i echem mężczyzny.

Ten stosunek mężczyzny w odniesieniu do kobiet, nie ogranicza się tylko do kobiet lekkiego i najłżejszego autoramentu. Rola mężczyzny, jako rozkapryszonego papinka, rozpieszczonego jedynaka i psutego przez kobiety władcy, dominuje tu również w życiu rodzinnem, towarzyskiem i społecznym, nadając mu swoiste i nieznane u nas piętno.

Paryżanin pierwszy wchodzi przed kobietą, siada, je i pije. Kobieta jest postacią drugoplanową; postacią, z którą mężczyzna się liczy tylko w chwilach kaprysu, lub dobrego humoru. Jeśli jego wola, to kocha i jest wierny — nie chce, to bez skrupułów porzuca swoją wybrankę, lub dobiera sobie kochankę do dubletu — od jego woli zależy ustąpić miejsca kobiecie w *méтрze* czy autobusie — nie chce zaś, to nikt się temu nie dziwi. Benjaminek paryski pozwala się łaskawie kochać i podziwiać, a kobieta jest dumna z tego, jeśli „on“ pozwoli sobie usługiwać i dogadzać. Paryżanin wie o tem dobrze, że choćby nawet był ostatnim nicponiem i pokraką, to zawsze jeszcze znajdzie kobietę, która z miłości ku niemu będzie jego cieniem, niewolnicą i sługą. Wie nawet o tem, że gdy trafi na obiekt o wyższej umysłowości, etyce czy wartości, to potrafi ona te wartości przed nim ukryć, aby nie zadrasnąć jego ambicji i egoizmu.

Paryżanin nie sili się nawet na to, aby udawać, że jest lepszy, lub inny, niż jest w istocie. Ten jegomość obnoszący swoją enigmatyczną męskość po ulicach Paryża; triumfator świadomy swojej uprzywilejowanej wartości; zarozumialec w źle skrojonych garniturach, często niezbyt czysty i źle zbudowany; przeważnie szorstki w obejściu i niekrępujący się niczem — nie pozuje na coś lepszego i nie wciąga żadnej maski na swoją przeżyłą twarz. Nie udaje i nie pozuje!

Czyni to nie dla tego, że brzydzi się udawaniem, lecz dla własnej wygody i dla zaoszczędzenia sobie nieporozumień w stosunku do kobiety. Nie pozując i nie udając lepszego niż jest w rzeczywistości, ułatwia kobiecie jej zadanie, a sobie życie. Kobieta, nie tracąc bowiem czasu na zdzieranie obsłonek, aby się doszukać właściwego oblicza swego męża, czy kochanka, prędzej go poznaje, odgaduje jego słabostki i odpowiednio do tego musi się ustosunkować, chcąc go przy sobie zatrzymać i uniknąć silnej konkurencji innych kobiet.

To swoje uprzywilejowane i wyjątkowe stanowisko wyzyskał mężczyzna we Francji, kazać kobietom pracować za śmiesznie niskie i głodowe płace, uczynił z kobiety istotę wiecznie małoletnią i zabawkę, którą znudziwszy się, może odrzucić bez żadnych skrępowań; odmówił jej praw wyborczych, zepchnął na szary koniec życia polityczno-społecznego i uczynił z niej bierne narzędzie ulegające mu we wszystkim. Narzędzie, którego celem życia jest tylko wieczna chęć przypodobania się mężczyźnie, służenia mu, ustępowania i podziwiania Jego — pana stworzenia i świata.

Cudzoziemcowi jest bardzo trudno wglądać zbliżona w życie rodzinne Paryża, gdyż paryżanie wychodzą z zupełnie słusznego założenia, że dom rodzinny nie jest miejscem do zawierania przelotnych znajomości z cudzoziemcami. Nie mają też zwyczaju zapraszać i gościć byle patałacha cudzoziemskiego, jak to jest u nas przyjęte.

Życie rodzinne i dom prywatny w Paryżu są niedostępne dla obcokrajowca. Stosunek matki do dzieci, żony do męża, lub ojca do rodziny, musi sobie cudzoziemiec odtworzyć z drobnych fragmentów pozbieranych na ulicy, w kinie, w kawiarni, w ogrodach publicznych,

czy w *métrze*. Rzecz oczywista, że obraz taki jest niedokładny i często mylny.

O tem, że stanowisko mężczyzny we Francji jest wyjątkowo uprzywilejowane i że w stosunku do kobiety występuje on jako władca i pan, który tylko w drodze łaski pozwala swej niewolnicy podziwiać się i obsługiwać, przekonałem się naocznie w czasie... pogrzebu Joffre'a.

W dniu pogrzebu marszałka Joffre'a wybrałem się na *rue Rivoli*, którą miał przechodzić kondukt pogrzebowy. Wybrałem się dość wcześnie, aby zająć na chodniku miejsce, ale pomimo wczesnego i mroźnego ranka, z trudem tylko zdobyłem miejsce we wnęce, pomiędzy dwiema ścianami *Louvro*.

Ludek paryski, zawsze żądny bezpłatnych igrzysk, zgromadził się tu w komplecie. Z najodleglejszych ulic sypały się tłumy ciekawych, tak, że wkrótce zaroilo się od mrowia ludzkiego. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, dlaczego ci wszyscy ludzie przybywają z drabinami na plecach, z krzesłami, ławkami, lub też objuczeni pustymi skrzynkami metrowej wysokości. Po chwili już zrozumiałem. Sprytne mieszczałuchy paryskie, wiedząc o tem, że nie zdobędą miejsca w pierwszych rzędach, przynieśli ze sobą drabiny, stołki i skrzynie, aby stanawszy na podwyższeniu, móc ponad głowy innych, obserwować pochód konduktu pogrzebowego. Wśród dźwigających te zaimprovizowane trybuny było około 60 procent kobiet. Mężczyźni wyniedzieleni i otuleni w ciepłe szaliki kroczyli z niedbałą nonszalancją obok kobiet dźwigających ciężkie drabiny pokojowe, masywne ławy, stołki, paki i skrzynie.

Obok mojej wnęki umieściła się para typowych łyków drobnomieszczańskich. Jejmość, otyła, pretensjo-

nalnie wystrojona kobieta, nie bez śladów dawnej piękności na służalczo uśmiechniętej twarzy, ustawiła przyniesioną na plecach podwójną drabinkę pokojową i uprzejmym ruchem ręki zaprosiła stojącego w pobliżu jegomościa, aby wspiał się i zajął miejsce. Jegomość wysunął się z tłumu i spokojnie, nie spiesząc się, podszedł ku drabinie, poruszył nią czy dobrze stoi na chodniku i poleciwszy żonie przytrzymać szczeble, wspiał się ku górze. Właśnie przechodziła gwardja angielska z orkiestrą. Mężulek siadł okrakiem na najwyższym szczeblu i ćmiąc papierosa oglądał sobie zamaszystych gwardzistów angielskich w czerwonych kabatach i futrzanych, prawie metrowej wysokości, czapach. Przechylił się jednak za bardzo, bo drabina lekko się zachwiała.

Nie mogę powtórzyć ordynarności, która padła z wysokości drabiny na głowę kobiety przytrzymującej szczeble.

Jak koń uderzony batem drgnęła i kurezowo objęła zziębniętymi palcami szczeble, aby nie dopuścić do ponownego zachwiania się drabiny.

Mężulek, jak każdy rodowity paryżanin, znał wszystkie osobistości świata politycznego biorącego udział w pogrzebie i był nieocenionym *ciceronem* dla otaczających go osób, nieorjentujących się tak dobrze.

— Gastonek idzie! — zawołał na widok prezydenta Doumergue'a, który wyłonił się w polu jego widzenia.

— Czy to prawda, że się postarzał? — zapytała półowica przytrzymująca kurezowo drabinę.

Małżonek nie raczył odpowiedzieć.

— O, idzie ta drewniana twarz, Tardieu — a z tyłu Chiappel!... Dobrali się!... Pst! Generalicja paraduje i korpus dyplomatyczny... Pi, pi!...

— Czy jest i szach perski?

— Głupiaś! Trzymaj drabinę i nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy!

Po chwili zrobiło się widocznie mężulkowi gorąco, bo zdjął kraciasty szal ze szyi i rzucił go na głowę połowicy.

— Trzymaj!... Ładny pogrzeb, ale widzi mi się, że dziś się nie skończy! Trzeba będzie pójść do Inwalidów oglądnąć sobie nieboszczyka. A to ci paradę wyczynili!... Uwaga! Karawan już nadjeżdża! Samych wieńców będzie za sto tysięcy franków!

Kobieta przytrzymująca drabinę umierała z ciekawości. Przechylała głowę, stawiała na palcach, wykręcała szyję, ale nie odważyła się ani przez chwilę wypuścić szczebli ze skostniałych rąk.

Rzuciłem okiem dokoła. Wszędzie prawie ten sam obraz: Na drabinach, stołkach, skrzyniach i ławkach wszędzie mężczyźni, a w tyle, poza tłumem, kobiety przytrzymujące te drabiny, skrzynie i ławki, aby ich mężowie, czy kochankowie mogli wygodnie i bezpiecznie obserwować przebieg pogrzebu.

Nie uwierzyłbym, gdybym na własne oczy nie był tego widział.

Przemarsz orszaku pogrzebowego zbliżał się ku końcowi.

— Nic już ciekawego! — zawyrokował mężulek na drabinie. — Same płotki, a do tego jeszcze zmarzłem djabelnie!...

Tylem, obserwując jeszcze ostatni człon olbrzymiego ogona konduktu, począł powoli, szczebel za szczeblem, schodzić z drabiny. W pewnej chwili opuścił jednak szybko jeden szczebel i skoczył na następny, wprost na rękę przytrzymującej go kobiety.

Jejmość zawyla z bólu.

— *Trop bruit pour une omelette!* — zauważył z uśmiechem mężulek — (Za wiele krzyku o omlet! — czyli po polsku, mniej więcej: „Nie rób z igły widły!“).

Kobieta nie odpowiedziała. Owinęła sobie rękę chusteczką, złożyła drabinę i wzięwszy ją na plecy, poniosła.

Za nią, otuliwszy się w szalik i zapiąwszy palto na wszystkie guziki, z papierosem w ustach, poszedł wolnym krokiem jej pan i małżonek.

Oto jeden fragmentaryczny i małoznaczny obrazek — ale jakże zarazem charakterystyczny dla obyczajowości francuskiej i ustosunkowania się mężczyzny do kobiety, zależnej od niego.



**Z**aczawszy ten dzień pogrzebem, wiedziałem już odrazu, że spotka mnie coś przykrego. Nie pomyliłem się, gdyż wracając z pogrzebu natknąłem się na dwóch rodaków, którym zmuszony byłem pożyczyć po 10 franków. Obiecali oddać. Wierzę w to mocno, tembardziej, że jeden był rodem z Łodzi, a drugi miał dwie cukrownie pod zaborem sowieckim.

Nie spodziewając się tego dnia niczego pomyślnego w mieście żywych, powlokłem się ku miastu umarłych: na cmentarz *Père Lachaise*.

Przechadzając się w towarzystwie swego nieocenionego przewodnika i opiekuna Mayera po opustoszałym

o tej porze największym cmentarzu paryskim, czułem się jak człowiek, który nagle z gwarne go i hałaśliwego jarmarku dostanie się do cichej celi więziennej.

Tu, wśród szpalerów tui i cyprysów stojących przed przepyszniemi grobowcami, jakby szeregi wyprostowanych na baczność gwardzystów — wśród ulic marmurowych gmachów, przypominających raczej rozkoszne pałacyki, niż grobowce — pod portalami rzeźbionych mauzoleów — wśród szpalerów i zieleńców otoczonych misterną koronką artystycznie kowanych krat — pod baldachimami stylowych portyków otoczonych zielenią — odbiega zupełnie od człowieka myśl o śmierci.

Chciałoby się na widok tych precudnych gmachów, pałaców i zamków mieszczących zmarłych, zawołać, nie bez pewnej zazdrości człowieka zmuszonego za życia mieszkać w niewygodnem i ciasnem mieszkaniu:

— Ci sobie żyją!

Cmentarz *Père Lachaise* nie przypomina też niczem, oprócz błogosławionej i dzwoniącej w uszach ciszy, miejsca gdzie spoczywają umarli.

Czekasz też, kiedy otworzy się złocona brama grobowca rodzinnego markiza d'Amboise, z którego wyjedzie w karecie jego śliczna małżonka, aby się udać z wizytą na *Grand-Rond* do swych krewnych Moreau-Vauthierów; przystajesz, aby ujrzeć jak wicehrabia Saint Estienne otulony w czarny płaszcz, lada chwili opuści swój pałac, aby chyłkiem podążyć na spotkanie ze śliczną małżonką markiza d'Amboise, która wcale nie pojechała z wizytą do Moreau-Vauthierów. W napięciu nerwowem, przytulony do muru gmachu Raspailów, widzisz ze zdumieniem, że do pałacyku d'Amboiseów wchodzi pan de la Roche-Pozay, aby otworzyć wreszcie oczy markizowi d'Amboise na poczynania jego małżonki.

Truchlejesz ze strachu, kiedy zdradzony d'Amboise opuszcza swój pałac i udaje się na *Avenue de la Chapelle*, aby uprosić swego przyjaciela, pana de Lignières na sekundanta. Biegniesz, aby uprzedzić śliczną panią d'Amboise i wicehrabiego Saint Estienne i przybywasz zapóźno... Bo oto niedaleko miejsca gdzie stoi *Monument de Souvenir* odbywa się już pojedynek na florety między markizem d'Amboise, a wicehrabią Saint Estienne. Zamykasz oczy, aby nie widzieć jak wkrótce błada, piękna twarz wicehrabiego zblednie jeszcze bardziej i zasnuje się mgłą śmierci...

Wyprzedzasz w dziwnem jakimś jasnowiedzeniu zdarzenia, które przyjsć mają...

...Oto, śliczna i rozwiedziona już małżonka markiza d'Amboise w głębokiej żałobie, udaje się do swej chrzestnej matki mieszkającej przy *Avenue Principale*, aby się wypłakać na jej piersi. Chrzestna matka, pani de Lamballe, pomimo podeszłego wieku, jest bardzo roztargniona i literalnie bez głowy. (Ach, te przeżycia rewolucyjne!). Tego wieczora urządza bowiem w swoim pałacu bal połączony z rautem, na którymu produkować się będą Rossini, Chopin, Talma, Musset, Béranger i inni artyści z *Père Lachaise*.

Gdzież pójdzie biedna i rozwiedziona, markiza d'Amboise?...

Pójdzie na grób swego zabitego kochanka i tam się wypłacze.

Idźmy za nią i nie zważajmy na tłumy wystrojonych gości zdążających w ekwipażach na bal do pałacu pani de Lamballe.

Przystanmy z biedną panią d'Amboise przed pomnikiem zabitego wicehrabiego Saint Estienne i odczytajmy ze łzami w oczach napis tam umieszczony:

*„Mes chers amis, quand je mourrai  
Plantez un saule au cimetière,  
J'aime son feuillage éploré,  
La pâleur m'en est douce et chère,  
Et son ombre sera légère  
A la terre où je dormirai“.*

Zapłaczmymy z panią d'Amboise i opuścimy to smutne miejsce, tembardziej, że śliczna i nieutulona w żalu pani d'Amboise spieszy się, bo chce zdążyć jeszcze na bal do swej chrzestnej matki, na którym też będzie ów egzotyczny książę Sołtyków, rozrzucający brylanty garściami...

Chodźmy! Rzućmy jeszcze jeden raz okiem na napis grobowy wicehrabiego Saint Estienne i otrzymymy łączy razem z panią d'Amboise — tembardziej, że to wcale nie jest napis na grobie wicehrabiego Saint Estienne, zdo-  
bywcy serc niewieścich na cmentarzu *Père Lachaise*,  
lecz wiersz wyryty na grobowcu boskiego Alfreda de Musset...

---

Po godzinie szukania znaleźliśmy wreszcie grobowiec Chopina:

*11 Division.*

*A Fréd Chopin*

*† Le 17 Octobre 1849*

*Ses Amis.*

*Concession á perpetuité Nr. 99071.*

*Frédéric Chopin né en Pologne*

*a Zelazowa Wola, près de Varsovie.*

Tyle tylko!

Na cokole leżą jakieś sztuczne wianuszki z owalnych, perłowych muszelek. Są pokryte kroplami dżdżu, jak zapłakane oczy. Jeden z takich wianuszków leżał

na ziemi, wdeptany w błoto. Podniosłem go i złożyłem zpowrotem na grobowcu.

I pocóż tu mówić, lub opisywać co przeżyłem, stojąc w serdecznej zadumie nad grobem tego najbardziej umiłowanego przezemnie artysty i człowieka?...

Z wilgotnego i pokrytego pleśnią nagrobka wiało smutkiem beznadziejnym i opuszczeniem tak wielkiem, że chciałoby się własnem ciałem ogrzać ten zimny grobowiec, aby ciepło współczującego serca ludzkiego przeniknęło w głąb obcej ziemi, kryjącej zbielełe kości Wielkiego Tułacza.

Z rozmyślań wyrwały mnie jakieś liczne głosy i kroki zbliżające się ku nam od strony najmniej spodziewanej, bo naprzelaj, przez inne groby i gęstwinę zarośli.

— Uwaga! — szepnął Mayer — Zbliża się jakaś horda mówiąca językiem przypominającym do złudzenia język francuski. Nie mogą znaleźć grobu Szopena i zblądzili zdaje się... Wrywajmy!

— Ma pan rację! Poco mamy ułatwiać im poszukiwania? Mało to nieboszczyk naciерpiał się za życia dzięki kabotynom?... Niech choć po śmierci ma spokój!...

Było już jednak zapóźno na ucieczkę. Przez gąszcz i zarośla przedarły się dwie grube, mocno sapiące panie podobne do dwóch beczek smalcu i jakiś chudy, ledwie dychający ze zmęczenia, pan. Mówili francuzczyzną, od której kilku najbliższych nieboszczyków obróciło się w trumnach.

— *Pardon monsieur, ou se trouve-t-il le monument de Chopin?* — zwróciła się do mnie jedna z beczek smalcu.

— *Nem tudom magyar beszélni!* — odparłem z wersalskim ukłonem.

— *Sie sind ein Ungar?* — spytała radośnie druga beczka smalcu.

— *Prostitute, nie ponimaju po italianski garoarit!*

— *Ach, roy ruskiej?*...

— *No, an Englishman!*...

— *Sie english spoken?*...

— *No, no, Türk! Salem alejkum, Kara Mustafa!*

Rozmowę tę przerwał Mayer, przemówiwszy po polsku:

— Ten pan nie mówi żadnym językiem europejskim... Czem mogę państwu służyć?...

— Ach, pan Polak?... Berta, ten pan jest Polak! Słyszysz pan, panie Imerglück — ten pan jest Polak! Co za *coup de théâtre!*... Czy może rodak z Łodzi, tak jak my? Berta, co ty mówisz do tego spotkania?...

Berta nic nie mówiła „do tego spotkania“, tylko szeroko otworzyła usta ze zdziwienia.

— Czy nie wie pan, gdzie jest ostatecznie grób tego Chopina? — zapytał pan Imerglück.

— Stoicie państwo nad nim!

— Berta, słyszysz?... Panie Imerglück, pan słyszysz?... Stoimy nad grobem Chopina!... Coś takiego!

Skorzystaliśmy z osłupienia całego towarzystwa i oddaliśmy się szybko, przyczem nie omieszkaliśmy grzecznie się uklonić i na cały głos pożegnać z rodakami:

— Cześć, panie Imerglück! Dowidzenia, pani Berto!... Szanowanie!...

Na zakręcie doleciał mnie jeszcze głos szczerze zdziwionej beczki smalcu:

— Berta, słyszałaś?... Panie Imerglück, pan słyszał?... Ten Turek mówi po polsku! No, wiecie — coś takiego!...

— — — — —

Wspinamy się stromą aleją w stronę krematorium cmentarza *Père Lachaise*. Po drodze notuję sobie nazwiska polskie na zaniedbanych grobach spoczywających tu tułaczy emigracyjnych: Szczeniowscy, Walewscy, Dunajewscy, Gałęzowscy i wielu, wielu innych. Kości emigracji i pielgrzymstwa polskiego spoczywają nie tylko na cmentarzu *Père Lachaise*, lecz i w *Montmorency* pod Paryżem, gdzie cmentarz ten, dla wielkiej ilości mogił polskich, zwą popularnie „cmentarzem polskim“ i na cmentarzu *Montmartre'u*, gdzie w „Alei Polaków“ (*Avenue des Polonais*) wznosi się ośm zbiorowych grobowców emigracji polskiej, głównie z okresu powojennego.

W ziemi francuskiej znaleźli ostatni odpoczynek dobrze zasłużeni ojczyźnie: Niemcewicz, Kniaźiewicz, Mochnacki, Hoene-Wroński, Garczyński, Nabelak, Klementyna z Tańskich Hoffmannowa, wielu Sapiehów, Potockich, Jałowickich i Łubieńskich, oraz cała ta falanga nieszczęsnych tułaczy, których grobowce nie posiadające „*concession á perpetuité*“ zostały wywiezione z gruzem cmentarnym, a prochy przekopane i rozrzucone na cudze mogiły.

Wąskimi, krętymi ścieżynami, dla skrócenia drogi, wspinamy się ku krematorium, które postanowiłem sobie oglądnąć, pomimo energicznych sprzeciwów Mayera. Oświadczył mi bowiem ów kochany człowiek, że już ma dość cmentarzy i nastrojów cmentarnych, a krematorium uważa za podłą i nieproduktywną fabrykę przetwarzającą niepotrzebnych nikomu nieboszczyków na niepotrzebny nikomu popiół.

Bylbym może wytłumaczył memu przewodnikowi, że jest idjotą, ale czasu już nie starczyło, bo nagle wyłonił się przed nami ogromny komin krematorium. Zbli-

zamy się do głównej alei wiodącej ku jego zabudowaniom, robiącym zdaleka faktycznie wrażenie jakiejś dużej fabryki w ruchu, gdyż z komina buchają całe chmury dymu. Aleją zbliża się jakiś orszak pogrzebowy. W autach, pod pełnym gazem. Nieboszczyk także w aucie-karawanie. Jadą szybko, jakby na wesele. Z pierwszego auta wysiada wysoki, spasiony pan w wieczorowym palcie, cylindrze i lakierach. Robi wrażenie człowieka wybierającego się na bal i nie powiedziałbym nawet, że był smutny, lub przygnębiony. Przeciwnie! Oczy wesoło latające i duże ożywienie na twarzy stara się zamaskować bigoteryjnym opuszczeniem kącików ust, co — jak wiadomo — nadaje twarzom wyraz cierpienia i żalu. Przysiągłbym, że facet ma ochotę nawet zaśpiewać coś wesołego i że pogrzeb ten sprawia mu niekłamana przyjemność. Faktycznie — nie pomyliłem się! Teściowa mu umarła.

Dowiadują się o tem ze słów gości pogrzebowych wysiadających z aut, którzy otaczają żonę uszczęśliwionego zięcia i pocieszają ją, że „nieboszczce już lepiej, bo przeżyła to wszystko, co ich dopiero czeka“.

Żona staje obok, całkiem już wyraźnie rozpromienionego męża i razem odbierają kondolencje. Służba wynosi z auta trumnę i wszyscy udają się ku bramie gmachu krematoryjnego. Postępuję w orszaku żałobników po schodach i widzę, jak Mayer rozmawia z odzwiertnymi, którzy go nie chcą wpuścić do hali ceremonjalnej. Nie pomagają jego perswazje, ani *pourboire*, który usiłuje wetknąć w ręce cerberów. Nie puszczają. Wejście do hali ceremonjalnej dozwolone jest tylko najbliższej rodzinie i oficjalnym uczestnikom pogrzebu. Widząc co się święci, przybieram tak smutny i niepokieszony wyraz twarzy, że jakiś idący obok mnie pan ściska mi dłoń

z serdecznem współczuciem. Przyjmuję kondolencję i wchodzę do krematorium.

Hala ceremonialna — owszem! Trochę przypomina foyer teatralne, trochę halę giełdową, a trochę aulę gmachu sądowego, lub wszystko to razem wzięte. Amfiteatralnie wzniesione ławy i naprzeciwko wznoszące się podwyższenie prezydjalne dla nieboszczyka, dają złudzenie sali rozpraw sądowych.

Cała rodzina, wraz ze mną na czele, grupuje się w pierwszych ławkach, dalej sadowi się reszta gości pogrzebowych. Jeden z odźwiernych, któremu widocznie Mayer wypaplał coś o mnie, rozgląda się podejrzliwie po ławkach. Na mnie, siedzącego w pierwszym rzędzie, obok córki i zięcia, nawet nie spojrzy. Na wszelki wypadek wyciągam chustkę do nosa i przykładam ją do oczu. Nie płaczę wprawdzie, ale, mój Boże! — czy to nie są znane wypadki, że czasem żal tak się zapieczętuje w sercu, iż łezki nie można uronić?...

Na podwyższeniu, nawprost nas, stoi metalowa trumna z nieboszczką. W głębi, oddzielonej od widowni ciężką kotarą, wyłania się rodzaj dużego sarkofagu podobnego do budki wyciągu elektrycznego, otwieranego z frontu rozsuwalnemi drzwiczkami. W pewnej chwili drzwiczki te automatycznie się rozsuwają i okazuje się czarna czeluść czekająca na trumnę. W górze, pod kopułą hali, na galerji, rozlegają tony organów. W hali pojawia się umundurowany funkcjonariusz i na jego znak, trumna z teściową błyskawicznie wjeżdża w otwór budki. Drzwiczki zasuwają się z trzaskiem. Koniec. Nawet nie było czasu na płacz, który *post festum* dopiero rozlega się na sali. Ot, i już po teściowej!...

— No dobrze — myślę sobie — wszystko w porządku! Z teściowej śladu już nie zostało, oprócz garści

popiołu, ale jak to się stało?... Czyżby wsunięcie metalowej trumny (kosztowała najmniej 2.000 franków) do budki wyciągowej wystarczało, aby teściowa razem z trumną spaliła się tak momentalnie?... Coś tu jest w nieporządku!... Ta ciężka kotara oddzielająca widownię od czegoś, co musi być za kotarą, nie podoba mi się. To coś zakrawa na kawał teatralny. Całkiem jak w dramacie pseudoklasycznym, gdzie nieboszczyków fabrykują za kulisami, a nigdy na scenie...

Czyżby to było możliwe, aby cała teściowa z kośćciami, trumną i ze wszystkim spaliła się na oczach wszystkich? Tak bez swądu, kopciu, skwierczenia i potrzebnych kaloryj ciepła?... Cóż to jest?... Zniknięcie damy z pośród publiczności?... Nie, tu jest jakiś „szwindel“ — ani chybi!

Wychodzę z krematorium i odbieram kilka silnych uściśnień rąk od rozjeżdżających się gości żałobnych. Mayera nie widać wcale. Może się pogniewał i poszedł... Pal go diabli!... Ale żeby tak precezyjnie spalić teściową w Paryżu — no, no!...

Postanawiam jednak poczekać nieco na Mayera, a tymczasem oglądam sobie *Columbarium*, czyli skład urn z popiołami nieboszczyków, mieszczący się w amfiteatralnie wzniesionych, półkilometrowych ścianach, dokoła krematorium. *Columbarium* to wygląda faktycznie jak olbrzymi gołębnik, gdzie mieszczą się osobne wejścia i przegródki dla gołębi. Zamiast gołębi znajdują się jednak w tych przegródkach małe urny z popiołami nieboszczyków. Dziesiątki tysięcy przegródek, niby szuflady w szafach sklepu korzennego, symetrycznie rozmieszczone, jedno pod drugimi, sprawiają niesamowity widok. Nad każdą przegródką widnieje imię, nazwisko, data urodzenia i śmierci nieboszczyka, a tu i ówdzie jego

fotografja. Przy niektórych wnękach z boku, white są metalowe imadła, przytrzymujące małe flakoniki z kwiatami. Kogoż tam niema w tem *Columbarium* cmentarza *Père Lachaise*!... Katolicy, prawosławni, protestanci, żydzi, mahometanie, cyganie — ludzie wszystkich religij, wyznań, obrządków, ras i narodowości... Wkrótce znajdzie się tu i moja znajoma teściowa... Ciekaw tylko jestem, w którym gniazdku tego przeolbrzymiego gołębnika spocznie ta gołębica... Czy, aby spocznie?... Mógłbym przysiąc, że jeżeli ją naprawdę nie spała gdzieś za tą kotarą, to niema mowy, aby się w surowym stanie mogła pomieścić w przegródce obliczonej na skondensowaną konserwę ludzką...

Z rozmyślań moich wyrwał mnie Mayer. Był zły nieco na mnie i troszkę ordynarny. Wiem nawet dlaczego. Zwyczajna, ludzka zawiść. Mnie, nowicjuszowi w Paryżu, udało się być na pogrzebie paryskiej teściowej, a jemu nie. Wy tłumaczyłem mu jednak, że niema mi czego zazdrościć, gdyż to nie była moja teściowa i że właściwie tyle widziałem, co i on. Nadto wyraziłem moje wątpliwości i podejrzenia, o których już wyżej napomknąłem. Mayer przyznał mi słusność. Zgodziliśmy się na to, że samo wsunięcie metalowej trumny z teściową do budki wyciągowej, oddalonej od widza o 2 metry, nie może jeszcze spowodować spalenia choćby najbardziej palnej teściowej i że dopiero za kotarą, albo nawet znacznie dalej, odbywa się właściwa przeróbka człowieka na materiały, z którego powstał.

Przypuszczenia nasze sprawdziły się wkrótce. Dopomógł nam szczęśliwy przypadek — no i moje przysłowiowe szczęście. Zwróciłem uwagę Mayera na pewnego bardzo sympatycznego funkcjonariusza krema-

torjum, który pomimo zimna i deszczu spacerował na dworze w rozpiętej bluzie i z odkrytą głową.

— Zaczadził się! — zawyrokował Mayer.

Moje fachowe oko dostrzegło jednak całkiem coś innego i postawiłem ddiagnozę:

— Ululany, jak anioł!

Wdaliśmy się z nim w pogawędkę. Wiadomo: ululany człowiek, jest dopiero człowiekiem. Mayer zaczął od *pourboire'u* w kwocie 5 franków. Drań nie był jednak tak pijany, aby się tą kwotą zadowolił. Stańło na 30 frankach, a wzamian za to obiecał nas wprowadzić niepostrzeżenie za kulisy krematorium. Naraża się, bo naraża, gdyż do właściwego krematorium nie wolno nikogo wprowadzać, ale czego to człowiek nie zrobi dla dwóch tak miłych etranżerów.

Bocznymi schodami, tylnem wejściem, odległem o kilkadziesiąt metrów od oficjalnego wejścia dla nieboszczyków i gości, dostaliśmy się w jakieś zakamarki i poplątaną siecią korytarzyków, ganków i schodów wywindowaliśmy się wreszcie do pieca. Zaparło nam oddech, jak w łaźni, na najwyższych schodach.

— To, co rodzina nieboszczyka widzi — mówił całkiem już trzeźwy spopielacz — to tylko komedia! Z chwilą, kiedy dźwignia wsuwa trumnę metalową do sarkofagu i organy grają, wszyscy myślą, że to już po wszystkim i niema wypadku, aby nie rozległy się w tej chwili płacze, a nawet czasem ktoś z najbliższych zemdleje. Tymczasem nieboszczyk leży sobie zdrowo w trumnie jak leżał, aż przyjdzie dwóch robotników, którzy trumnę z drugiej strony sarkofagu wyciągają, kładą na wózek elektryczny i transportują do tego oto pieca. Piec ten wydziela 1800 kaloryj ciepła i trudno się do niego zbliżyć pomimo masek i okularów chro-

niących oczy. Nieboszczyka nigdy nie palimy w drogiej trumnie metalowej, lecz w drewnianej skrzyni. Skrzynię tę kładziemy na szynach, z których automatycznie wjeżdża do pieca i za pięć minut ciało jest zwęglone. Popiół wygartujemy później z pieca i dajemy do urny, której koszt waha się od 5 do 3000 franków. Zależnie od zamożności rodziny nieboszczyka. Są bogaci warjaci, którzy chcą mieć czysty popiół po spalonym, bez żużli węgla i popiołu ze spalonego drzewa. Wtedy nieboszczyka kładziemy bez trumny na płycie platynowej i na tej płycie go spalamy. Koszt ogromny, ale i tak pozostają kości niespalone, płyta platynowa niszczy się po kilkakrotnem użyciu, a robota wściekła... Niby, co za różnica mieć w urnie czysty popiół, czy popiół z węglem i żużlami?... Wymysły pańskie!... Najlepiej spalają się biedacy, truposze z klinik, poronione dzieci i kawałki ciała z prosektorjów... Ten bagaż ładujemy razem do pieca i trzymamy tak długo, aż bardzo mało kości z nich zostanie, a potem jazda — na sztuczny nawóz i spokój w głowie!...

— Więc kości po spalonych nie ulegają zwęgleniu?... Pomimo 1800 kaloryj ciepła? — spytał Mayer.

— A cóż pan myślał, że kości to flak, albo puch gęsi?... Kość, jak kość! Zbieleje, nadkruszy się, wymaceruje w ogniu, ale nie spala się. Popatrz pan, co tu kości leży...

To mówiąc, odkrył wieko ogromnej skrzyni. Było bardzo gorąco obok pieca, ale ciarki mnie przeszły. Piszczele, golenie, kawałki kości biodrowych, żebra, szczęki, obojczyki i płaskie kości czaszek leżały pomieszane w chaosie jakiejś makabrycznej i straszliwej wizji.

— Za dodatkowych 20 franków mógłbym panom pokazać, jak palimy trupy. Właśnie przywieźli trans-

port z prosektorjum. Sześć sztuk męskich, trzy dziewczynki ze szpitala wenerycznego i tuzin aniołków z kliniki ginekologicznej. Musimy się spieszyć, bo zaraz nadejdą nowe transporty...

Niby materiał i surowiec zwożony do warsztatów fabrycznych, wjeżdżają po szynach wózki żelazne obładowane skrzyniami z nieheblowanych desek. Skrzynie są podobne do paczek w których przewożą jaja, a małe skrzyneczki do skrzynek na drożdże. Niektóre skrzyneczki są tak maleńkie, że robią wrażenie pudełek z cygar. Sprawnym chwytem, robotnicy wyrzucają skrzynie z wózków. Padają z hukiem na beton podłogi. Na ruchomym pomoście z szyn wiodących do pieca układają robotnicy po dwie duże skrzynie, a na nich po sześć małych skrzynek. Kto wie?... Może matkę z dzieckiem?... Brata z siostrą?... Kochanka z kochanką?... Któż może wiedzieć kogo kryją te skrzynie z nieoheblowanych desek?...

Ktoś pociska guzik elektryczny. Zgrzyt ruchomego pomostu — stalowe drzwi pieca otwierają się — oślepiający, niczem błyskawica, blask rozżarzonej do białości czeluści — i straszny ładunek wjeżdża w otchłań ognia...

Stoję niemy i smutny.

Odwracam oczy na widok robotników zbliżających się do pieca z ogromnemi koczerhami, jak piekarze zabierający się do wygartywania chleba z pieca. Po chwili wygarną kupę popiołu i niestrawione przez ogień kości — czekają aż wszystko ostygnie — a potem, nocą wywiozą za miasto, na śmietnik paryski...

\* \* \*

P osmutniałem na cmentarzu *Père Lachaise*. Muszę nagwałt wsaczyć się w tłum żywych ludzi i włączyć w tętno ich zwarzowanego życia. Dość mam cmentarza, palonych teściowych i skrzyń z trupami!... Żyć, żyć!...

Pędzę aleją, w stronę miasta, aby jak najprędzej dać się porwać nurtowi życia, co niby kipiący wrzątek przelewa się poprzez brzegi garnka paryskiego. Mayer pędzi za mną zasapany i przeklina wszystkimi znanymi mu językami świata. Deszcz leje, jak z cebra. A niech sobie leje, byle wydostać się najprędzej z cmentarza!... Pędzę w takt rytmiki jakiegoś wiersza, który sobie właśnie deklamuję i rozgniatam butami mętne oczy bajerek deszczowych:

Niech umrę. Smuci mię to mało,  
Lecz strachu duch nie może skryć,  
Aby i śmierci się nie chciało  
Krzywdzącym żartem ze mnie drwić...

Ładujemy wreszcie, zdaje się, na placu Gambetty i w pierwszej z brzegu knajpie wlewamy w siebie po pięć konjaków. Nastrój cmentarny prysł. W autobusie tłumaczę Mayerowi o swojej gwałtownej tęsknocie za ludźmi, za ruchem i za ożywionymi twarzami, gdy nagle rozrywa mi uszy krzyk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem. Krzyk tysięcy ludzi obdzieranych żywcem ze skóry. Krzyk tak potężny, tak donośny, oszałamiający i przenikliwy, że zagłuszył zupełnie hałas i gwar ulicy paryskiej.

Byłem już na zgromadzeniach wyborczych, byłem na jarmarku w Ułaskowcach, na wojnie, w bożnicach i na festynie z wyborem królowej piękności w Drohobyczu, ale podobnego krzyku nigdy jeszcze nie słysza-

łem. Proszę sobie wyobrazić gardlany skowyt rozbitków na pokładzie tonącego okrętu, lub wrzask tysięcy ludzi zamkniętych w palącym się domu — a w przybliżeniu tylko ocenić potraficie ów krzyk potępieńczy, który niby maczugą zwałił mnie po głowie i rzucił na kanapę autobusu.

— Mayer, na miły Bóg, co to jest?...

— To?... To jest giełda paryska!

— Wsiadamy!

— Zwarjował pan? — wrzeszczy mi do ucha Mayer, chcąc przekrzywić giełdę paryską. — Cóż to znów za pomysł? Nie, panie! Ja nie mogę dzięki panu wpadać z jednej krańcowości w drugą! To za silny przeskok: z cmentarza, na giełdę!... Ja mam także nerwy!...

Mayer dał się jednak przekonać, tembardziej, że pokazałem mu lufę browninga wystającego z kieszeni.

Wysiedliśmy. Idziemy ku ognisku potwornego krzyku wzmagającego się z każdym krokiem. Auta przemykają obok nas jak widma bezszelestne, dzwonki tramwajowe nie dzwonią, syreny autobusowe nie ryczą, a przechodzący obok nas ludzie mają otwarte usta z których głos nie wychodzi. Wszystkie dźwięki, głosy i echa wchłonęła w siebie szalejąca trąba krzyku na giełdzie paryskiej. W uszach dzwoni mi nieustannie, a bębienki uszne nie są w stanie wytrzymać intensywności uderzeń. Idę za Mayerem jak błędny i czuję, że mam wyraz twarzy gościa, który w komedji filmowej dostał niespodziewanie pałką gumową po potylicy.

Zbliżamy się do monumentalnego gmachu giełdy, otoczonego mrowiem czarnych sylwetek gestykujących gwałtownie i podrzucających się niby w ataku epileptycznym. Na przeciwległej *rue Vivienne*, dokoła dachu drapacza chmur, przesuwają się świetlna taśma

z notowaniami ostatnich kursów. Na terasie gmachu giełdowego stoją jacyś ludzie z rozburzonym włosom, obłędem w oczach, w gorączce i szaleństwie, czytając coś z kártek. Ochryple i zdarte głosy rzucają w masę jakieś strzępy cyfr i nazwy akcyj. Nikt nie słucha, bo wszyscy krzyczą. Dostaję się w wir tych opętanych ludzi i po chwili czuję, że ogarnięty masową psychozą, zacznę razem z nimi podrygiwać, rzucać się, gestykulować i krzyczeć na całe gardło.

Zbawcze ramię Mayera wyciąga mnie z obłędnego koła rzucających się ciał, rozpalonych nieprzytomnie oczu, dzikich ryków i tańca św. Wita.

*La Bourse.* Miejsce, skąd codziennie na Paryż spływa milion tragedij i milion uśmiechów szczęścia — gdzie kształtują się i formują dole i niedole setek tysięcy istnień — arena odwiecznych zmagają się dwóch światów: pracy i kapitału — trybuna potentatów globu ziemskiego — odskocznia polityków i aferzystów — wielki gmach nadziei i cmentarzysko śmiałych ambicij — krater wszystkich namiętności ludzkich — rumowisko, pod którem leżą miliony istnień zdruzgotanych i startych na proch — ołtarz nieosiągalnego bóstwa szczęścia człowieczego i gilotyna skracająca o głowy tych, którzy gwałtem porwali się na Złotego Cielca.

*La Bourse!*

Wechodzimy. (Kobietom jest wstęp na giełdę surowo wzbroniony). Za balaskami trybun i podwyższeń urzędują maklerzy i sensale giełdowi. Pod oszklone kopuły olbrzymich hal leci tajfun krzyku, odbija się, wraca, łączy z nową falą i wibruje jak potężny orkan. Ze setek kabin telefonicznych, wydzierżawionych przez wielkie banki i przedsiębiorstwa handlowe, telefonują dyspenci do swoich mocodawców i odbierają dalsze zlecenia.

Na czarnych tablicach zawieszonych dokoła marmurowych ścian ukazują coraz nowe cyfry notowań giełdowych:

Banque Mexiq. 39—90—40 franków; Banque Ottom. 665—61—69; Azote — Thomson — Métro — Pétró; ba! — nawet (słuchajcie!): Dąbrowa 18—19—17 franków i Sosnowice 681—680—681 franków.

Akcje całego świata i złoto całego świata przepływają przez giełdę paryską. Tu dopiero odczuwa człowiek posiadający w woreczku na piersiach jeszcze 50 dolarów, że jest zerem, pyłem, atomem, niczem!... A jednak przed wejściem do gmachu giełdy paryskiej, byłbym przysiągł, że jestem jeszcze zamożnym, choć nieco już podupadłym finansistą. Ha, trudno! Wystawne życie, stajnia wyścigowa, życie klubowe z markizami, brylanty dla hrabiny Saint-Coloraturo, przyjaciółka z *Folies Bergères* i pobyt w *Trouville* mogłyby nadszarpać nawet pokąźniejszą fortunę, niż ta, z którą przyjechałem do Paryża... Trudno! Wielki świat ma swoje wymagania, a gentleman ze Lwowa wie co znaczy *noblesse oblige*...

— Na co pan jeszcze czeka? — spytał mnie Mayer w chwili najmniej dla mnie spodziewanej. — Chodźmy już, bo ogłuchłem na prawe ucho.

— Nie mogę, panie Mayer. Pod słowem, że jeszcze nie mogę opuścić giełdy... Pan mnie zrozumie?... Interesy, notowania i moje akcje...

— Pan zwarzował?... Jakie znowu akcje?...

— Więc pan nie wiedział o tem, że posiadam portfel akcyj notowanych na giełdzie paryskiej? Ciekawe! Chodź pan, pokażę panu ich kurs dzisiejszy...

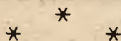
Poprowadziłem Mayera dwoma korytarzami na prawo, potem na lewo i wdół po schodkach, aż wreszcie stanęliśmy przed luksusowo inkrustowanymi drzwiami.

— Gdzież te pańskie akcje? — zapytał zdumiony Mayer, gdy stanąłem w milczeniu przed drzwiami. — Miał mi pan pokazać notację ich kursu...

— Ach, prawda! Kurs moich akcyj?... Bardzo proszę!...

Podniosłem palec i wskazałem Mayerowi małą tabliczkę umieszczoną nad framugą luksusowych drzwi.

Widniały tam tylko dwie, nie nieznaczące cyfry.



**P**aryżanie, nie mając w niedzielę nic do roboty, odwiedzają tłumnie muzea, galerje i mauzolea. Bezpłatnie. Może właśnie tak tłumnie, że bezpłatnie. Ludęk paryski lubi bowiem korzystać z przywilejów i praw wolnościowych nabytych w czasie Wielkiej Rewolucji. Jeden dzień przywilejów i wolności w roku — 14 lipca — to zamało! Odwiedzają więc Luwr, Wersal, kaplicę Inwalidów i Panteon prawie co niedzieli i cieszą się, że na mocy praw wywalczonych przez zdobywców Bastylji, wolno im chodzić po lśniących parkietach królewskich gmachów, oglądać obrazy, arasy, gobeliny, złożone meble i walecznych generałów w sarkofagach — wszystko zadarmo.

Ten wzgląd był też i u mnie decydujący, pomimo że do zdobycia Bastylji niczem się nie przyczynilem.

W niedzielę wybrałem się do Inwalidów. Ponieważ darmocho zawsze bokiem mi wyłazi, więc i tym razem przekonałem się, że lepiej jest trzymać się arystokracji

i finansjery paryskiej, niż korzystać z praw demokracji i zdobyćzy pracującego ludu.

Dostawszy się bowiem w kilometrowy, szóstkami ustawiony ogonek, nie mogłem posunąć się ani naprzód, ani już wycofać z tłumu. Wykluczone! Przed bramą wiodącą do kaplicy stało kilka tysięcy wyniedzielonych paryżan pilnujących się wzajemnie, aby nikt nie wysunął się naprzód poza kolejkę, lub co gorsza, nie psuł szyku, po wojskowemu ustawionych szóstek. Jeden jegomość, który usiłował zwać z szóstki, gdyż znudziło mu się dwugodzinne czekanie, o mało co nie został zlynczowany przez pozostałą piątkę, którą z powodu zdekompletowania mógł pilnujący porządku policjant w każdej chwili wycofać z ogonka. Takie prawo. Stałem więc i ja. Krok za krokiem posuwając się, dostałem się wreszcie z moją szóstką poza bramę Inwalidów. Po dwóch godzinach czekania! Za bramą jest dopiero olbrzymie podwórze, a na niem ujrzałem ogon z tysiąca ludzi przedemną. Teraz przynajmniej już mi się tak nie nudziło, gdyż mając przed sobą kaplicę, widzę kres swojej wędrówki. Jest nadzieja, że za godzinę będę i ja na progu kaplicy. Nie mogę jednak wytrzymać i pytam jakiegoś łysego faceta z mojej szóstki, czy tu zawsze panuje taki ścisk.

Facet obrzuca mnie nieufnem spojrzeniem (być może z powodu mojej francuzczyzny à la „Polak we Francji”) i pyta:

— Pan nietutejszy?... Otóż wiedz pan, że wszyscy chcą sobie oglądnąć marszałka Joffre’a w trumnie i dlatego taki ścisk.

— Ach, tak?... Nie wiedzałem! Dziękuję panu.

— Przepraszam, jakiej pan jesteś narodowości, jeśli można wiedzieć? — zapytał po chwili łysak.

— Polak.

— Russ?...

— Nie, Polak! Polak, to nie Russ!...

— Wiem, wiem, ale to przecież ten sam szczep... słowiański...

— Przepraszam pana, czy pan często bierze udział w walkach byków?...

— W jakich walkach byków?... Co panu do głowy przychodzi?... Przecież walki byków są w Hiszpanji... Hiszpanie lubują się w tym sporcie, a nie Francuzi!...

— Ach, tak! Myślałem, że Hiszpan a Francuz, to wszystko jedno... Ten sam szczep, ...romański..

Łysak nie nie odpowiedział. Widać było, że zamyślił się głęboko.

Powoli zbliżamy się do frontu wspaniałej kaplicy, na której szczycie stoi olbrzymia statua Napoleona z brązu.

Po godzinie, okrążywszy olbrzymią kaplicę z zawieszonymi na ścianach strzępami sztandarów napoleońskich, dostaję się przed kryptę z trumną Joffre'a. Dostaję się i w tej samej sekundzie muszę iść dalej, gdyż policjant przesuwający ręką olbrzymi człon ogonka, nie pozwala mu się dłużej jak przez sekundę zatrzymać przy kryptcie. Ha, jedźmy dalej! W kółko Macieju!

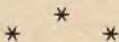
Warto było trzy godziny czekać! Pocieszam się jednak rozmową, jaką przesuwając się ku wyjściu, prowadzę ze strzępami sztandarów mocy napoleońskiej... Opowiadają mi dziwne rzeczy i zdaje mi się, że za łada powiewem usłyszę ich cichy, pozagrobowy szept prezentacyjny: *Lodi, Marengo, Austerlitz, Arcoli, Wagram...* Nad grobem Napoleona schyliłem głowę. Wszyscy zresztą muszą tu stać z pochylonemi głowami. Sarkofag Wielkiego Cesarza jest bowiem tak nisko umieszczony

w zagłębieniu podłogi, że chcąc go dojrzeć musi się każdy schylić.

Wszyscy oglądający grób Napoleona, wyglądają też zdaleka jak orszak ludzi pochylonych w ciężkim smutku i żałobie.

Przysięglibyście, że i ja w kornem nachyleniu szepcę w tej chwili zdławione słowa modlitwy, podczas gdy właśnie myślę o pamiętnych słowach matki Napoleona, Letycji, zaniepokojonej za szybką karierą swoich królewskich synów: „Tylu królów! Czem ja ich nakarmię, jak się ta parada skończy?...“

Obawy matczyne były płonne. Parada się skończyła — ale jakże inaczej!...



## Versailles.

Siedzę w przepięknym, pachnącym salonie, którego ściany są obite jedwabiem *bleu et rose*, a jasne freski *Watteau* u pułapu, przewijają się jak motyw splatający się w baśń o uroku życia.

Siedzę w zadumie wielkiej, zgubiony w czasie i przestrzeni, przypatrując się jak pod gorącym światłem kryształowych żyrandoli odbijających się wielokrotnie w taflach lustrzanych i lśniących parkietach podłogi — młody Delfin tańczy menueta z księżniczką Margot.

Przy muzyce arfy i szpinetu dźwięczącej dyskretnie, a upojnie — z nieskończonej dali odbić lustrzanej sali, powtarza się rytmiczna mimika tanecznych rewe-

ransów, tak miękkich i cichych, jakby tańczonych przez senne widziadła.

Na gzymsie alabastrowego kominka, z pod złotych filarów misternych kandelabrow, spoglądają Markiz i Markiza z sewrskiej porcelany, gotując się również do płasów z żywymi.

Drzwi salonu *Diany* otwiera błękitny paź. Wchodzi królowa.

— *La Reine!*

— Panie, czy może mnie pan łaskawie przedstawić Jej Królewskiej Mości? — błagam pažia.

Błękitny paź, podobny zupełnie do jednej z tych bonbonierkowych postaci Lamartine'a, poprawia pudrowaną perukę i szczyrzy ząbki w dyskretnym, dworskim uśmiechu.

— Pan o-o-oszalał!

— To może choć markizie Pompadour?...

Złocene drzwi salonu pendułowego otwierają się nagle i atłasowy marszałek dworu anonsuje:

— Król!

— Sire! — wołam błagalnie — Wysłuchaj mojej gorącej prośby! Przybyłem z dalekiego, smutnego kraju, aby tu pozostać na zawsze. Tu — gdzie piękno zostało zaklęte w kształt i barwę. Każ mi przeznaczyć najskromniejszy kącik na poddaszu, abym mógł żyć w pobliżu ciebie i Wersalu. Każ mi wstawić na poddasze tylko kilka niepotrzebnych mebelków i fotelików obitych seledynową morą, tkaną w jaśniejsze medaljony kwiatów wiązanych karbowanemi wstążeczkami. Będą mi one przypominały obicia przepięknych jasnozłoty salonów Wersalu, gdzie tańczą, flirtują i żyją roje cudnych pań z muszkami lepieniami na pudrowanych buziach i panów w żabotach, atłasach i srebrzystych

peruczkach. Przypomną mi się mebelki złożone pikowane różowym jedwabiem, gablotki kryształowe, sekretarzyki z mahoni i perłowej masy, kominki z żyłkowego malachitu, arasy, gobeliny, dagerotypy i minjatury grzesznych prababek — słowem: to wytworne i rozkoszne *milieu*, w którym zgrabni, wytworni, woniejący i dobrze wychowani ludzie tańczą menueta, biją się na szpady, kochają się jak bogi, żyją jakby w cudnym śnie i umierają jak anioły... Sire, nawet śmierć nie wydaje mi się tu straszną... Pragnę, aby mnie zawieziono na spoczynek wieczny w dworskim karawanie-karocy, na którego szczycie mieści się rzeźbiony, pulchny amorek, patrzący na umrzyka przez szklany dach z miłym uśmiechem urodzonego dworaka... Pragnę, aby czarne konie zaprzężone do żałobnej karocy, zawiozły mnie tanecznym krokiem menueta ku bramie cmentarnej... Chcę, aby za mną leciały westchnienia prześlizniętych pań, tłumiących w koronkowych chusteczkach spazm... śmiechu... Wysłuchaj mnie, Sire...

— Już pan skończyłeś? — zapytał mnie nagle Mayer. — Obserwuję pana od dziesięciu minut, jak pan coś do siebie mruczy. Chodźmy! Oglądniemy sobie jeszcze stół, na którym został podpisany pokój i traktat wersalski.

Idę obok Mayera milezący i smutny.

Z okien Wielkiego Salonu Królowej widzę jak w powietrzu wirują białe płatki śniegu. Na klombach, żywopłotach, szpalerach z zielonego bukszpanu — na dalekiej, szmaragdowej zieleni trawników parku wersalskiego ginących w błękitnej dali, wśród drzew, marmurowych bogów, altan i wodotrysków — wszędzie biały całun śniegu.

Wersal w śniegu...

Lecą białe płatki śniegu, jak minione sny człowiecze, odbarwione z życia i krwi... Jak sny, co pulsowały kiedyś tęsknotą i mocą — a skonem się stały, zwidzeniem i ciszą...

— A wie pan — rzekł Mayer — że park wersalski w śniegu znacznie mi się lepiej podoba, niż na kartkach widokowych, które sprzedają przy wejściu... Jakoś nikomu jeszcze na myśl nie przyszło, aby sfotografować Wersal w śniegu... Bądź, co bądź niezwykle widok!... Cóż to, zatkało pana dzisiaj, że gęby pan nie otwórzysz?... Czekaj pan, zdaje się, że minęliśmy salę, gdzie stoi ten pamiątkowy stół!

Wracamy i stajemy przed stołem, na którym 28 czerwca 1919 roku został podpisany pokój po wielkiej rzezi wojny światowej.

Na drogocennym dywanie stoi ów historyczny stół, niczem zresztą nie różniący się od innych rzeźbionych i złożonych stołów w salonach Wersalu. A jednak... Napis: „*Table de la signature du traite de paix 28 Juin 1919*” — mówi tak wiele...

Wychodzimy. Na dworze wypogodziło się. Dokoła Wersalu jest cicho i sennie. Białe posągi i pomniki na dziedzińcu wersalskim wyglądają jak anioły śpiące w zadumie nad grobami zapomnianych ludzi.

Idziemy sennym, ociążałym krokiem ku bramie, gdy nagle huk gwałtowny rozdziera nam uszy. Regularna kanonada lekkich armat rozlega się raz za razem. Jakiś duży, czarny cień pada z nieba pod nasze nogi. Spoglądamy ku górze i widzimy ogromny balon na uwięzi. Przez plac przed zamkiem wersalskim pędzi w galopie kilkanaście baterij artylerji polowej. Ćwiczą się w strzelaniu do balonu. Huk armat wstrząsa ziemią, a ciężkie

kłęby dymu zwisające w powietrzu, snują się porwanymi strzępami nad Wersalem...

Nad Wersalem, gdzie przed chwilą oglądaliśmy z westchnieniem ulgi, ów historyczny *Table de la signature du traité de paix...*

\* \* \*

Mayer powiada, że dzień mego wyjazdu z Paryża będzie najszcześniejszym dniem w jego życiu. Powiada, że nie może nadażyć moim ekstrawagancjom i że zwiedzając Paryż nadal w tem tempie, będzie musiał na dłuższy czas położyć się do łóżka.

— Zresztą, proszę pana — mówił nie bez pewnej go-ryczy — co to za zwiedzanie?... We wszystkim musi być jakaś systematyka, jakiś plan, jakiś cel! Powiedz mi pan, co za cel miało szwendanie się po klinice chorób wenerycznych prof. Legueu'a?...

— Chciałem na własne oczy ujrzeć koniec żałosny tego, co nazywamy miłym złego początkiem. Domyśliłem się, że paryżanie, lubując się ponad miarę w miłych złego początkach, muszą w konsekwencji mieć jakiś koniec żałosny. Do stwierdzenia mojej hipotezy najbardziej nadawała się *Clinique de la Faculté voies urinaires*, profesora Legueu'a... Czy żałuje pan żeśmy poszli?...

— Świństwo!... Kończę wprawdzie medycynę, ale mówię panu, że to jest świństwo!...

Mayer nie miał racji. Trochę świństwa tam było, ale żeby znowu tak bardzo... Jedno tylko, co mi się nie po-

dobalo, to racjonalizacja i zmechanizowanie leczenia, graniczące z masową i niejako fabrycznie pojętą terapią. Chorych nie indywidualizuje się tutaj. Dzieli się ich na serje i leczy w odrębnych salach — masowo. Jednych neosalvarsanem, drugich calihpermanganem — i spokój w głowie! Pojęcie t. zw. „dyskretnej choroby“ bierze zupełnie w łeb. Dyskrecja bowiem wcale tu nie istnieje. Prostu, jest zupełnie niepotrzebna, gdyż nikt nie robi tajemnicy ze swojej choroby.

Wyobraźmy sobie następujący obraz: W ogromnej hali siedzi pod rząd, na ławach np. pierwsza serja pacjentów, w liczbie około 30 sztuk. Siedzą twarzami nawprost ściany, z której zwisa 30 katetrów na gumowych węzłach, złączonych ze zbiornikami fioletowego roztworu i lecząc się, rozmawiają swobodnie lub milczą, dowcipkują lub zajmują się polityką ostatnich godzin. Żadnego zażenowania nie widać na twarzach tych ludzi siedzących z bezwstydnie rozczapierzonemi nogami obok siebie. Zachowują się tak jak podróżni, którzy w jednym wagonie muszą odbyć podróż na krótkiej przestrzeni. Nie dziwią się niczemu, nie żenują się i nie zajmują nikim.

Opasłego sklepikarza nic nie obchodzi siedzący obok młody, może 16-letni chłopak; chłopak flegmatycznie spogląda na obok dowcipkującego staruszka; siwy jak gołabek staruszek rozmawia najnaturalniej w świecie z poważnym jegomościem z grubą obrączką ślubną na palcu, a wytworny elegancik przysłuchuje się ożywionej rozmowie dwóch starszych panów na temat bezrobocia.

Obcego razi może widok dość dużej liczby chorych staruszków i widok ich siwych włosów. Pozatem, żywa się człowiek z miejsca w atmosferę naturalnego współżycia tych ludzi skazanych na kilkutygodniowe stykanie się i wzajemne widywanie w klinice prof. Legueu'a.

Wizyty te trwają zresztą krótko. Litr fioletowego płynu szybko przepływa i pielęgniarki (tak, tak, pielęgniarki!) stwierdziwszy, że wszystko odbyło się w porządku, nalewają z baniaków nowy zapas płynu do zbiorników, dla następnej serji pacjentów...

— Więc dlaczego świństwo, panie Mayer?

— Ja panu tego nie będę tłumaczył, bo i tak głowa mnie boli po wczorajszym balu... Też pomyśl, aby całą noc siedzieć z Moskalami i zapijać się jak swołocz!... Kładę się spać i proszę mnie nie budzić!

Mayer znowu nie miał racji. Był to bowiem jeden z najciekawszych balów, jakie przeżyłem w Paryżu. Nie będę opowiadał, jakich sposobów użyłem, aby dostać się na bal emigracji rosyjskiej, który odbył się w salach przy *avenue Hoche* 9, na dochód „politycznego“ Czerwonego Krzyża. *Cherchez la femme!* Ubrałem się w smok — Mayer pożyczył sobie lakierki, zdaje się w sąsiadującym z naszym hotelem, zakładzie pogrzebowym i — poszliśmy. Chciałem bowiem zbliżka oglądnąć sobie emigrację rosyjską w Paryżu. Szoferów rosyjskich miałem już dość!

*Salles des Fêtes Hoche* — przepełnione! Naprzód był raut, a potem bal.

Dalibóg, serce się raduje na widok autentycznej Rosji carskiej! Stare generały z orderami na piersiach, kuśtykający tabetyki z minami skrzywdzonych ofiar losu, kańciaste, chytre mordy stupajków, wtłoczonych w ciasne fraki, arystokracja promieniująca słodką dobrotnością ludzi wysokiego stanu, zmuszonych do bratania się z plebem, podejrzani jewreje obnoszący na pokaz swoją „istinną russkość“, arcysprytni i cwani kupeczykowie fałszujący na emigracji tytoń rosyjski, herbatę, kawior, wódkę, kalosze, samowary i biżuterję,

denikińcy i pozostałości białych armij Kołczaka, Jude-  
nicza, Tiutiunnyka i choroba wie, jak oni się tam na-  
zywali — zatrząsienie!

Panie — i owszem! W dekoltach po kości ogonowe,  
w brylantach, perłach i djademach. Każda daje do zro-  
zumienia, że to ona jest właśnie Tatjaną, niezamordo-  
waną córką cara Mikołaja i jeśli pęta się po parkie-  
tach sali *Hoche*, to tylko dlatego, iż Carskie Sioło jest  
chwilowo nieprzygotowane na przyjęcie tak dostojnych  
osób.

Z początku był nastrój zimny i kostyczny. „Sestricz-  
ki“ Czerwonego Krzyża emigracyjnego w Paryżu sprze-  
dają jeszcze losy loterii fantowej, ale później towarzy-  
stwo się rozkrochmała. Największe ożywienie panuje  
w salach bufetowych i gabinetach restauracyjnych. Ko-  
mitet postanowił zapropagować wyroby rosyjskich prze-  
mysłowców na emigracji. Podobnych świąństw nie ko-  
sztowałem jeszcze w życiu! „Wodka“ wyrobu różnych  
spryciarzy rosyjskich żyjących na emigracji w Belgji,  
Francji i Niemczech, zalewa dosłownie rynek francu-  
ski. Różne Makłakoffy, Popoffy, Protopopoffy i Bogda-  
noffy fabrykujący najohydniejsze fuzle spirytusowe  
i mordercze papierosy rosyjskie, zarabiają na naiwności  
zagranicznych konsumentów bajońskie sumy. Rosjanie  
nie używają tych wyrobów. Dlatego też, pomimo wzmo-  
żonej propagandy emigracyjnego towaru, wszyscy piją  
konjaki, wina i szampany francuskie. Piją porządnie.  
Jak Bóg przykazał — po rosyjsku.

Mayer tańczy, a pewna urocza pani, która mnie do-  
tychczas bawiła rozmową, (Przepraszam, ale ja bawić  
nie umiem!) podeszła do swojej przyjaciółki i wkrótce  
zapłatała się w dłuższą, a intymną rozmowę z pewnym  
przystojnym rodakiem z Odessy. Mówili, zdaje się, na

temat swych wspomnień młodości spędzonej w Odessie, co mnie zdziwiło tembardziej, gdyż przystojnego rodaka znałem z Polski, jako rodowitego warszawianina urodzonego w Czortkowie.

Siedzę więc sam i popijam w miarę, ale dokładnie.

Przy stołach i przy bufetach jest tak gwarno, że słowa własnego nie słyhać. Wielu gości jest zupełnie pewnych, że emigracja już tego roku się skończy i z radości całują się z dubeltówki. Oczy płoną, policzki różowieją a rozlewność rosyjska napełnia salę po strop. Tu i ówdzie śpiewają już patryjotyczne pieśni, lub smętne dumki rosyjskie. Przy bufecie tańczą dwaj panowie trepaka. Ech, da, czorty emigracyjne! Szeroka, rosyjska dusza!...

Czas i mnie już pośpiewać. W samą porę zjawia się przy moim stole drugi głos. Jakiś bardzo sympatyczny człowiek, który twierdzi, że znamy się z Symferopola. Niech będzie z Symferopola! Grunt, że możemy zaśpiewać sobie w duecie.

Pośpiewaliśmy, popiliśmy, popłakaliśmy się, a później mówiliśmy. To znaczy, mój drugi głos mówił:

— Myśli pan, że Francuzi, to takie cacy, jak wyglądają napozór?... Ho, ho! Pozory myślą Wilhelmie Piotrowiczu!... Jeśli mamy pieniądze, to do rany ich przyłóż, a jeśli nie mamy gotówki — dowidzenia!... Gdy postawię mu butelczynę — *trés bien!* Niech tylko dno się pokaże — *au revoir!* Oni tylko myślą o sobie i są nieźnośnie zarozumiali...

— Widzę jednak, że dobrze wam się tu powodzi. Ot, choćby towarzystwo, przy sąsiednim stole... Piją, już nie wiem którą flaszkę szampana. A co za humory! Niechce się wprost wierzyć, że to emigracja!... Albo ten

pan z baczkami, który tak ślicznie śpiewa i jeszcze śliczniej pije...

— Ach, ten?... Przecież to nasz Biesiedowski! *Ancien chargé d'affaires* przy S. S. S. R. w Paryżu... Mogę was „poznakomić“.

„Poznakomiliśmy się“. Biesiedowskiego znałem już z widzenia, nie wiedząc, że to on. Przychodził bowiem często na obiady do polskiego „Baru pod strzechą“ przy *rue de l'Ecole-de-Médecine*, gdzie i ja objadałem się zrazami, barszczem i pierogami.

Bardzo miły człowiek. Mówi dobrze po polsku, bardzo lubi Polaków i zupełnie się nie martwi zaocznym wyrokiem śmierci, który rzekomo zapadł na niego w Rosji sowieckiej. Odniosłem nawet wrażenie, że ten wyrok śmierci znakomicie wykorzystał dla celów reklamy. Przy pożegnaniu wręczył mi swój bilet wizytowy z tytułem *Rédacteur en chef à la „Lutte“*, z prośbą, abym go odwiedził. Dłużej na balu emigracji rosyjskiej zostać nie mogłem, pomimo prośb i nalegań.

Dwa kieliszki Maklakoffa, wlane we mnie przemocą, i jeden papieros produkcji Bogdanoffa z Belgji — wykończyły mnie na ostatni guzik.

Zdaje się, że śpiewałem nawet „Boże caria chrań“, a potem pojechałem na rosyjsko-polskie rokowania pokojowe do Rygi.

\* \* \*

Nie wiem, czy byliście Państwo kiedyś tak bardzo pod wpływem francuskich romansów, jak ja i dlatego obawiam się, że nie dojdziemy do porozumienia. Był bowiem okres w mojem życiu, kiedy nic innego nie robiłem, jak tylko czytałem romanse francuskie, wychodzące w przekładach rzekomo polskich, nakładem niejakiego Piotra Czaińskiego w Gródku Jagiellońskim. Data nakładu waha się między rokiem 1835—1886-ym. W tym to czasie nie było mnie jeszcze na świecie, ale za to żyła moja babka, która te romanse formalnie połykała. Później czytała je moja matka, a potem i ja, począwszy od 14-go do 16-go roku życia, za kilkunastu nawrotami, aż wreszcie ojciec przeczytawszy pewnego dnia moje świadectwo szkolne, kazał rozpalic pod kuchnią wielki ogień i rzucił tam przeszło sześćdziesiąt tomów moich marzeń, gorączkowych snów, uniesień, zwycięskich pojedynków i miłosnych eskapad przeżytych w stolicy Francji.

Plakałem kilka tygodni. Potem uspokoilem się, bo dostałem flobert. Do dziś jednak widzę przed oczyma wytarte, pstrokato-żółte, jakby pokropione wydmuchanym z kości szpikiem, okładki tych książek; widzę po-żółkłe, po brzegach wystrzępione kartki i czuję stęchły ich zapach.

Oprócz „dzieł“ ulubionego przezemnie romansopisarza Ksawerego Montepin'a, który pobudził we mnie wszystkie instynkty kryminalnego recydywisty z Cayenne, najbliższym sercu memu był trzytomowy (około 5 kg) romans zatytułowany pięknie: „Gabrjela, dziecię żebraczki, czyli Zbrodnia de Grenelle“.

Już nigdy nie zapomnę nieszczęśliwej Gabrjeli, ani ślepego na jedno oko, złodziejskiego notariusza Peroqueta, ani straszliwego murzyna Mombasa, ani ducha pokutującego w opuszczonym szybie kopalni de Grenelle! Nie mogę!

Za wiele lat spędziłem obok pałacu de Grenelle i przebiegałem nocą ciasne uliczki, od wytwornej ulicy *de la Bourdonnais*, poprzez Pole Marsowe, plac *de Fontenay*, ciasną ulicę *Ségur* i *La Mote Piquet*, aby śledzić ślepego Peroqueta szwendającego się tu ze sfałszowanym testamentem w kieszeni; za często tańczyłem w salonach hrabiny Raymondy d'Alésia (ciotki Gabrjeli), lub owinięty w czarny płaszcz, ze sztyletem w dłoni i z drabiną sznurową pod pachą, oczekiwałem na przewrotną, a piękną Adriennę Vaugirad, mieszkającą przy sąsiedniej ulicy św. Karola, pod 36 numerem; za wiele krwi przelałem w pojedynku z fałszywym hrabią de Grenelle o szczęście i honor matki Gabrjeli; za dużo nerwów kosztowało mnie ściganie tajemniczej istoty błakającej się w opuszczonej kopalni i wałęsanie się po Senegambji z kapralem Lavalem, w ucieczce przed krwiożerczym Mombasem — abym po tylu latach miał zapomnieć pałac, ludzi i zdarzenia z ulicy de Grenelle.

Wybrałem się też tam w towarzystwie Mayera. Błądziliśmy ze dwie godziny, aż trafiliśmy. Nie żałuję jednak tego, bo po drodze odnalazłem kilka ulic, które już kiedyś widziałem oczyma Zoli, France'a, Maupassanta, Prevosta, Flauberta i Balzaca. W kwadracie wytwornych i cichych ulic otaczających Pola Marsowe odnalazłem z łatwością wszystkie te rozkoczne pałacyki uroczych *metres* paryskich, „utrzymywanych“ w powieściach przez grubych bankierów, wybitnych polityków i książąt krwi.

...Po tych marmurowych schodach szedł Gaston z bukiem róż do Odetty, gdy Flaudin właśnie w jej buduarze obalał gabinet tak mozolnie dla niego sklecony przez panią Flaudin... Z pod tej pergoli wyjeżdżała pani Nuncingen do Wielkiej Opery, gdy księżna Cadignac biegła ją prosić o ratunek dla swego niedoszłego kochanka... Tu, w tem oknie, za spuszczone do połowy storami, wypatrywała z lękiem Elodja swego Ewarysta Gamelin, który szalał w Trybunale Rewolucyjnym, wysyłając masami ludzi pod gilotynę... Temi oto schodami wchodzi do uroczej wicehrabiny Saint-Croixel jej dostawcy i upominają się dyskretnie o swoje wierzytelności... Z tego pałacyku w stylu empire, wynajętym niedawno przez bogatego Cohena dla swojej kochanki, wywożą właśnie precudne cacka i meble lekkomyślnej Margot de Lenclen, aby je sprzedać na licytacji... Na tamtej terrasie znowu wręczył stary Jean swemu panu listy miłosne pani de Burbery, pisane do hrabiego de Roche-maure...

Tak, tak! Wszystko to odżywa w wspomnieniach i wyłania się z mroków nigdy niewidzianych, a jednak tak dobrze znanych zdarzeń i wypadków.

Ulica *de Grenelle* natomiast zupełnie zawiodła moje oczekiwania. Tajemniczy dom u zbiegu ulicy *Nivert* niema kraty, ani dzwonka w kształcie psiego łba i nie jest wcale tajemniczy. Jest to zwyczajny, modny drapacz chmur z biurami i sklepami, w którym ślepy Peroquet nie mógłby się ani przez chwilę ukryć przed okiem policji. Także latarni „rzucającej mdłe światło na błotnistą drogę“ niema tu wcale. Asfalt i ogromna, łukowa lampa elektryczna... Tam, gdzie wystawałem nieraz godzinami, owinięty w czarny płaszcz z zasuniętym na oczy kapeluszem, czekając na Adriennę Vau-

girard, lub śledząc lisie kroki fałszywego hrabiego de Grenelle, skradającego się ulicą św. Karola, jest dom towarowy i skład margaryny...

Gdzież u diabła można znaleźć w Paryżu coś, coby choć w przybliżeniu przypominało obraz dawnego i starego Paryża z romansów kryminalnych?... Przecież ludzie opisujący Paryż z tych czasów nie fantazjowali tak dalece, żeby każdy pejzaż opisywać z własnej wyobraźni?...

— Gabrijelo, dziecię żebraczki, czyli Zbrodnio de Grenelle — gdzie jesteś?... Panie Mayer, pytam pana uczciwie, gdzie można zobaczyć stary, prawdziwy i wymarzony przezemnie Paryż?... Przecież jakieś ślady starego Paryża pozostać musiały!...

— Tak, na Montmartrze!

— Oszałał pan?... Na przedmieściu z literatury Dekobry i Ilji Ehrenburga? Na bulwarze *Clichy*? *Pigalle*? Tam gdzie funkcjonują „Le Ciel” i „Chât-Noir” z wymalowanymi dziwkami całego świata?... To jest stary Paryż?...

— Głupstwa pan gada! Pójdziemy kiedyś wieczorem na stary Montmartre. Tam pan zobaczy dawny i prawdziwy Paryż, ale stawiam jeden warunek...

— Każdy akceptuję, złoty, kochany, jedyny panie Mayer!

— Musimy się trochę wstawić... Stary Montmartre jest najładniejszy, gdy się człowiek nieco wstawi. Po pięć, do dziesięciu koniaków na gębę — wystarczy!...

— A możebyśmy odrazu zabrali się do roboty?... Wypijmy i chodźmy! Wieczór jest, na konjaki mam także — cóż nam stoi na przeszkodzie?...

— Pański portfel, zegarek i nasze przyzwoite ubrania. Jutro to wszystko zostawimy w domu, przeberzemy

się w jakieś starsze łachy, aby nie odbijać za jaskrawo od miejscowego kolorytu okolicy *Sacrè-Coeur* i wtedy dopiero wybierzemy się, ryzykując najwyżej, że nabierzemy od któregoś z tubylców po pysku.

Pojechaliśmy jednak jeszcze tego wieczora. Zapewniłem Mayera, że mam przy sobie browning, który leżał sobie spokojnie w hotelu, wypiliśmy w najbliższej knajpie po kilka konjaków i Mayer dał się udobruchać.

*Métro: Odéon-Château Rouge.* Wysiadamy. Z ulicy *Custine*, wspinamy się po niebotycznych schodach kamiennych, wzdłuż całej *rue Becquerel*. Sapiemy, jak miechy kowalskie, gdyż cała ulica *Becquerel*, to jedno pasmo schodów, obramowane łańcuchem kamienic wznoszących się coraz wyżej i wyżej. Jeden etap schodów przebyliśmy. Ulica *Lamarck* i — znowu schody. Bez końca! Robi się zimno jak w górach i zacieramy skostniałe ręce. Z ciasnej i źle oświetlonej uliczki *Lamarck* wypływamy na jedną z najpiękniejszych ulic, jakby żywcem wyrwanej ze średniowiecza. To *rue du Chevalier de la Barre*. Cacko! W zielonawem rozświetleniu starych latarń wylania się ku nam przepiękna ilustracja z bajek o zaczarowanej królewnie i rycerzu walczącym wjeżdżającym w triumfie wo pdwórzec zamkowy. Domy wybiegają naprzód, lub cofają się wstecz gwałtownie, odsłaniając ponure masywy, jakichś wielokątnych baszt, strzelnic, wykuszy, misternych krużganków i dziedzińców wykładanych kamiennymi flizami, porośłych w szczelinach mchem i oślizgłym grzybem.

Mówcie, co chcecie, ale tylko tu umiano płakać nad losem Franceski di Rimini — tu rozumiano przygody szlachetnego Lancelota i słuchano z biciem serca z ust goliarda, przedziwnych opowieści o Tristanie i złotowłosej Izoldzie...

Momencik — a ujrzymy, jak piękna Meluzyna przytuli bladą twarz do szyb wprawionych w sztabki ołowiu, wypatrując z najwyższej izbicy zamku, azali nie zjawi się wymarzony rycerz, obrońca św. Graala...

Tu, na ulicy *Chevalier de la Barre*, a nie gdzieinziej, wyprawiali swoje burdy trzej muszkietery; pod temi arkadami zzieleniałego ze starości pałacu, przechodzili napewno kardynałowie Mazarin i Richelieu; tu porywali nocą zbirowie króla jegomości piękne panny z fraucymerów i niejeden mężny rycerz padł od szpady wroga pod balkonem wybranki swego serca...

Trzeba się wyrwać z pod uroku tej przepięknej ulicy, bo Mayer się niecierpliwi. Jedźmy dalej — nikt nie woła!...

Dochodzimy do lśniąco białego kościoła *Sacré-Coeur*. Wśród ciemności lśni ten biały cud architektury, jak bajka z nieprawdopodobnego zdarzenia. Jego kopuła w stylu bizantyńskim wrzyna się czarną sylwetą w granat gwiaździstego nieba. *Sacré-Coeur* — dostojne, przepiękne, dumne jak święty Montsalwat, przybliża się, to ucieka jak zjawy — coraz wyższe, dostojniejsze i roztapiające się w cieniach nieba.

Dopadasz wreszcie cudu majaczącej zjawy i z miejsca dostajesz niby pałkę w łeb. Na tle precudnej architektury kościoła, wyrosła jakby potworna jakaś narośl. Stoi tam ogromna, drańciwa szopa odpustowa mieszcząca sklep pana, czy też firmy „Gaudriot” — a biały mur otaczający kościół został zapaskudzony ogromnym napisem reklamowym: „*Foyer du Sacré-Coeur - Restaurant - Dejeuners - Diners - Banquets*“. W przedsionku kościoła mieści się całkiem solidny handel przyborów do pisania, kartek i znaczków pocztowych, oraz galanterji.

W kościele odbywają się właśnie nieszpory. Natłok publiczności minimalny. A może mi się tylko tak wydawało, bo w ogromnej przestrzeni ludzie nikną i maleją.

Opuszczamy kościół i wydostajemy się w splątaną sieć drobnych zaułków i krętych uliczek prawie zupełnie nieoświetlonych. Jakaś dziwna, niepokojąca cisza i pustka panują na tych uliczkach, pomimo iż intuicyjnie wyczuwasz ukryty puls i tętno dzwoniące gorąckowo, gdzieś pod ziemią.

Nędznie wybrukowane uliczki z otwartymi rynsztokami, stare i wałące się rudery, kucze powrastające jakby w ziemię i dotykające okiennicami bruku, zczerniałe i dorywczo łatanne przybudówki, spaczone drzwi i zmurzone schodki, drewniane balaski imitujące balkony, pokręcone wykrzywione dymniki, otchłanie niespodziewanych przejść, luki i czarne wnęki w jeszcze czarniejszych bramach — oto pejzaż starego Montmartre'u.

A jednak... Istnieją rzeczy tak brzydkie, że w brzydocie swojej stają się nawet piękne. Montmartre jest też piękny. Czas — ów najbardziej idealizujący architekt, powlókł stary Montmartre patyną niepowszedności, uroku i melancholji rzeczy umierających.

Na takiej np. strasznej, a zarazem przepięknej w swem opuszczeniu uliczce *St. Rustique*, widzisz nacznie model starego sztychu z XVI wieku. W tem *milieu* nie zdziwi cię widok dziewczicy stojącej pod pręgierzem, kata spacerującego z toporem pod pachą, czy czarownicy palonej na stosie. Tu zrozumiesz psychozę masowego tańca, która ogarnia całe miasta — nie zdziwisz się gromadzie szczerów idących za głosem piszczałki błazenkującego filuta i zdejmiesz czapkę przed procesją, odpędzającą morowe powietrze...

Możesz też przerzucić się w inny czas — a ujrzysz gotową scenę i kulisy do „wyczynów“ Arsena Lupin, znakomitych detektywów paryskich, dzielnych apaszów, genjalnych fałszerzy i tajemniczych kawalerów księżycy.

Ze smętku i opustoszenia niektórych uliczek wpadamy nagle i niespodziewanie w uliczki ożywione i tętniące życiem. Przez *rue des Saules* i *Norvins*, gdzie mieści się wiele spelunek hotelowych i kabaretów o dziwnych i śmiesznych nazwach, ładujemy na arcyciekawym, niby żywcem przeniesionym z jakiegoś małego miasteczka, placu *du Tertre*. Jest to jakby typowy rynek wykrojony z Pipidówki. W środku studnia, dokoła domy burżuazji małomiasteczkowej zamknięte solidnie już o tej porze na wszystkie rygle — drzwi do drzwi, balkon do balkonika przylega — wiadomo: sąsiedzi, kumy, znajomki. Rano wietrzą pierzyny na balaskach drewnianych balkonów, witają się przyjaźnie i zaglądają sobie do okien wzajemnie; potem prowadzą pogwarki sąsiedzkie na temat Dupontów, którzy wczoraj się pokłócili z Dufalami; o tem co gotuje dziś na obiad pani Cujotte i o gorszącym stosunku między panią Granmaison a panem Jambon.

Po placu *du Tertre* błąka się tylko kot pani Juval i ta wietrznica Jeanette Bonjour, która dopiero teraz pędzi do domu z wizyty, od nielepszego od siebie, Armandy Bonsoir.

Ożywione są tylko domy z knajpami, nad którymi widnieje napis: „Bal“. W *Auberge de la Crémaillerie* przy placu *du Tertre* odbywa się właśnie taki bal. Dowiadujemy się o tem z wywieszki ręcznie wykaligrafiowanej koszlawami kulasami. Jest też blisko druga mordernia, nosząca nazwę *Cabaret Tertre* (wejście od ulicy

*Montlenis*), nie licząc dziesiątek innych tego rodzaju lokali. Wszędzie gra orkiestra złożona z ręcznej harmonji i bębna. Schodzimy dosłownie pod ziemię do jednego z kabaretów, zachęceni przez miłego murzyna stojącego przy wejściu. Z miejsca wyczuwamy, że jest to mordownia zainscenizowana dla bogatych cudzoziemców, szukających „apaszów” i życia „podziemnego Paryża”. Dziewczęta ucharakteryzowane na „tygrysice”, poważnie kokainistki, murzyni, mulaci i biali w strojach apaszów. Pijemy po kieliszku „Martinique”, czyli mieszaninę skażonego spirytusu z sacharyną i opuszczamy lokal. Ciągnie mnie jak klajstrem do *Auberge de la Crémallerie* przy placu *Tertre*. Podobał mi się ten koszlawy napis nad drzwiami i pociągały ośleple okna jaskini zbójckiej. Weszliśmy. W zadymionej i zaświnionej niechlujnie izdebce ustało w jednej chwili życie. Zabawa — jak uciał! Mężczyźni barczyści, w czapkach na głowach, nieogoleni i ponurzy, patrzą na nas zpodoba. Biorą nas za „szpiclów”, gdyż etranżerzy tu nie przychodzą. Cisza w lokalu staje się przykra i Mayer pyta mnie cicho, ile mam nabożów w browningu.

Czuję, że musimy jakoś wkupić w tę atmosferę. Zamawiamy, jakby nic, znowu „Martinique” i zapalamy ordynarne „Caporale”, które w braku innych papierosów kupiliśmy po drodze. Wprawne oko towarzystwa dostrzegło to. Zupełna zmiana frontu! Być może, że swoim psim instynktem odczuli wreszcie, że nie jesteśmy groźni. Staliśmy się nagle nieobecni dla nich. Muzyka urznęła od ucha. Panowie poprawili sobie czapki, obciągnęli paski u spodni i puścili się w tany, obracając na miejscu suche, podskubane i wymalowane dziewczęta. Tańczące pary, to ludzie z prawdziwego dna paryskiego. Łączy je taniec. Jednoczy i zespala kokaina,

prostytycja i choroby weneryczne — najmniej zaś zmysłowość i zmysły.

Zza podjum orkiestry wyłania się jakaś mała, suchotnicza dziewczynka i oferuje nam kwiaty na sprzedaż. Kupujemy po kwiatku. Uśmiecha się figlarnie i cicho szepcze do Mayera: „Koko?...“

Ma pod naręczem kwiatów kilka paczuszek kokainy i szuka dobrych nabywców. Odmawiamy i wkrótce wychodzimy na ulicę. Jest późna noc.

— Jeśli dziś nie dostaniemy nożem w plecy, to będzie cud boży! — szepce mi do ucha Mayer.

Nie dostaliśmy. Udało mi się nawet Mayera namówić, abyśmy poszli do lokalu homoseksualistów, mieszczącego się niedaleko. Poprzednio pociągnąłem go jednak jeszcze w tajemniczą i nęcącą uliczkę *du Calvaire*. Jest to ślepa uliczka u wylotu placu *Tertre*, z której rozlega się przepyszny widok na wielką część Paryża. W dalekiej, rudej mgle, nasyczonej sproszkowaną jaśnią łuny świetlnej unoszącej się nad Paryżem, widnieją tylko zamazane sylwety dalekich wież i dziwaczne zygzaki cieni, poplamione nikłymi światłami elektrycznych słońc. Tak cicho jest, smutno i samotnie w tym zakątku ulicy *du Calvaire*, że wierzyć się nie chce, aby w sercu Paryża mogło istnieć takie miejsce. Tu możnaby się nawet wypłakać i nikłby nie zobaczył... A może ludzie w Paryżu nie umieją już płakać?... Któż ich wie!...

W klubie homoseksualistów nikomu też nawet nie śni się płakać. Przeciwnie! Śpiewają. Biała, ślicznie utończona niewiasta śpiewa całkiem dobrym sopranem przechodzącym lekko w alt, refren z piosenki Józefiny Baker:

*J'ai deux amours  
mon pays et Paris!*

*Par eux toujours  
mon coeur est ravi...*

Dokoła siedzą inne panie o łagodnych, miękkich i aksamitnych ruchach, ślicznie ondulowanych fryzurach, uwodzących oczach i ciepłych, kobiecych głosach.

Oczywiście, że wszystkie te piękności, to — poprzebierani mężczyźni, hołdujący miłości dla tej samej płci.

Lokal jest zakonspirowany, ale tylko *pro forma*. W drzwiach przybytku tej osobliwej miłości stoi dwóch policjantów, a dwóch „Flików“ trzyma się w cieniu sąsiedniej kamienicy. O dwunastej lokal zamykają. Wychodzimy i my z całym tłumem kabotynów amerykańskich, przywiezionych tu za drogie pieniądze przez rajfurów paryskich. Wielu z nich wsiada do aut czekających na najbliższych ulicach, kilku zaś kieruje swe kroki ku najbliższym domom z czerwonymi latarniami, aby się „otrząsnąć z niemiłego wrażenia miłości dla tej samej płci“... *Shocking!*...

Schodzimy ku miastu. Jeszcze raz zamajaczy przed cudny zwid piękna ucieleśnionego w formę: *Sacré-Coeur* — a potem idziemy schodami nadół i nadół ku *Ville-Lumière*...

\* \* \*

**B**łaski i nędze Paryża. Przejezdny, obserwując niesłychane bogactwo i luksus Paryża, nie może sobie wprost wyobrazić, aby w tem środowisku przepychu i wschodniego ładu zbytku, mogła równocześnie istnieć

najskrajniejsza i najpotworniejsza nędza — tem właśnie okropniejsza i bardziej niesamowita, że uwypuklona i przejawiona siłą nieprawdopodobnego kontrastu.

Powiecie zapewne, że takie kontrasty spotykamy nie tylko w Paryżu, ale we wszystkich wielkich skupieniach, gdzie gromadzą się ludzie różnych warstw, potrzeb, wymogów, wartości, czy też środków materialnych, któremi dysponują?... Oczywiście, oczywiście!... A jednak, nie spotkałem dotychczas nigdzie w Europie, poza Bukaresztem, tak gwałtownego kontrastu między bogactwem a nędzą, jak w Paryżu. Tu staje się bogactwo prowokacją, a nędza jest z tych, które tylko brutalną siłą dużej ilości policji, daje się utrzymać w ciasnych zaułkach, barakach i na śmierdzących przedmieściach Paryża.

Kto widział w Paryżu całe dzielnice luksusowych pałaców, wykwintnych hotelów prywatnych, przebogatych will, gmachów, apartamentów i marmurowych domów, często zupełnie niezamieszkałych — dzielnice, w których komorne waha się od stu tysięcy do jednego miliona franków rocznie, — a rzędy baraków i jaskiń wzdłuż nasypu *Ivry* i *Montrouge*, gdzie gnieźdzą się w błocie, nędzy, niechlujstwie i osamotnieniu ludzie, zbiegli tu z całego świata; ludzie, którzy ze swoich zawszawionych barłógów, z mroku, ohydy bytu i klitek, gdzie żadne zwierzę domowe nie wytrzymałoby, patrzą zdaleka na lunę Paryża — ten zrozumie i dojrzy ów szalony kontrast bogactwa i nędzy, istniejący w centrum kultury XX wieku — w Paryżu.

Kto słyszy o orgiach potentatów finansowych, o wybrykach, fetach, wyścigach, balach i królewskich imprezach — kto czyta codziennie w dziennikach opisy przyjęć i toalet w sferach *high-life'u* paryskiego, lub wzbogaconej hałastry powojennej, wyrzucającej krocie na balety mu-

rzyńskie, iluminacje, kokoty *de luxe* i konie wyścigowe — a równocześnie widzi, jak tysiączne rzesze bezdomnych i głodnych ludzi zbierają w nocy odpadki jarzyn w *Hallach* paryskich, lub grzebią haczykami w kanałach i śmietnikach, poszukując ogryzków chleba, kości lub flaków — ten znowu musi się zdumieć, że obok tak skrajnej nędzy, może istnieć świat tak niesłychanego luksusu i bogactwa.

Obok ubrylantowanych kokot luksusowych, których jedyną ambicją jest aby ich nazwisko było wydrukowane w *Bottin-mondain*, t. j. w pewnego rodzaju almanachu, zamieszczającym adresy wybitniejszych osobistości Paryża, lub tych, którzy za takie chcą uchodzić — zarobkują wynędzniałe prostytutki w domach publicznych, za opłatą kilkudziesięciu groszy przyjmując u siebie w przeciągu 12-godzinnego dnia pracy po 50 i więcej gości!...

Posłuchajmy, jak sprawozdawca dziennikarski Stefan Herwil opisuje jeden z balów paryskich, abyście mogli dosadniej porównać kontrasty, istniejące w Paryżu:

„Bal, który odbył się w salonach hrabiny *Peggi-Blunt* (*sic!* — przyp. autora), nosił nazwę *symphonie en blanc* — symfonja białej barwy. Panie uproszono, by zjawiły się w białych toaletach, a panów, by dla harmonji ubrani byli w białe fraki, lub białe smokingi. Wśród feerycznych dekoracyj, *à la Hubert-Robert*, przebrzmiała ta symfonja bieli, która była jednocześnie triumfem — grzechu.

Olbrzymi park pałacowy o klombach strzyżonych po francusku, wyglądał jak pokryty śniegiem. Był to przepiękny efekt światła. Tu i ówdzie tylko odcinały się ciemną plamą ogromne, prastare drzewa, niektóre specjalnie sprowadzone z odległych, zamorskich puszcz i przesadzone tu, do tego parku, w samem sercu Paryża.

Świecące wodotryski rozpylały odurzające wonie w srebrnych kaskadach, opadających z cichym szelestem do porfirowych waz. Na takim tle poruszały się białe selwety zaproszonych gości i par, tańczących białego walca przy upajającej muzyce Straussa. Atrakcje wywoływały okrzyki zachwytu. Ujrzano więc najpierw panią domu w sukni stylowej, w otoczeniu baletu pań w białych tunikach weneckich w stylu VII wieku i w małych kapeluszach z białego aksamitu, przyozdobionych długimi, strusimi piórami. Za nimi postępował *Paryski Instytut Piękności*, a więc najpiękniejsze kobiety Paryża, ucharakteryzowane jako pedikurzystki i manikurzystki — następnie gitana hiszpańska i jej torero, para tancerzy szkockich i marynarze amerykańscy w mundurach z białego atlasu. Dwaj nadzy mężczyźni wniesli palankin, w którym siedział Budda chiński z porcelany. Gdy otoczył go roztańczony korowód białych krynolin w stylu Winterhaltera, ku zdumieniu wszystkich, począł Budda bić radośnie w dłonie, upojony tą przedziwną wizją wdzięku i piękności. Potem ujrzano obraz pantomimiczny, przedstawiający obudzenie się Arjadny. Pod kopułą zieleni, w świetle reflektorów, Ariadnę śpiącą na białym łożu, budziły dwa Amorki. U jej stóp klęczał rycerz, a obok poeta i muzyk, grający na lirach. Nastrój romantyczny rozprószyła hałaśliwa rewja Louisa Douglasa i jego 30 murzynów, ubranych i uszminkowanych na białło“.

A więc widowisko na miarę bachanalijskich, na które dawniej mogli sobie pozwolić jedynie królowie francuscy i to kosztem... swoich głów.

Zaznaczyć jeszcze należy, że tego rodzaju bal, jak u hr. Blunt, nie jest wypadkiem sporadycznym. Dobrze zapłaćeni reporterzy dzienników paryskich opisują po-

dobne imprezy prawie codziennie, w rubryce elegancjkiego świata. A równocześnie, na ulicach Paryża pracuje samarytańsko, amerykańska Armja Zbawienia (*L' Armée du salut en France*) wylawiając biedaków, upadających z głodu, dziewczęta, które nędza wygnała na ulicę i bezdomnych włóczęgów, których policja przegnała z pod mostów Sekwany, umieszczając ich na jedną noc w swoim pływającym przytulku, obok mostu *des Arts*. Jest to stary, wybrakowany parowiec stojący na kotwicy, na Sekwanie i urządzony jako przytułek noclegowy. Ów *L' Asile Flottant* jest, jak każde miejsce przeznaczone w Paryżu dla mas, podzielony na dwie klasy. Nie, broń Boże, dlatego, że wśród bezdomnych i głodnych mogą się znaleźć ludzie inteligentniejsi, którym należałoby się w pierwszej klasie lepsze miejsce, czy izolacja od mętów i zawodowych nędzarzy! Amerykanie przyjęli również od Francuzów ich zwyczaj i podzielili swój przytułek na dwie klasy, poprostu dlatego, że w I-szej klasie płaci się za nocleg drożej, a w II-giej taniej. W klasie I-szej można się na noc rozebrać, podczas gdy w II-giej musi się spać w ubraniu i w butach, na skórzanych łózkach, umieszczonych nad sobą, jak w kajutach okrętowych. Nawet z przytulku bezdomnych, których przepotężna nędza zrównała socjalnie, lepiej, niżby to uczyniło najliberalniejsze ustawodawstwo — wygnano *Egalité*.

Zwiedziłem ten schludny, ale cuchnący wilgocią i formaliną, przytułek na Sekwanie. Jest smutny i ponury, jak wszystkie miejsca ludzkiej dobroczynności. Widziałem, jak o 5-tej rano spędzano biedaków z łóżek, nie pozwalając im ani minuty dłużej pozostać na statku. Owijali się w swcje łachy i przez zwodzony mostek wy-

chodzili na brzeg, wsiąkając w zimną mgłę wczesnego świtu. Szli zgarbieni i cisi, do szeregu widm podobni, aby rozsnuć się po ciasnych zakamarkach ulicznych, gdzie czekał już na nich policjant, lub głód skręcający kiszki.

O tej porze wracają także inne niedobitki życia, których noc paryska wypłula. Wracają z *Hall*, nazywanych „Brzuchem Paryża“, gdzie od godziny 3-ciej w nocy zbierali odpadki zgniłych liści kapusty, wymiecioną nać buraczaną, łupy i ogryzki, z których zgotują sobie rodzaj zupy jarzynowej na cały dzień. Znikają, gdy zjawiają się pierwsi kupujący, t. j. hurtownicy, a potem sklepikarze i kucharze wielkich restauracyj, których *Ventre de Paris* zaopatruje w żarcie po cenach hurtownych. Z brzaskiem dnia znikają także i ci szczęśliwcy, którzy w *Hallach* znaleźli przez noc pracę, przeładowując z pociągów całe góry jarzyn, tonowe paki owoców, kwintale ostryg, raków i homarów, sterty kwiatów, worki kasz, maki i krup, całe pociągi mięsa, bekonów i polci słoniny, kadzie ryb i kosze drobiu — produkty ziemi i mórz całego świata, zwożone tu dla żałosnego Paryża. Kończą swoją pracę, którą usiłowała im odebrać nielojalna konkurencja, złożona z bezrobotnych, studentów, inteligentów i łazików całego Paryża, aby za zarobione pieniądze zjeść w *bistro* swoją zupę cebulową. Ta *scu-pe a l'oignon* musi im starczyć przez cały dzień, aż do następnej nocy, gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności uzyskają jakieś zajęcie w *Hallach*.

W potwornie niechlujnych jadłodajniach studenckich i automatycznych barach, gdzie odżywia się „kwiat inteligencji“ tubylczej i cudzoziemskiej, fabrykują masowo obrzydliwe ochłapy, pomyje i klajstry, pod nazwą *diners i dejeuners*, po których w Polsce musiałoby być

czynne Pogotowie Ratunkowe. Za przepierzeniem ścianek pruskich stoją całe falangi zamorusanych i brudnych kucharzy, którzy z przygotowanych kubłów leją na patelnie różne, zawiesiste klajstry — na omlety, lub automatycznie rzucają na brytwany rozpalonego łożu, kawały obrzydliwych ochłapów, które po minucie ukazują się na niechłujnych stolikach, jako *chateaubriandy* z rusztu. Na obiad taki mogą sobie pozwolić studjujący tu studenci z Polski raz, lub dwa razy tygodniowo. Przez resztę dni żyją zagotowaną cykorją i chlebem.

Po skosztowaniu obiadu za 5 franków w jadłodajni studenckiej *Chez Julien*, dostałem z miejsca torsyj i chorowałem cały tydzień, podczas gdy dwaj wygłodzeni rodacy, studenci uniwersytetu, starający się daremnie od lat o „pozwolenie pracy“ w Paryżu, oświadczyli mi, że równie dobrego obiadu nie jedli już od niepamiętnych czasów i byli mi wdzięczni za zaprosiny.

A równocześnie czynny jest w Paryżu słynny *Club des Cent* (C. d. C.), składający się z najwybitniejszych smakoszków, których zadaniem jest kontrolowanie pierwszorzędných restauracyj, czy nie sprzeniewierzyły się wykwintnej kuchni starofrancuskiej, na rzecz upodobań etranżerów i amerykańskich snobów. Biada takiej restauracji, o której klub C. d. C. wydrukuje w swoim dorocznem sprawozdaniu, że zboczyła z linji uświęconych tradycyj kuchni francuskiej! Może zamknąć swoje podwoje, gdyż nikt z szanujących się wyższych dziesięciu tysięcy nie przestąpi już jej progu.

O ludziach, zbierających o świcie szmaty na śmietniskach, o bezdomnych i głodnych, którzy włóczą się z miejsca na miejsce w obawie przed obławą policji, o prostytutce uprawianej tu masowo za łyżkę ciepłej strawy, czy kąk na poddaszu, o nędzy najskrajniejszej,

bo duszonej i spychanej w odległe i ciemne zaułki, o samobójstwach z biedy i rozpaczy, Paryż błyszczący, Paryż światła, luksusu i nieprawdopodobnego bogactwa, nie wie i wiedzieć nie chce.

Można też o tem łatwo zapomnieć w Paryżu. Wśród morza światła Wielkich Bulwarów, wśród ludzi ożywionych alkoholem i narkotykami; w tłoku cudzoziemców spotykanych w luksusowych barach, hotelach, kawiarniach i domach rozpusty: wśród dosytu jadła i napitku wszelkiego; wśród kobiet wystrojonych i wymalowanych, jak na starożytnym Wschodzie — zapomina się o rzeczywistości. Życie realne przebłyskuje tu jedynie przez różowo-seledynowe kolory cocktail'ów i poprzez orgję światła olśniewających reflektorów, otulających nagie ciała kobiet i krochmalne plastrony smokingów bogatych nierobów tańczących na szklanych posadzkach dancingowych, przy melodyjnych, a namiętnych zawodzeniach saksofonów...

\* \* \*

Czas mi już zakończyć te luźne kartki, w których starałem się pobieżnie i w przekroju dać obraz tego, co widziałem w Paryżu.

Pożegnajmy się pod wpływem wyczarowanej chwili nastroju, jaki budzi Paryż stary, nieśmiertelnie piękny i tak bliski naszemu sercu. *Happy end.*

Pójdźcie ze mną i pożegnajmy się tam, gdzie w przepięknej perspektywie Tuileryj króluje w półcieniu do-

stojny *Louvre* otoczony złotą przędzą legendy o rado-  
snem życiu Ludwików; gdzie obelisk mocy napoleoń-  
skiej na placu *de la Concorde* wznosi się ku błękitnemu  
niebu francuskiemu, dotykającemu, zda się, krańców  
świata, poprzez dal Pól Elizejskich i wyniosły masyw  
Łuku Triumfalnego, nazywanego przez Francuzów *La  
porte vers l'infini* — bramą ku Nieskończoności...





## WYJĄTKI Z GŁOSÓW PRASY O KSIĄŻCE W. RAORTA „GOLONO, STRYŻONO“.

„GAZETA PORANNA“. Nowy tom satyr Raorta nosi wszelkie cechy wielkiego talentu tego poczytnego pisarza. Jeśli do tego dodamy rzadką czystość i kulturę języka i stylu, temperament pisarski, wyczucie kontrastów, zdolność pointowania, dużą erudycję w obliczu wszelkich przejawów życia, zakapturzoną żyłkę poetyczną i liryczną, to będziemy musieli postawić Raorta w pierwszym rzędzie wśród satyryków polskich ostatniej doby.

„WIEK NOWY“. W książce „Golono, strzyżono“ objawił się najsilniej szlachetny temperament pisarski Raorta, umiającego wprawnie kondenzować na małej przestrzeni maksimum dowcipu i znakomitej satyry.

„SŁOWO POLSKIE“. Każda z 30 satyr w zbiorze „Golono, strzyżono“ W. Raorta bije zdrową fontanną mocnego humoru, każdy typ to fotografia człowieka żywego. Autor posiada cudowny kunszt sprytnego ustawiania lusterka, w którym każdy może spostrzec swoje odbicie wraz ze wszystkimi śmiesznostkami w ujęciu mistrzowskiej karykatury.

„ŚWIAT KOBIECY“. Arcyczłowieczy charakter satyr Raorta musi mu zjednać liczny zastęp czytelników, szczególnie że autor pisze lekko, naprawdę potoczyście; pisze tak, jak myślimy, jak rozmawiamy.

„DZIENNIK LUDOWY“. Ostatni tom satyr Wilhelma Raorta „Golono, strzyżono“ jest dziełem świetnem pod względem kompozycji i tematów, zawierającym całą skalę bogactwa pióra Raorta.

„GAZETA LWOWSKA“. W. Raort jest wprawdzie aktualny dzisiaj, będzie nim jednak zawsze. Chłostane przezeń wady i śmieszności obecnego pokolenia nie znikną tak szybko. Jest urodzonym satyrykiem, wyczuwającym subtelnie wszelkie społeczne błędy i wady i dąży do ich usunięcia.

„LWOWSKIE WIADOMOŚCI MUZYCZNE I LITERACKIE“. Raort jest dlatego rasowym satyrykiem, któremu chodzi o to, aby „*ridendo castigare mores*“. A ponieważ umie patrzeć i chwycić niesforne zgrzyty w mechanizmie tej skomplikowanej maszyny, której na imię „człowiek“ — ponieważ nie zasklepia się w jałowym estetyzmie, lecz żywo się interesuje zagadnieniami zbiorowości społecznej — więc pociski jego satyry i humoru spełniają dobrze swe zadanie.

„KURJER LITERACKO-NAUKOWY“. Kto czyta podobne feljetyony Zoszczenki, poznaje dzisiejszą Rosję w charakterystycznych zdjęciach; feljetyony Vautela mają atmosferę paryską, a Raort nie traci naogół Lwowem, nawet tyle co Makuszyński w niektórych swoich utworach. Satyry zawarte w tomie „Golono, strzyżono“ możnaby prawie bez zmian opowiadać w innych językach, a wszędzie byłyby jednakowo aktualne.





169

125

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000075634



II 588430